KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 3/161 1961



• « La Culture » • Revue mensuelle •

K. WIERZYŃSKI :
POWTÓRNY POGROM PASTERNAKA

Z. JORDAN : **SYTUACJA NAUKI POLSKIEJ**

M. RODINSON :
KOMUNIZM I TRZECI ŚWIAT

P. HOSTOWIEC :
SPIŻOWA BRAMA I PARAFIALNE WROTA

SPIS RZECZY

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec – Mars 1961

INSTYTUT LITERACKI



NOTY BIOGRAFICZNE

Franciszek KALINOWSKI, syn znanego powstańca wielkopolskieg i górnośląskiego Jana Kalinowy-Kalinowskiego, wybrał służbę w lotnic twie po ukończeniu w 1925 r. gimnazjum w rodzinnym Poznaniu. Po ośmi latach linii, odbył wyższe studia wojskowe; jako kapitan dyplomowan pracował w dowództwie lotnictwa, następnie dowodził eskadrą. We wrze niu 1939 wyjechał z misją wojskową gen. Norwida-Neugebauera do Angli W czasie wojny był adiutantem dywizjonu bombowego, oficerem łącznikc wym w ministerstwie lotnictwa, odbył loty bojowe w nocnym dywizjoni myśliwskim, po czym został dyrektorem nauk Wyższej Szkoły Lotniczej.

Działalność pisarską rozpoczął w 1931 r. artykułami w *Przeglądzie Lo niczym* i *Polsce Zbrojnej*. Dorobek pisarski: ponad dwieście artykułów dwie broszury i książka pt. „35 lat lotnictwa wojskowego, (Londyn, 1948) Był redaktorem *Myśli Lotniczej;* od kilku lat jest członkiem komitetu redal cyjnego *Bellony*. Jest autorem działu lotniczego wydawnictwa „Polskie Sił Zbrojne w drugiej wojnie światowej".



Maxime RODINSON, ur. w 1915 r. Ukończył studia orientalistyczn etnograficzne i socjologiczne. Kierownik działu wydawnictw orientalistyc nych Bibliothèque Nationale w Paryżu, od pięciu lat kierownik naukow (directeur d'études) 4-ej Sekcji de l'Ecole Pratique des Hautes Etude prowadzi również wykłady w Sekcji 6-ej w zakresie nauk społecznyc ekonomicznych i orientalistyki. Ogłasza liczne artykuły, dotyczące kultur materialnej na Środkowym Wschodzie (m.in. jako redaktor pisma „Moye Orient), dokąd jeździ w sprawach naukowych (ostatnio był w r. 1960 Libanie).

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Jan Skotnicki, Los Angeles, Cal. (USA)	5,00 N
Antoni Siemak, Perth Amboy, N.Y. (USA)	20.00 ,,
Dr K. Boniarczyk, New York, N.Y. (USA) po raz piąty	55.00 ,,
Jan Piórkowski, Passaic, N.J. (USA) po raz trzeci	30.00 ,,
L. Demby, The Bungalow, Nomansland nr. Salisbury, Wilts (Anglia) po raz drugi	14.00 ,,
A. Anyż, San Luiz Potosi (Meksyk) po raz szósty	33.00 ,,
Aleksander Kawałkowski, Paryż po raz drugi	50.00 ,,
W. Hauswald, Montevideo (Uruguay)	25.00 ,,
Paul C. Supiński, Hackettestown, N. Jersey (USA) po raz trzeci	50.00 ,,
Henryk Kordus, Huntington, L.I., N.Y. (USA)	36.00 ,,
Mieszysław Błaszkiewicz, Brooklyn, N.Y. (USA) po raz trzeci	5.00 ,,
C. Fabierkiewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi	10.00 ,,
W. A. Witkowski, Detroit, Mich. (USA), po raz drugi	67.00 ,,
Bezimiennie Anglia	28.00 ,,
W. R. Łuszczyński, Detroit, Mich. (USA)	25.00 ,,
John Kopacz, Fort William, Ont. (Kanada)	10.00 ,,
Luta Hersch, Genewa (Szwajcaria) po raz piąty	10.00 ,,

DZIĘKUJEMY



W związku z dużą ilością aktualnego materiału bieżąc numer „Kultury" zawiera wyjątkowo, o 16 stron więcej n zwykle.

REDAKCJA

Imprimé en France.

Zbrodnia i wnioski

Patrice Lumumba został zamordowany w bliżej nieokreślonych okolicznościach w chwili gdy rząd Katangi był odpowiedzialny za jego życie. Lumumba — mimo młodego wieku — odgrywał czołową rolę w kongoleskim ruchu niepodległościowym i stał się jednym z leaderów budzącego się kontynentu afrykańskiego.

Odpowiedzialność za mord Lumumby ponosi Zachód. Nie tylko dlatego, że Katanga została stworzona przez kapitał belgijski, a p. Tchombé jest przyjacielem króla Baudouin, nie tylko dlatego, że sekretarz ONZ p. Hammarskjoeld nie umiał — mimo oddziałów *casques bleus* — zapewnić respektowania karty NZ, gwarantującej prawa jednostki. Odpowiedzialność Zachód ponosi przede wszystkim z tego powodu, że nie potrafił stworzyć właściwej polityki wobec narodów kolonialnych: ułatwić im uzyskania niepodległości i, przez odpowiednią pomoc i kontrolę, umożliwić tym narodom racjonalną ewolucję zarówno kulturalną jak i gospodarczą, zabezpieczającą przed krwawą anarchią, jak to ma miejsce w Kongo. Nie potrafił również poskromić krótkowzrocznej, egoistycznej i zbrodniczej działalności państw, grup i interesów, reprezentujących niedobitki minionego bezpowrotnie imperializmu kolonialnego.

Wiele osób powstrzymuje się od potępienia tego mordu tylko dlatego, że potępiła go w pierwszym rzędzie Moskwa, wykorzystując go dla swych celów politycznych, tak jak uprzednio wyeksploatowała wyprawę sueską czy wojnę w Algierze.

Ten maccarthyzm w skali już nie jednostek, ale całych narodów powoduje, że ruchy nacjonalistyczne i niepodległościowe są systematycznie przez sam Zachód wpychane w orbitę sowiecką. Po fakcie, wielu niewątpliwych patriotów beztrosko szereguje się jako agentów Moskwy czy Pekinu i błędne koło jest zamknięte. Przykładów na przestrzeni ostatnich lat nie brakuje.

Dlatego ten mord potępiamy bez zastrzeżeń, bez szukani okoliczności łagodzących i bez względu na tak kontrowersyjn postać i działalność samego Lumumby.

W chwili obecnego kryzysu i wstrząsu na całym konty nencie afrykańskim specjalna rola — w naszym przekonaniu – przypada Polakom, osiadłym tam od wielu lat. Ich sytuacja je niewątpliwie bardzo trudna. Wielu z nich — po raz już któr w życiu? — jest zagrożonych utratą domu. Gra i grać na pewn musi odruchowa solidarność ludzi białych. Zadaniem jedna Polaków w Afryce nie powinno być popieranie białych przeciwk czarnym, lecz głoszenie idei demokratycznej, wielorasowej sp łeczności, która stanowi jedyne sprawiedliwe i ludzkie rozwi zanie afrykańskiego dramatu. Byłoby bowiem tragedią, gdyb rasizm biały zastąpiono rasizmem czarnym. Przede wszystki Polacy powinni stale pamiętać, że ruchy niepodległościowe, afr azjatyckie są dziś dla nas potencjalnym — a kto wie czy n jedynym — sprzymierzeńcem. Trzeba zrozumieć, że te ruchy s groźne nie dla nas, na Zachodzie, ale dla bloku sowieckieg Nie tylko nie ma powodu przypuszczać, że ta fala zatrzyma s na jego granicach, ale możemy już dzisiaj obserwować począt analogicznych fermentów i tendencji wśród narodów Związk Sowieckiego. Trzeba więc uświadamiać opinię narodów wśró których Polacy mieszkają, że ich walka o wolność jest nas wspólną walką, że nie dotyczy jedynie kontynentu afro-azj tyckiego i że ich sojusznikiem nie jest imperializm sowieck chiński, ale właśnie narody przez ten imperializm kolonizowan

Byłoby niepowetowaną szkodą gdyby, śladem jednoste Polacy zaczęli masowo opuszczać kontynent afrykański, gdz odegrali rolę niedocenioną, mało znaną, w wielu wypadka ważną, a zawsze niezmiernie pożyteczną. Dziś od nich zależy ta rola niepomiernie wzrosła.

Wielu spośród czytelników ,,Kultury'' przemierzyło Śro kowy Wschód jako żołnierze 2 Korpusu. Nie wielu jednak wi że dziś, po 18-tu latach, delegaci i eksperci krajowi korzysta z kredytu przyjaźni i sympatii jaki tam zostawiliśmy.

Polacy afrykańscy są więc niejako przeznaczeni do odegr nia — tym razem świadomie — specjalnej roli w tak przełom wym okresie. W momentach kryzysu postawa jednostek wywie czasem doniosły wpływ na rozwój wypadków.

REDAKTOR

Powtórny pogrom Pasternaka

Gdy świat wyjdzie z kataklizmu zwanego Sowietami, gdy załamie się ich terror a na ziemiach rosyjskich zacznie się inne życie, ludzkość stanie przed niezliczonymi zagadkami i w zdumieniu badać będzie ciemną przepaść minionej epoki. Zwłaszcza pisarze ockną się wobec świadectw przemocy, której bezwzględność już prawie od pół wieku idzie w parze z niepojętą bezkarnością. Zapytają wtedy, jak to było możliwe, że apologeta „Konarmii" Budiennego, Izak Babel, mógł stać się wrogiem narodu i zginąć bez śladu. Jak tc było możliwe, że Borys Pilniak, który chlubił się przyjaźnią z Leninem i Trockim, okazał się przestępcą niegodnym nawet napisu nad jakimś grobem w jakimś obozie. Jak to możliwe, że polscy poeci komunistyczni, Jasieński, Strande, Wandurski, którzy opuścili Polskę, trafili jako zdrajcy komunizmu do moskiewskich piwnic więziennych, skąd nie ma powrotu.

Tych pytań można by postawić bez liku i na wszystkie usłyszeć jedną odpowiedź: to ofiary Stalina, to było i przeszło.

Nieprawda. Stalin umarł, XX-sty kongres partii minął, samodzierżawie objął kto inny, ale gwałt został ten sam. Nazależnie czy dopuścił się go Stalin czy Chruszczow, jednym z najbardziej wstrząsających dowodów przestępczości Sowietów będą zawsze dzieje Borysa Pasternaka — za jego życia i po jego śmierci. Bo w Moskwie dokonano pogromu poety narodowego, i to dwukrotnie.

Pasternak jako żywy człowiek otoczony został przez wrogi tłum. Podniesiono przeciw niemu krzyk i rzucono w niego kamieniami oskarżeń. Najgorliwsi w tłumie okazali się pobratymcy-pisarze. Wreszcie lynchowany padł i prosił o łaskę: „nie wypędzajcie mnie z Rosji, nie potrafię żyć poza moją ojczyzną". Wyrzekł się nagrody Nobla, wyrzucono go ze Związku Pisarzy, znalazł się sam. Szczuty i podjudzany tłum odpłynął.

Ale pozostało jego dzieło, piękna i bolesna pieśń o Rosji. Pasternak poprowadził Doktora Żiwago przez piekło rewolucj z wizyjnością Dantego. Jego powieściowy poemat napełnił si po brzegi niedolą człowieka, niedostatkami życia, chorobam i głodem, wojną i terrorem, wędrówkami po gubiących się dro gach, podłością i dobrocią, podstępem i poświęceniem, nadziej i śmiercią — nieprzebranym bezmiarem tego, co może ludz w doczesnym istnieniu spotkać i doświadczyć.

Pasternak dostrzegł to rozpętane piekło na ziemi najdroższe swemu sercu, dla której piękności znalazł słowa pełne zachwytu Roztoczył w swoim dziele niezmierzone przestrzenie kraju, roz rosły się na nich wielkie lasy, skrzypiał w tej powieści zamarznięt śnieg, wyły wilki i rżały konie — wszystko opisane z taką prze nikającą siłą, że kiedy mówił o wilgoci na odtajałej drodze, czuł się ją pod przemoczoną podeszwą.

Na ukochanej ziemi, wśród wojen i kłębowiska arcyrosyj skich ludzi, zakwitła jeszcze jedna niezapomniana uroda poema tu, ,,łabędziobiała'' miłość Doktora Żiwago i Larysy Fiodo równy. ,,Nie kochali się z musu — czytamy w powieści — za ślepieni pasją, jak się niesłusznie mówi. Kochali się dlatego, ż tak chciała ziemia pod ich stopami, niebo nad ich głowami obłoki i drzewa. Miłość ich podobała się być może więcej otacza jącym niż im samym. Podobała się nieznajomym przechodniom oddalom otwierającym się podczas przechadzek, pokojom w któ rych mieszkali i spotykali się. To właśnie zbliżyło ich do siebi i łączyło. Nigdy, nawet w chwilach nieprzytomnego szczęści nie opuszczało ich najwyższe, najbardziej porywające uczucie upojenie budową świata, świadomość ich wspólnoty z tym obra zem, poczucie że stanowią część uroku tego widowiska''.

Tak pisał Pasternak o miłości Doktora Żiwago, czyli miłości swojej własnej. ,,Lara była najczystsza na świecie'' brzmiały jego słowa. Przydzielał jej jeszcze inne określenia ,,umęczona, uparta, dziwaczna, szalona, nieodpowiedzialna uwielbiana''. Lara była uosobieniem wszystkiego. Lara to Rosja

Pasternak umarł. Zdawało się że nad jego imieniem zaleg nie spokój. Ale na ziemi została Rosja-Lara i oto teraz dokona się drugi, pośmiertny pogrom poety.

Wywleczono na jaw związek miłosny Pasternaka z Olg Iwińską, poetką i jego współpracowniczką, która była prototy pem Lary. Oskarżono ją o machinacje finansowe — grub chwyt sowiecki wobec każdego, kogo należy pohańbić. Odbył się rozprawa sądowa, tak jakby ktoś mógł wątpić o wyrok w procesie moskiewskim. Rozprawa była tajna, wyrok był jaw ny. Olga Iwińska skazana została na 8 lat obozu, córka je Irena, na 3.

Przez pewien czas sprawę okrywało milczenie. Iwińsk aresztowano w sierpniu, skazano w grudniu. Dopiero w końc stycznia, jakby w odpowiedzi na protesty Zachodu, odbył si pogrom publiczny.

Znów rzucono kamieniami, tym razem w stronę cienia poety, na pozostałą przy życiu jego miłość. Znów nie zabrakło przy łynchu gorliwych pobratymców po piórze, których reprezentował prezes Związku Pisarzy sowieckich, Surkow. Nie wiadomo czy chodziło o porwanie rękopisów pośmiertnych Pasternaka, pozostawionych Iwińskiej, czy o przedstawienie Lary-Olgi jako złego ducha poety, czy o jedno i drugie. W każdym razie sprawiedliwości sowieckiej stało się zadość i pogrom odbył się według programu.

Ale tym razem samowładca sowiecki przechytrzył sprawę. Zaczął walkę na wysokości, której nie sprosta. Porwał się przeciw sztuce, zamierzył się przeciw słowu. Co to znaczy, wiemy najlepiej my, pisarze ocaleni od zniewolenia, którzyśmy oddali życie słowu i znamy potęgę sztuki. Są to siły niezniszczalne, działające wysoko, ponad ustrojem, przemocą i terrorem.

Nie należy karmić się złudą, nie sposób jednak uwierzyć, żeby utajone prądy, nurtujące Rosję, przyjęły bez wstrząsu ten zamach na poetę, którego dzieła, zakazane w druku, krążą po kraju w odpisach. Jeśli jest nadzieja, że rośnie nowa młoda Rosja, powtórny pogrom Pasternaka może tylko powiększyć jej siły.

Tu, na Zachodzie, nie ma sposobu przenikania do tych sfer, ale pisarze w kraju mogą znaleźć do nich dostęp. Sądzę, że w imię znieważonego poety, jego znieważonej miłości, znieważonych uczuć ludzkich, wolno podjąć myśl, aby kto zdoła, docierał do Rosjan ze słowem protestu przeciw wyrządzonej krzywdzie. Przysłuży się przez to tej swobodzie, której oni szukają w polskiej prasie, w polskim piśmiennictwie, w polskiej sztuce plastycznej. Przysłuży się sprawie wolności.

W tym przekonaniu pozwalam sobie skierować te słowa do kolegów pisarzy w kraju.

Kazimierz WIERZYŃSKI

Nauka i historia

Sir Cyril Hinshelwood wygłosił niżej zamieszczone przemówienie na uroczystym zebraniu ku uczczeniu 300-lecia *Royal Society*, które odbyło się w Albert Hall w Londynie 19 lipca 1960 w obecności Królowej Elżbiety, przedstawicieli nauki, rządu i społeczeństwa brytyjskiego. Naukę polską reprezentowali prof. T. Kotarbiński i prof. J. Kotarbińska. Przemówienie Sir Cyril Hinshelwood, opublikowane w „Nature" (Vol. 187, N⁰ 4734), jest interesujące samo w sobie, lecz zawiera również refleksje o uniwersalnym znaczeniu. Uzasadnia to udostępnienie go polskiemu czytelnikowi.

Sir Cyril Hinshelwood urodził się w 1897 roku i zajmuje katedrę chemii w Oxfordzie. Jest doktorem *honoris causa* wielu brytyjskich uniwersytetów, członkiem licznych zagranicznych towarzystw i Akademii. Był on odznaczony medalami Lavoisier, Davy, Faraday, Guldberga i Avogadro. W 1956 roku otrzymał nagrodę Nobla. W roku trzechsetnej rocznicy założenia Królewskiego Towarzystwa Sir Cyril Hinshelwood był Prezydentem *Royal Society*. (Tłumacz).

Poniższe przemówienie, które zamieszczamy za zgodą *The Royal Society*, było drukowane w całości w *Proceedings of the Royal Society* A, volume 257, page 421.

Rok 1660-ty był rokiem założenia *Royal Society*. W skali ewolucji kosmicznej trzy wieki są niemal niczym, ale mierzone miarą życia ludzkiego stanowią długi okres historii. W filozofii Newtona czas płynął jednostajnie, lecz jako pewnego rodzaju podłoże wydarzeń ważnych dla ludzkości nie może on być mierzony zegarem. Przez tysiące milionów lat rozwijał się obecny cykl galaktyczny, w ciągu niewielu tysięcy — cywilizacja rozprzestrzeniała się na powierzchni Ziemi i dopiero w okresie kilku ostatnich stuleci odbywa się ze stale rosnącym przyśpieszeniem zdobywanie poznania oraz władzy nad Przyrodą, co w znacznej mierze stworzyło świat dzisiejszy.

Założenie *Royal Society* symbolizowało świadome podjęcie tego zamierzenia. Owe trzysta lat zawarły w swoich osiągnięciach więcej aniżeli ciągnąca się w nieskończoność pustka okresu ewolucji; w skali ludzkich wydarzeń są one najpełniejsze i najdłuższe w całym okresie istnienia.

Umiemy wzruszać się wydarzeniami nawet naszego krótkiego życia jeśli są przedstawione piórem dramaturga. W porównaniu z nimi trzy minione wieki posiadają na skutek swego zasięgu znamię wielkości na skalę niemal epicką. Są one jednak na tyle krótkie, by wzruszać nas jeszcze w inny sposób. Ludzie żyjący za panowania Karola Drugiego są dotąd dla nas znajomymi postaciami. W naszej wyobraźni widzimy samego Króla, a echo jego dowcipnych wystąpień dotąd jeszcze nie zamarło. Pomimo gwałtownych zmian, które stale przekształcają scenę ludzkiej działalności, założyciele *Royal Society* — w pewnym sensie twórcy naszej epoki — są nam równie bliscy jak nasi najbliżsi przodkowie. Ich portrety spoglądają na nas, ze ścian, ich słowa możemy czytać, może się nam wydawać, że ich znamy i mamy dla nich pewnego rodzaju synowski szacunek. Składamy im hołd i oddajemy należą im cześć, a nasz podziw ożywia uczucie przyjaźni i ciepła.

Kim byli ci których pamięć mamy uczcić?

Czytamy w sprawozdaniu z historycznego zebrania w dniu 28 listopada 1660 roku, kiedy rozpatrywano projekt założenia Królewskiego Towarzystwa, że brali w nim udział: ,,Lord Brouncker, Mr. Boyle, Mr. Bruce, Sir Robert Moray, Sir Paul Neile, Dr. Wilkins, Dr. Goddard, Dr. Petty, Mr. Ball, Mr. Rooke, Mr. Wren i Mr. Hill''.

W swoich pamiętnikach Evelyn przypisuje Brounckerowi, Boyle'owi i Moray'owi pomysł założenia *Royal Society,* a w każdym razie popieranie projektu oraz pokonywanie pierwszych trudności i rozczarowań jakie ta inicjatywa nastręczyła. Brouncker, lord Irlandzki był kiedyś na służbie Królewicza Karola. Studiował matematykę w Oxford, a później był lekarzem na tymże uniwersytecie. Mówiono o nim że znał wiele języków, a w matematyce zrobił pewne ważne odkrycia, m.in. dotyczące ułamków ciągłych. Wiadomo było o nim, że razem z John Evelyn często prowadził dyskusje naukowe z Królem. Był on pierwszym prezesem *Royal Society.*

Robert Boyle, słynny autor *Sceptical Chymist,* biegły w językach, poświęcił beztroskie życie wielkiego pana na rzecz pracy naukowej. Słynął nie tylko z wiedzy, lecz również z pobożności, a jego pisma na tematy religijne i moralne były równie liczne jak jego prace naukowe.

Robert Moray był zupełnie inną postacią. Łączył cechy uczonego z cechami człowieka czynu. Był żołnierzem w służbie Ludwika XIII-go i razem z królem Karolem był we Francji. Po przywróceniu monarchii zajmował publiczne stanowiska, cieszył się zaufaniem Króla, a Huygens mówił o nim, że był duszą *Royal Society.* Od czasu do czasu przedkładał Towarzystwu komunikaty z zakresu geologii, nauk przyrodniczych i o kometach. Uważano go za chemika, matematyka, a Pepys podaje, że również interesował się muzyką.

Człowiekiem, który w opinii niektórych osób zasługuje na miano założyciela *Royal Society,* był John Wilkins, przełożony

Wadham College w Oxfordzie, późniejszy biskup Chester. Był to człowiek mądry, tolerancyjny, zgodny, który prowadził swe prace bez przerwy zarówno pod panowaniem Protektora jak i Króla. Wokół niego jako centralnej postaci zbierała się grupa uczonych i oni to później ukonstytuowali się jako *Royal Society*. John Wilkins był umysłem patrzącym w przyszłość i nie tylko napisał pracę o księżycu jako o świecie na którym istnieją warunki życia, lecz również był autorem rozprawy o możliwości dostania się tam przy pomocy „lewitacji".

Niektórzy filozofowie historii utrzymują że *Royal Society* musiało powstać wówczas właśnie a nie kiedy indziej, niezależnie od woli jednostek, ponieważ tego wymagał klimat i duch epoki. Być może mają oni rację. Może istotnie tak być musi i podobne fakty mają miejsce. Tym niemniej należy oddać cześć tym, którzy są narzędziem spełnienia się konieczności. Jeśli nawet wola jednostki nie wyznacza samego wydarzenia, to jednak wywiera silny wpływ na sposób w jaki to wydarzenie zachodzi.

Tacy to ludzie i o tak różnej strukturze psychicznej zapoczątkowali tradycję *Royal Society* jako ludzkiego zespołu: związek między myślą i czynem, współdziałanie ludzi nauki z ludźmi światowymi. Ta tradycja przetrwała przez cały czas istnienia *Royal Society*, zachowała się — w co chcemy wierzyć — do dnia dzisiejszego i będzie decydować o przyszłych losach Królewskiego Towarzystwa.

Jeśli ktoś chciałby się posłużyć dziejami *Royal Society* dla ilustracji z góry powziętej tezy, reakcję opinii można przedstawić w diametralnie różny sposób. Nazwiska takie jak Christopher Wren, John Evelin, Samuel Pepys i John Dryden świadczą o zasięgu siły atrakcyjnej Towarzystwa. Czy moglibyśmy dziś przytoczyć listę tak różnorodnych nazwisk? Nie brakowało zrozumienia w świecie literackim. Addison nazwał Boyle'a „chlubą ojczyzny", ważne osobistości oddawały swoich synów pod opiekę Wilkinsa a patronat królewski nad *Royal Society* nie ograniczał się do pustej formy ani też nie był czczym słowem. Książę Rupert (1) przedkładał własne komunikaty. Earl of Sandwich mając za zadanie służyć jako eskorta Katarzyny z Braganzy w podróży z Portugalii, zaofiarował swoje usługi *Royal Society* i przeprowadzał obserwacje nad przypływami i odpływami morskimi oraz nad zawartością soli w morzu. Sam Król pozostawał na przyjacielskiej stopie z wieloma członkami *Royal Society* i w towarzystwie Sir Robert Moray niejednokrotnie odwiedzał laboratorium założone w Whitehall'u.

A jednak przy innym rozłożeniu świateł obraz jest mniej pogodny. Wilkins mógł być promotorem nowego kierunku, Dr Fell, groźny dziekan Christ Church, nie chciał o nim słyszeć. Publiczny rzecznik uniwersytetu w Oxford grzmiał przeciw *Royal Society* w sali wybudowanej przez Wrena, a Anthony Wood oświadczył, że *Royal Society* jest szkodliwą instytucją.

---

(1) Książę Rupert był siostrzeńcem Karola Drugiego (przyp. tłum.).

Biskup Wilkins, biskup Ward i biskup Sprat mogli bronić nowego kierunku z przekonywującą siłą i wymową, Robert Boyle mógł napisać *Christian Virtuoso*, a członkowie *Royal Society* mogli świadczyć i być przykładem pobożności i prawomyślności. Nie chroniło to jednak *Royal Society* przed atakami z ambony i przed dziwacznymi oskarżeniami z innych kół.

Przeciwnicy otwarcie oskarżali *Royal Society* o ateizm, bezbożność i psucie obyczajów. Jeśli nawet nie wytykano Królewskiemu Towarzystwu popierania tych występków, to oskarżano jego założycieli o uprawianie filozofii, która naprowadza słabszych bliźnich na grzeszne myśli, lub służy złym ludziom za pretekst do usprawiedliwiania ich niecnych czynów. Prócz zarzutów, że *Royal Society* stało po stronie bezbożnych i deprawowało niewinnych, posądzano je również o spiski z papieżem (choć trudno przypuszczać, aby te zarzuty wysuwali katolicy), o sławienie materialnych ideałów i zachęcanie do wielkich wysiłków ducha w pogoni za złudnymi prawdami. Twierdzono, że *Royal Society* może zagrażać autorytetowi uniwersytetów i bezprawnie wkraczać w domenę lekarzy.

Echo tych kontrowersji nie zamilkło jeszcze do niedawna, trwają one nawet do dzisiaj i pod tym względem te trzy stulecia są chyba najkrótsze w perspektywie wieków. W naszych czasach badania naukowe są bądź nadmiernie wychwalane bądź nieumiarkowanie krytykowane. Jeden z wielkich pisarzy obecnego wieku wyobrażał sobie, że nauka zrealizuje millenium na ziemi. Mniej wybitni współcześni pisarze skorzy są obciążać naukę odpowiedzialnością za każdą ułomność i niepowodzenie, poczynając od intelektualnej arogancji a kończąc na społecznym obskurantyzmie.

Wszystkie zarzuty i skargi wytoczone w siedemnastym wieku, każdy wyraz lęku, każda uraza, interesowna lub bezinteresowna, działająca otwarcie lub z ukrycia, posiada swój odpowiednik w naszej niedawnej przeszłości. Każdy niepokój, obawę, krytykę lub zastrzeżenie dochodzące dziś do głosu, można odnaleźć u siedemnastowiecznych przeciwników *Royal Society*. Nawet groźba zagłady przez wyzwolenie energii atomowej nie pogorszyła sytuacji nauki w sporze, gdyż groza wojny atomowej nie jest dziś większa aniżeli perspektywa wiecznego potępienia do którego w przekonaniu wielu ludzi XVII wieku nowe teorie prowadziły.

Sprawa sporu byłaby rozwiązana raz na zawsze, gdyby krytyka mogła poskromić a drwina odstraszyć, gdyby polemika łącznie z perswazją mogły wywrzeć wpływ łagodzący i zmusić do milczenia. Lecz te dziwne zmagania pozornie niezgodnych ze sobą filozofii odradzają się periodycznie urastając do wielkich kryzysów jakim był spór wokół teorii ewolucji w dziewiętnastym wieku i jakimi są spory o sposób zużytkowania energii atomowej w wieku dwudziestym. Źródeł tych kontrowersji należy szukać raczej w stanach emocjonalnych aniżeli w rozumie: w autentycznym strachu przed nieznanym, w poszanowaniu dla

ustalonego porządku, lecz nade wszystko w dziwnie stronniczych instynktach ludzi, przejawach ich wojowniczej i jednocześnie stadnej natury. Dzieje *Royal Society* w pierwszych latach jego istnienia są w dużej mierze odbiciem pewnego stałego, a przynajmniej uparcie powtarzającego się wzoru.

Lecz najbardziej znamienny jest fakt, że jak się zdaje kierunek rozwoju nauki właściwie nie zależał od postawy szerokiego ogółu. W siedemnastym wieku walka jaka się toczyła była walką na słowa. Przeciwnicy *Royal Society* nie byli skuteczną przeszkodą dla postępu wiedzy. Gdy minął pierwszy entuzjazm, poparcie udzielane *Royal Society* przez środowiska poza naukowe i osoby cieszące się publicznym rozgłosem miało również małe praktyczne znaczenie. Kazania, broszury i inne formy pisanego słowa, jakie zachowały się z tego okresu, stanowią surowy materiał rzucający jednostronne światło na bieg wydarzeń. Źródła literackie odnoszące się do tak złożonych wydarzeń historycznych mogą łatwo zafałszować perspektywę. Pisarze wypowiadają poglądy, do których ich koledzy po piórze, przez naturalne powinowactwo umysłowe, przypisują zbyt wielką wagę jako do świadectwa historycznego. Garstka pisarzy dramatycznych może nadać całemu okresowi sławę czasów rozwiązłych a podobnie rezolucje uchwalone przez dyskusyjne stowarzyszenia studenckie, jeśli tylko przyciągną uwagę dziennikarzy, mogą przyczynić się do nałożenia odpowiedniej etykietki (2). Lecz przyszłość dojrzewa bezimiennie i po cichu.

Od czasu powstania *Royal Society* stale powiększała się liczba osób oddanych nauce, które skupionym wysiłkiem myśli, zręcznością rąk i w pocie czoła pracowały nad ujawnieniem tajemnic Przyrody. Ich wysiłki były przeważnie nie znane ich współczesnym. Historycy mało im poświęcali uwagi, a jednak ostatecznie oni przekształcili powierzchnię Ziemi i życie ludzkości na niej. Literackie batalie oszczerców, satyryków i apologetów nie posiadały wielkiego znaczenia. Ludzie nauki żyli zgodnie z dewizą *Royal Society,* jaką zaproponował Evelyn, *Nullius in Verba,* nie poddawali się niczyjemu autorytetowi i nie wzruszała ich wcale ani pochwała ani nagana. Taki był bieg rzeczy, iż dwa zarzuty jakie wytaczano nauce w początkach istnienia *Royal Society* wzajemnie się znosiły. Według jednych nauka zajmowała się nadmiernie celami materialnymi; według innych zbyt wiele czasu poświęcała zaspakajaniu próżnej ciekawości, bez żadnej korzyści. Odpowiedź jest dziś jasna. Technologia, która przekształciła materialne warunki życia, jest w przeważającej mierze zastosowaniem odkryć dokonanych przez owych rzekomo

---

(2) Profesor Hinshelwood miał prawdopodobnie na myśli rezolucję uchwaloną przez Oxford Union w 1933 roku. Rezolucja ta stwierdzała, że „zebrani nie będą w żadnych okolicznościach walczyć w obronie Króla i ojczyzny". Wywarła ona wielkie wrażenie w Niemczech, Włoszech, Japonii i Rosji, wzbudzając przekonanie, iż Wielka Brytania weszła w fazę dekadencji i rozkładu społecznego (przyp. tłum.).

nieodpowiedzialnych filozofów. Z drugiej strony ich krótkowzroczność i przyziemne zainteresowania spowodowały przewrót w całym ludzkim myśleniu. Przez jakie dziwne zrządzenia losu tak się dzieje? Stawianie sobie ambitnych praktycznych celów rzadko prowadzi do ich realizacji. Gdyby starożytny despota powiedział: ,,Znajdź mi sposób na przesyłanie rozkazów niewidzialną drogą naokoło świata, a obdarzę cię honorami i bogactwem'', nikt nagrody by nie dostał. Gdyby natomiast powiedział, co jest mało prawdopodobne: ,,Znajdź jaka to siła znajduje się w tym małym kawałku bursztynu'', to w tym pozornym żarcie byłby zawarty klucz do spełnienia poprzedniego żądania, choć klucz byłby odległy a następstwa z tego wynikające nie do przewidzenia.

Osiągnięcia w pracy naukowej zależą od trzech rzeczy: pragnienia aby wiedzieć, inicjatywy aby znaleźć sposób i zdawania sobie sprawy jak go zastosować. Bardzo specjalne warunki muszą być spełnione zanim roślina zakwitnie, kwiat zamieni się w owoc, a owoc dojrzeje.

Nie miejmy złudzeń co do jednej rzeczy. Dziś mamy upamiętnić czyny mniejszości i to drobnej mniejszości. Sam Król był rzadko spotykaną postacią wśród władców na przestrzeni historii. Blask jaki spływał na *Royal Society* dzięki opiece królewskiej zapewniał Towarzystwu szacunek wybitnych osób, ale nie ich udział w składkach, i w roku 1700 łączny dochód *Royal Society* nie przekraczał 100 funtów. Lecz jeśli uczeni nie otrzymywali znacznego materialnego poparcia, nie wynika z tego aby z tej racji byli bez znaczenia dla swojej epoki. Kto reprezentuje daną epokę? Poklask dnia dzisiejszego rzadko poprzedza wyrok przyszłości, ponieważ proces dojrzewania odbywa się w ukryciu i rzadko go można zawczasu rozpoznać. W większości szablonowych opisów historii mówi się o powstawaniu i zanikaniu ruchów politycznych, o przebiegu wojen i o losach ambicji dynastycznych. Uważa się to za właściwy temat dla konwencjonalnych studiów. Podboje i osiągnięcia nauki rzadko kiedy zwracały łaskawą uwagę kronikarza, a badań naukowych normalnie nie traktowano za zajęcie godne człowieka. A jednak osiągnięcia naukowe nie tylko przekształciły warunki życia, ale są one również wytworem ludzkiego geniuszu, a nade wszystko determinacji, poświęcenia i oddania ludzi nauki, którzy z tej racji zasługują na to, by ich uznać za czołowych przedstawicieli swej epoki.

Czego dokonali uczeni w ciągu tych trzech stuleci? W jaki sposób zmienili oni bieg historii? Po tych pytaniach nasuwają się inne. Czy zmiany będą zachodzić ze wzrastającym przyspieszeniem, czy też zatrzymają się w pewnym momencie? Jakie to ma dla nas znaczenie? Stanęliśmy twarzą w twarz wobec wielkich problemów. Czy w poszukiwaniu wiedzy ma brać udział tylko niewielu? Co mamy w tym stanie rzeczy począć?

Kiedy Newton dokonał swej wielkiej syntezy powszechnego prawa grawitacji, wówczas pojęcie wszechświata jako uporząd-

kowanego mechanizmu, przygotowane odkryciami Kopernika, Galileusza i Keplera, nie mogło dłużej budzić wątpliwości. Obraz ten umacniał się w miarę rozwoju prac Laplace'a i jego następców. Mechanika Newtona w połączeniu z praktyczną ludzką wynalazczością stworzyła nowoczesną inżynierię oddając w ten sposób w ręce ludzkie znaczną kontrolę nad otoczeniem i doprowadzając człowieka do progu planetarnej przestrzeni. Dwudziestowieczne idee, głównie pod wpływem Einsteina, nadały bardziej abstrakcyjny charakter podstawowym pojęciom czasu i przestrzeni, materii i energii. Przez dziwny paradoks Natury wyprawa ludzkiego umysłu w jedną z najmniej zbadanych i pozbawionych praktycznych następstw dziedzin poznania doprowadziła bezpośrednio do wyzwolenia energii atomowej i postawiła ludzkość wobec jednego z największych praktycznych problemów do rozwiązania.

Tajemnicze i pozornie nie powiązane ze sobą właściwości elektryczności i magnetyzmu zostały wreszcie objęte wspólną teorią elektromagnetyzmu. Stworzyły one podstawę elektrotechniki i elektroniki, których poszczególne fazy rozwoju są zbyt zawiłe, aby można je było na tym miejscu szczegółowo omówić Jedna z nich niewątpliwie odegrała decydującą rolę: była nią prosta wiara Faraday'a, że obie wielkie siły elektryczności i magnetyzmu są z sobą powiązane. Geniusz Faraday'a, który pozwalał mu cierpliwie podążać za intuicją, był niemal proroczy, lecz mimo tego nie mógł on przeczuć istnienia kolei elektrycznych, telewizji i automacji w przyszłości.

Pogardzane niejednokrotnie eksperymenty alchemików rozwinęły się w naukę chemii. Kiedy spekulację zastąpiono doświadczeniem, teoria atomowa wydała po dwóch tysiącach lat owoce, nareszcie odkryła prawdziwy sekret pierwiastków i związków chemicznych w naturze i pozwoliła stworzyć człowiekowi związki nigdzie w przyrodzie nie znane. Etapy jakimi szedł rozwój nauki były zawiłe a wzajemne stosunki i zależności idei i odkryć tak między sobą splątane, że nie sposób ich po krótce opisać. Wkład do nauki wnosili ludzie z różnych krajów. Na przykład, wszyscy się prawdopodobnie zgodzą że w długim szeregu twórców wspaniałego nowoczesnego przemysłu plastycznego wyróżnia się irlandzki gentleman, francuski urzędnik państwowy, nauczyciel z Manchesteru, niemiecki profesor i amerykański chemik pracujący w przemyśle. Prawdą jest, że natchnienie płynie jak chce i nikt nie wie skąd ono przychodzi ani dokąd zdąża.

Kształty roślin i zwierząt, struktura i funkcje ich części powoli odsłaniały swe tajemnice, a biologia połączyła się z chemią aby stworzyć nowoczesną wiedzę medyczną. Obecnie wszystkie nauki skupiają się na badaniu życia, od prostej komórki aż do najwspanialszego z narządów — ludzkiego mózgu.

W ostatnich stu latach zmieniły się wzory życia codziennego. To co za panowania Karola Drugiego było uważane za sny wizjonerów, lub nawet za oszustwa szarlatanów, jest obecnie

częścią naszego codziennego doświadczenia. Latanie, mowa i widzenie na odległość, niemal cudowne uzdrawianie ze śmiertelnych chorób, maszyny które wykonywują za człowieka ciężką pracę, przeprowadzają za niego delikatne manipulacje i wyręczają go w wysiłku myślowym w stopniu znacznie przewyższającym jego własne możliwości, kolory bogatsze od tęczowych — wszystko to i jeszcze wiele innych rzeczy zostało osiągnięte. Klucz do energii atomowej jaki znalazł się w ręku człowieka otworzył przed nim drogę do niewyobrażalnej potęgi, którą jest w stanie obrócić na dobry lub zły użytek. Klucz do tajemnic ludzkiej osobowości już się zwolna kształtuje i ludzie będą mogli niedługo posługiwać się nim do celów nam nieznanych.

Czyż to nie jest historia?

W dziedzinie idei historia staje się jeszcze dziwniejsza i bardziej burzliwa. Obraz świata jako mechanizmu nasuwał materialistyczny pogląd na świat: pogląd ten nie był podzielany przez Newtona i prawdopodobnie rzadziej wyznawali go uczeni aniżeli ludzie stojący na uboczu, którzy nie są świadomi roli hipotez naukowych. Nowa skala czasu ujawniona odkryciami geologii i biologii przerażała tych, którzy nie odróżniali dosłownych prawd ,,Genesis'' od podstawowych zasad religii i moralności. A gdy teoria ewolucji przez odmówienie człowiekowi uprzywilejowanego aktu stworzenia dopełniła miary oburzenia z powodu uprzedniego usunięcia go z centrum wszechświata, opór przeciwko nowym prądom nauki osiągnął punkt szczytowy. Chociaż opozycja malała, jednak od czasu do czasu podnosiła się znowu przeciw teoriom naukowym dotyczącym takich spraw jak podświadomość, chemiczne podstawy genetyki, funkcjonowanie mózgu i systemu nerwowego lub wpływ hormonów na ludzką osobowość. Każda z tych teorii była niewątpliwie użyteczna w odnośnej dziedzinie zjawisk.

A jednak, o tyle o ile można dać rozsądną ocenę, uczeni liczą w swym gronie ten sam mniejwięcej procent wierzących jaki można znaleźć w całym społeczeństwie. Nie byli oni również w sposób widoczny wyposażeni gorzej od innych w zalety serca i charakteru. W rzeczy samej, pewność, że ostateczne wartości dobra i piękna nigdy nie mogą być zachwiane przez poszukiwanie prawdy, gdziekolwiek by ona prowadziła, jest może znakiem mocniejszej wiary aniżeli wiara, która cofa się przed każdym nowym i pozornie niepokojącym faktem.

Naturalnym biegiem odkryć i interpretacji, na który prawdziwe lub rzekomo filozoficzne lub teologiczne konsekwencje nie miały w żadnym sensie wpływu, idee naukowe zaczęły się rozwijać w ciekawie abstrakcyjnym kierunku tracąc znów w znacznej mierze mechanistyczny i materialistyczny charakter. W obecnym wieku wykorzystywano pewne zasady fizykalne (choć, jak mnie się wydaje, niewłaściwie rozumiane) dla poparcia idealistycznych poglądów, lub też czerpano z nich wątpliwej wartości argumenty dla udowodnienia skądinąd szanownej doktryny wolnej woli.

Teoria kwantów dodała do Newtonowskiej koncepcji o świecie nowy element — nieciągłość. Cząstki elektryczności, cegiełki materii, które dzięki własnemu ruchowi wypełniają wszechświat falami elektromagnetycznymi, pozwoliły na pewien czas stworzyć syntezę, odznaczającą się wielką prostotą i tak potężną, iż dzięki niej powstała cała technologia komunikacji radiowej i znaczna część przemysłu elektrycznego. Lecz przeznaczeniem tej syntezy była dalsza rewolucyjna metamorfoza. Odsłaniając zwolna swe tajniki, Natura objawiła, że wszystko to co składa się na mikroskopowe, niewidzialne substratum materii, jak elektrony, cząstki i fale, nie da się opisać w terminach zaczerpniętych z makroskopowego, widzialnego świata. Intuicyjne pojęcie czasu i przestrzeni zostało zakwestionowane przez teorię względności. Pojęcie elementarnej cząstki podatomowej można wyrazić obecnie tylko przy pomocy abstrakcyjnego równania matematycznego. Same elektrony podlegają szczególnej regule, która mówi, że tylko taka ich ilość może się znajdować w pewnym stanie energetycznym, jaką można wyróżnić za pomocą ściśle określonych wartości liczbowych, które ten stan wyznaczają. Odrębność istnienia cząstek została w sposób zasadniczy powiązana z ich doświadczalnym rozróżnieniem. Niemal metafizyczna zasada wyjaśnia całkowity system pierwiastków chemicznych z całym ich bogactwem i różnorodnością szczegółów. Takie cząsteczki jak mezony i inne, które pojawiają się przy rozpadzie jąder atomowych przy wysokich energiach, oraz znikają i rozpadają się na inne, stawiają nas wobec zagadki, jakiej prawdopodobnie nie będzie można rozwiązać dopóki nie zostaną odkryte nowe prawa.

Tajemnice nieskończenie małego świata jądra atomowego można odnaleźć w powiększonym odbiciu w gwiaździstym wszechświecie. Jaki był początek obecnej ery kosmicznej? Czy się ona odnowi? Czy tak zwana elementarna cząstka jest kosmosem dla cząstek jeszcze mniejszych? Czy znany wszechświat zawiera się w cząstce należącej do systemu wyższego rzędu? Fascynująca tajemnica nie posiada końca, poszukiwanie prawdy nie ma granic. Trzy stulecia były świadkami najbardziej niezwykłej wyprawy w nieznane, jaką kiedykolwiek podjęto. Czyż to również nie jest historią?

W szerokim tego słowa znaczeniu dzieje nauki, o których była mowa, są historią *Royal Society*, które nie stawiało ograniczeń rasowych i narodowościowych w stosunku do członków. Towarzystwo było zawsze z tego dumne, że miało w swym gronie znaczny odsetek największych uczonych świata.

Prawdziwymi aktorami dramatu rozgrywającego się w ciągu tych wieków były jednostki, często niezwykłe jednostki. Jaka wobec tego była rola *Royal Society* jako grupy społecznej? Pytanie to łączy się z jednym z najgłębszych zagadnień — stosunku jednostki do zbiorowości.

Dostrzegalny w świecie nieorganicznym jak i organicznym hierarchiczny porządek rzeczy sprawia, że zbiorowość niższego

rządu staje się indywiduum w systemie rzędu wyższego. Odnosi się to nie tylko do ludzkiego społeczeństwa i królestwa zwierząt, ale również do stosunków jakie zachodzą między komórkami a tkankami, elektronami a atomami, atomami a kryształami. Pewnego rodzaju zasada metafizyczna rządzi społeczeństwem elektronów, chemiczne procesy koordynują życie poszczególnych komórek, a przytaczając choćby jeden przykład z biologii, pewne tajemnicze transmisje sygnałów pięknie kierują lotem stad ptaków.

Sposoby komunikowania się w społeczeństwach ludzkich są znane, lecz co pozostaje tajemnicą to połączenie rozumowych i emocjonalnych czynników decydujących o rodzaju wywołanej reakcji. Wielkie prądy w dziedzinie myśli, a nawet pomniejsze w świecie mody i kaprysów, rozchodzą się od ich promotorów. Tylko mniejszość przejawia niezależny smak oraz wyraża niezależne sądy i oryginalne myśli. Czasem proroka otaczają uczniowie, innym razem jego nauki są wołaniem na puszczy. Avogadro i Mendel zdobyli sławę po śmierci. Rozgłos dzieł literackich wzrasta i maleje. Najbystrzejsze umysły nie są w stanie przewidzieć jakiejkolwiek reakcji publiczności. Rozpowszechnianie idei wymaga właściwego zespolenia nieznanych ludzkich czynników, ale gdy nawet układają się one pomyślnie, nic nie zapoczątkuje zmiany poza działaniem mniejszości tak małej aby uniknąć prawidłowości statystycznej. Często bywa, że mniejszość rozpoczyna się od jednego człowieka, który sam byłby bezsilny. W ten sposób większość i mniejszość są wzajemnie od siebie zależne.

Badania naukowe wymagają warunków i środków materialnych, a w miarę rozwoju wiedzy te potrzeby rosną. Poza nielicznymi wyjątkami, jednostka w odosobnieniu nic sama nie może zrobić. Od społeczeństwa zaś jako od pewnej politycznej i społecznej całości trudno oczekiwać zrozumienia i gotowości okazania pomocy jednostce. Z drugiej strony społeczeństwo nie może pozostać obojętne wobec olbrzymich zadań jakie przed nim stoją. W tych okolicznościach musi powstać pośrednik między jednostką a dużymi grupami ludzkimi. Tym pośrednikiem powinna być niewielka wyspecjalizowana zbiorowość, dostatecznie duża aby nakazać szacunek i zdobyć dla siebie zaufanie, ale ograniczająca dobór swych członków tylko do osób, które stawiają wymagania nauki przed wszystkimi innymi. Zasady organizacyjne jakie miałyby kierować takim ciałem są niezwykle ważne.

Wyspecjalizowane organizacje państwowe są niebezpieczne ze względu na to, że mogłyby się kierować zmienną polityką faworyzującą rozwiązania dające szybkie rezultaty. Słabością uniwersytetów z tego punktu widzenia jest to, że z jednej strony dana gałęź nauki jest podzielona i rozproszona między wieloma uczelniami, z drugiej — że mają one inne ważne zadania, współmierne i rywalizujące z zajmowaniem się nauką.

Akademia jest zatem najbardziej właściwym ciałem, które jest w stanie stworzyć najlepsze warunki naukowe dla rzeczy o żywotnej wadze takich jak nie komercyjne pisma dla publika-

:ji nowych odkryć, pewna pomoc finansowa dla pomysłów w załążku i dalekich jeszcze od widocznych praktycznych zastosowań, teren do umysłowo pobudzających spotkań i dyskusji, wreszcie zaszczyty nie materialnej natury za osiągnięcia naukowe. Rządy mogą patronować. Mogą one ubiegać się oraz ubiegają się o pomoc uczonych i pomoc tę otrzymują; mogą popierać i zachęcać do podjęcia badań których ich zdaniem wymaga obecna chwila. Ale nie mogą one zapewnić ludziom nauki nieuchwytnej a jednak silnej zachęty, jaką jest wybór i przyjęcie do grona uczonych przez ludzi im równych. Akademia, jeśli podtrzymuje wysoki poziom niekwestionowanej bezstronności, nadaje ton całemu światu naukowemu i jej wpływ daje się odczuć w każdej dziedzinie. Akademia nie jest rywalem instytucji państwowych i przemysłu, powinna ona zachować ścisły z nimi związek. przyjmując w swoje grono wybitnych przedstawicieli obu organizacji. Ponieważ ludzie czynu i ludzie sprawujący władzę uważają za zaszczyt wybór do Akademii, jej wpływy sięgają daleko poza krąg świata naukowego. Ludzie zajmujący się nauką zawodowo dowiadują się o potrzebach państwa i przemysłu, a te z kolei zapoznają się z aktualnymi prądami myśli naukowej. Współdziałanie na warunkach równości między przedstawicielami tych różnych dziedzin życia społecznego jest jak praca wrażliwego mechanizmu nerwowego, który dostarcza społeczności, akiej część stanowi, zdolności i możliwości działania jakie nie mogłyby się przejawić w żaden inny sposób. Podobnie, jak nad wyraz skomplikowanego biologicznego aparatu kontrolnego w żywym organizmie nie można zastąpić prymitywnymi mechanicznymi urządzeniami, tak samo subtelnie skoordynowanej działalności Akademii nie można zastąpić biurokratyczną organizacją lub systemem ekonomicznych bodźców lub hamulców.

Tak jak Natura nigdy nie szczędzi trudu dla zachowania gatunku, co w rzeczy samej jest jej największą troską, tak i właściwy dobór członków Akademii jest sprawą, która wymaga dużej dbałości i może jest jej najważniejszym zadaniem.

Na tym opierała się koncepcja *Royal Society*, kształtowana przez tradycję trzech wieków, jaka ożywiała od samego początku umysły jego pierwszych członków i ich stosunku do króla założyciela. Koncepcja ta obejmowała zasadę, iż *Royal Society* winno być pośrednikiem między jednostką a zbiorowością zależąc od lojalności jednostek i od przychylnego zrozumienia zbiorowości. Doniosła rola jaką nauki przyrodnicze odegrały w życiu i rozwoju myśli w pełni usprawiedliwia twierdzenie, że ta tradycja zrodziła dobre owoce.

Nauka nigdy nie ograniczała się do jednej narodowości. Jesteśmy dumni, że zagraniczni członkowie *Royal Society* odegrali czołową rolę w historii Towarzystwa. Nie będzie również przesadą utrzymywać, że idee i dobra wola powstała ze współpracy naukowej przyczyniły się i mogą się przyczyniać, czasem w niesprzyjających okolicznościach, do utrzymania pokoju i harmonii w świecie ludzkim.

W dzisiejszym obchodzie, kiedy *Royal Society* zdaje racl nek przed światem ze swej działalności jest rzeczą właściwą s glądać nie tylko w przeszłość, lecz również w przyszłość. Ja jest przyszłość nauki?

W zasadzie, a w każdym razie w praktyce, nie można dol nywać historycznych ekstrapolacji. Równania uwzględniają warunki dzisiejsze pozwalają podać trzy typy możliwych rozw zań na przyszłość. Z tych lub innych względów wyrażano pr widywania, iż nastąpi upadek i katastrofa, bądź mimo rozw nauki na skutek przeludnienia i głodu, lub za sprawą nauki na skutek całkowitego zniszczenia w wojnie atomowej. Z du dozą pewności przewidywano iż postęp będzie stały i dokony się z przyspieszeniem: w miarę jak każdy krok naprzód w na pomnaża możliwości dalszych odkryć i człowiek zdobywa co większą świadomą kontrolę nad swoim przyszłym rozwoje krzywa postępu wznosi się coraz szybciej. Między tymi alterna wami leży trzecie mniej dramatyczne rozwiązanie, przy któr krzywa postępu przybierze kierunek horyzontalny, lub będ tylko z lekka oscylować.

Lecz równań, o których była mowa, nie da się rozwiąz w każdym razie żadnymi znanymi sposobami. Ludzi mę i prześladuje niepewność, chociaż ich lęk jest mało uspraw dliwiony i nie celowy. W historii świata prawdopodobnie nig nie było wypadku, aby istnienie ludzkości nie było w jaki stopniu zagrożone. Czyn jest w tym wypadku właściwą odpow dzią. Wiara w przyszłość jest potężną siłą, która pozwala pr trwać i przeżyć. Ci którzy są lepiej przygotowani mają oczy ście lepsze szanse przeżycia aniżeli Ci, którzy tego przygo wania nie mają. Mogą oni uratować nie tylko samych sieb lecz również i innych.

Zadanie ludzi nauki jest zatem jasne. Powinni oni iść przód wolni od lęku i niepewności. Wiara w naukę daje się godzić i nie wyklucza innego rodzaju wiary. Nie wydaje s aby zachodziła sprzeczność między wiarą w naukę a przeko niem że jest ona jednym z wielkich narzędzi służących wyższ celom. Jakkolwiek się rzeczy mają, poczucie obowiązku, nak i radość życia wspólnie domagają się nieprzerwanego wysił opartego nie na pewności, lecz na nadziei i wierze, że wie ludzka będzie postępować naprzód, że panowanie nad otoc niem wzrośnie, ciężka ponad siły praca będzie zniesiona, c roby uleczone, ludzie nakarmieni i życie stanie się szczęśl sze. Powstawanie problemów społecznych i moralnych nie łoby niczym nowym, gdyż towarzyszą one odwiecznemu dram towi życia. Dlatego nie powinny one powodować zniechęce ani też usprawiedliwiać stawiania przeszkód postępowi lub uc lania się od wysiłku. Stary jak świat problem wyboru mię dobrem i złem zasadniczo nie zmienia się na skutek pełniejs skali życia. Ludzie zawsze musieli toczyć walkę z otoczeniem innymi i z samym sobą. Stali się oni tym czym są obecnie przez unikanie niebezpieczeństw, zagrożenia lub pokus,

przez niesłabnącą siłę jaką wywierają na otoczenie. Potężne bronie były wytworem pracy mózgu, a wśród nich najpotężniejszą jest wiedza. Kiedy starzy ludzie śnią swoje sny, a młodzi snują marzenia na jawie, my powinniśmy iść naprzód, nie wątpiąc że sny się urzeczywistnią a marzenia zostaną spełnione.

Dzisiejsza uroczystość jest wielkim wydarzeniem w naszej historii. Przyszłość jest nieznana. Kroniki notują czyny i myśli ludzkie, a jeśli wierzyć, że myśl jest procesem twórczym, wówczas przyszłość jest całkowicie przed nami ukryta, gdyż jeszcze nie istnieje. Wyzwolenie energii atomowej, eksploracja przestrzeni międzyplanetarnych, odkrycia mechanizmów genetycznych otwierają wspaniałe perspektywy, które mogą się w ten lub inny sposób urzeczywistnić. Lecz najwspanialszych perspektyw nie można sobie nawet wyobrazić. Z całkowitą zmianą stosunku nauk przyrodniczych do filozofii i do koncepcji możliwych światów może przyjść całkowity przewrót w dziedzinie pojęć. Nie znamy jednak ani dnia ani godziny.

Nie jest obowiązkiem *Royal Society* ani przewidywać ani ustanawiać praw. Jego zadaniem jest chronić mniejszą zbiorowość w ramach społeczeństwa, tak aby mniejszość mogła w pełni rozwijać twórczą działalność. Członkowie *Royal Society* są związani trojaką lojalnością: w stosunku do ludzkości, kraju i *Royal Society*, a z żadnej z nich nie mogą się wywiązać nie będąc wierni pozostałym. Ale to nie wszystko, ponieważ istnieją zbiorowości zarówno w przestrzeni jak i w czasie. Najbardziej oryginalne umysły żyjące w pewnym sensie samotnie wśród swoich społeczeństw są jak ogniwa w łańcuchu pokrewnych im duchów, który łącząc przeszłość z przyszłością pozwala im kontynuować dzieło swych poprzedników i osiągnąć spełnienie własnych zamierzeń w pracy swoich następców (3). Ta historyczna ciągłość pobudza nas do działania i tę ciągłość czcimy w dzisiejszym obchodzie.

Sir Cyril HINSHELWOOD

(*Tłumaczyła Wanda* CZAPSKA-JORDAN)

(3) Newton, otoczony podziwem współczesnych, powiedział, iż widział on „jaśniej niż inni, gdyż stał na barkach olbrzymów" (przyp. tłum.).

O sytuacji w nauce polskiej

W ostatnich dwóch latach instytucjonalna struktura i organizacja życia naukowego w Polsce uległy znacznym przeobrażeniom, zapoczątkowanym nową ustawą o szkołach wyższych z listopada 1958 roku. Można je podzielić na kilka kategorii. Przykładem zmian o charakterze formalno-prawnym jest wspomniana ustawa o szkolnictwie wyższym lub ustawa o Polskiej Akademii Nauk, zmian organizacyjnych — powołanie do życia partyjno-państwowego aparatu do kontroli wymiany naukowej z zagranicą oraz organizacji planującej badania naukowe w skali całego kraju. Zaszły również zmiany w nieformalnej strukturze życia naukowego w wyniku wzrostu działalności organizacji partyjnych w szkołach wyższych oraz centralizacji kierownictwa tą działalnością na szczeblu Sekretariatu KC PZPR. Wreszcie wystąpiły zmiany o ideologicznym charakterze. Przykładów dostarczają ograniczenia wolności nauki oraz ponowne wprowadzenie przedmiotów ideologicznych do programów nauczania w szkołach wyższych.

Struktura i organizacja życia naukowego połączone są związkami różnorodnej zależności z procesami zachodzącymi w ,,szerszym społeczeństwie'', jakimi zajmuje się socjologia nauki. Podwaliny pod socjologię nauki położyli Marks, Durkheim, Weber, Veblen, Znaniecki i wielu innych socjologów, lecz przyciągnęła ona uwagę obserwatorów życia społecznego dopiero po drugiej wojnie światowej. Pobudziły do tego wypadki kliniczne lub patologiczne omawianej zależności, jakie można było obserwować w Niemczech hitlerowskich, Włoszech faszystowskich, Rosji Sowieckiej i krajach demokracji ludowej w okresie stalinowskim. Również w społeczeństwie pluralistycznym lub policentrycznym, jak je określa Stanisław Ossowski, struktura i organizacja życia naukowego nie kształtują się w społecznej próżni. Lecz w społeczeństwach tego typu ustalenie czynników determinujących formalną i nieformalną strukturę

nauki jest bez porównania trudniejsze. W społeczeństwach monocentrycznych, tzn. w społeczeństwach odróżniających się od innych centralizacją i koncentracją władzy, zależności między nauką jako jedną z działalności społecznych a jej społecznym otoczeniem, między procesami zachodzącymi w ,,szerszym społeczeństwie'' a przemianami w obrębie nauki, występują wyraźniej i dają sposobność wykrywania ogólnych prawidłowości.

Ramy tego artykułu nie pozwalają zająć się socjologiczną analizą zmian w strukturze i organizacji nauki w Polsce. Jego cel jest skromniejszy, lecz niemniej ważny. Chodzi w pierwszym rzędzie o ustalenie faktów, których wielu obserwatorów w kraju nie dostrzega, a obserwatorzy poza krajem przedstawiają w sposób budzący zastrzeżenia. Ustalenie faktów wymaga ich lokalizacji w stosunku do jakiegoś układu odniesienia, a w wypadku Polski, kraju o monocentrycznym systemie władzy, tym układem odniesienia jest polityka partii rządzącej. W tym celu sięgniemy do przemówienia Gomułki na III zjeździe PZPR (marzec 1959), gdyż dostarcza ono najważniejszych elementów potrzebnych do zrozumienia zmian w życiu naukowym kraju.

Podstawowe Zasady

We wspomnianym przemówieniu odnaleźć można główne zasady, jakimi kieruje się Gomułka przy ustalaniu planów działania we wszystkich dziedzinach życia społecznego, gospodarczego, politycznego i kulturalnego. Pierwszą z tych zasad jest marksowska teza, iż rozwój sił wytwórczych stanowi motor innych zmian, zarówno w stosunkach wewnętrznych każdego kraju, jak i w stosunkach międzynarodowych. Gomułka nie uzasadniał swego przekonania o nieuniknionym upadku kapitalizmu lub tego co tym mianem określa odwołując się do praw historii. W jego przekonaniu zwycięstwo ,,socjalizmu'' nad ,,kapitalizmem'' jest nieuniknione, gdyż tempo ekonomicznego wzrostu jest szybsze w ustroju ,,socjalistycznym'' aniżeli ,,kapitalistycznym''. Diatryby o humanistycznych i szlachetnych dążeniach ,,socjalizmu'' przeciwstawionych wilczym apetytom i eksploatorskim prawom ,,kapitalizmu'' pełnią rolę retorycznej ozdoby a nie argumentu.

Stroniąc od społecznej utopii i spekulatywnej historiozofii w interpretacji podstawowej tezy materializmu historycznego Gomułka zajmuje postawę pragmatyczną i niejednokrotnie empiryczną w formułowaniu praktycznych dyrektyw i sprawdzianów osiągnięć w dziele ,,budowy socjalizmu''. Kiedyś można było dokonać rewolucji z ,,Manifestem Komunistycznym'' w ręku, dzisiaj już to nie wystarcza:

,,Mówiąc w skrócie, 'Manifest Komunistyczny' — to teoria socjalizmu, a realizowane plany wszechstronnego rozwoju krajów socjalistycznych — to praktyczny, materialny i społeczny obraz socjalizmu'' (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 13).

Druga podstawowa zasada ogranicza pierwszą i stwierdza, że rozwój sił wytwórczych jest warunkiem koniecznym lecz nie wystarczającym ewolucji społecznej ku ,,socjalizmowi'':

,,Sytuacja polityczna, układ sił klasowych w społeczeństwie nie rozwijają się jako proste odbicie przemian ekonomicznych, lecz zależą również od wielu innych czynników kształtujących świadomość mas ludowych i wpływających na siłę wewnętrzną ustroju demokracji ludowej'' (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 59).

Te inne czynniki,, których Gomułka nie wymienił, a które sprawiają, że ,,wpływ bazy ekonomicznej nie urzeczywistnia się w sposób samorzutny ani mechaniczny'', Krzywicki identyfikował z ,,podłożem historycznym'', Plechanow i Bucharin z ,,psychologią społeczną''. Plechanow również podkreślał, iż ,,powolna ewolucja psychologiczna poprzedza rewolucję ekonomiczną'', a na historię składa się zarówno rozwój sił wytwórczych, stwarzających nowe stosunki między ludźmi, jak i procesy przystosowania się i konfliktu między ,,psychologią'' a ,,ekonomiką''.

Doniosła funkcja czynnika psychologiczno-społecznego w procesie ewolucji społecznej prowadzi do wniosku, iż przywódcza rola Partii jest niezbędna, jeśli rozwój sił wytwórczych ma znaleźć właściwe i należyte odwierciadlenie w świadomości społecznej i zaznaczyć się jako postęp ku ,,socjalizmowi''. Stanowi to trzecią fundamentalną zasadę działalności Partii:

,,Gdy następuje osłabienie działalności Partii oraz jej kierowniczej pozycji, gdy organizacje i komitety partyjne wypuszczają ze swych rąk ster życia społecznego — otwiera się pole działania wrogich, antysocjalistycznych żywiołów. Życie społeczne nie znosi próżni politycznej. Do głosu zaczynają dochodzić żywioły obce, wsteczne, antysocjalistyczne. Walka musi wówczas nieuchronnie zaostrzyć się, a wówczas musi również ulec zwężeniu zakres swobód demokratycznych. Partia nasza nie zgodzi się bowiem nigdy na to, aby z wolności należnej ludowi bezkarnie mogły korzystać żywioły antysocjalistyczne dla zwalczania jego władzy i dzieła budownictwa socjalistycznego'' (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 60).

Lecz kierownicza pozycja Partii może być realizowana w najróżnorodniejsze sposoby, a pewne jej formy przynoszą więcej szkód niż korzyści. Mówił o tym Gomułka w swym historycznym przemówieniu październikowym i pisali o tym często ideolodzy marksizmu-leninizmu. Kierownicza rola Partii może w pewnych wypadkach narazić na ,,utratę jakichś realnych bodźców i sił napędowych społecznego rozwoju'', a w innych wyrodzić się w ,,trujący czad zakłamania, fałszu i dwulicowości'' (1). Przywódców PZPR straszy widmo alienacji, która w szczególnych okolicznościach wyładowuje się w rewolucyjnym odruchu, a na co dzień znajduje wyraz w apatii, wrogości, agresywności, brutalności, nieuczciwości i wielu innych zjawiskach życia społecz

(1) Gomułka, Przemówienie na VIII Plenum (1956); A. Schaff, *Nowe Drogi* 1959, 6/120, 31.

nego występujących w kraju nagminnie. Jest rzeczą wątpliwą, czy przywódcy i ideolodzy PZPR zdają sobie sprawę, w jakiej mierze psychologia społeczeństwa masowego, które powstaje w warunkach monocentrycznego systemu władzy, wyznacza warunki sprzyjające szerzeniu się tych plag społecznych i pobudza do zachowań słusznie ocenianych jako uwłaczające poczuciu ładu i dobra publicznego. Można jednak założyć, iż są oni świadomi politycznego zagrożenia, jakie alienacja potencjalnie zawiera. Z tego punktu widzenia metody pośredniego przymusu posiadają zdecydowaną wyższość nad metodami przymusu bezpośredniego. Dojście Gomułki do władzy oznaczało m.in. wyrzeczenie się metod rządzenia opartych na bezpośrednim przymusie, znanych pod umowną nazwą ,,środków administracyjnych'', chyba że z tych lub innych przyczyn są one absolutnie nieuniknione, na rzecz przymusu pośredniego. Postulat kierowniczej pozycji Partii obejmuje omawianą ewolucję w technice rządzenia, co niewątpliwie ogranicza samowolę rządzących i stwarza znośniejsze warunki życia dla ogółu. W języku politycznym kraju określa się ten nowy stan rzeczy jako ,,ludową praworządność''.

Czwartą przesłanką, jaką kieruje się Gomułka, jest prawo każdego kraju do wyboru własnej drogi do ,,socjalizmu''. Zasada ta zakłada z jednej strony uznanie ,,powszechnych i nieprzemijających podstawowych zasad'' marksizmu-leninizmu, sformułowanych w deklaracji 12 partii komunistycznych i uchwalonych w Moskwie w listopadzie 1957 roku, z drugiej poszanowanie specyficznych warunków każdego kraju i każdego etapu historycznego, które stanowią modyfikujące podłoże przy realizacji uniwersalnych prawd marksizmu-leninizmu. Odstępowanie lub porzucenie tych prawd uniwersalnych jest rewizjonizmem, lekceważenie lub pomijanie warunków historycznych i narodowych prowadzi do konserwatyzmu i dogmatyzmu. Trzymanie się arystotelesowskiego złotego środka między dwoma równie niebezpiecznymi ekstremami pozwala zachować ,,twórczy charakter'' doktryny i prawidłowo budować ,,socjalizm'' (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 78-81).

Wszystkie wyżej wymienione zasady są niezbędne do wyjaśnienia zmian w strukturze i organizacji nauki dokonanych w ubiegłych latach, lecz na początek należy poświęcić kilka słów dodatkowych zasadzie pierwszej. Albowiem wątpliwą jest rzeczą, czy Gomułka zajmowałby się w ogóle sprawami nauki, gdyby jej wkład nie był potrzebny do budowy ,,socjalizmu''. Ludzie nauki mogą przyczynić się do przyspieszenia tempa rozwoju sił wytwórczych, co jest warunkiem koniecznym realizacji ,,socjalizmu''. Pierwsza zasada, o jakiej wyżej była mowa, pozwala zrozumieć, dlaczego Gomułka przywiązuje wagę do postępu wiedzy oraz do kontroli Partii nad życiem naukowym. Gomułka oczekuje od nauki usług na rzecz ,,socjalistycznej gospodarki'' i domaga się od niej podporządkowania kierownictwu Partii, gdyż w jego mniemaniu obecnie kierunki badań naukowych nie odpowiadają potrzebom ,,budownictwa socjaliz-

mu''. Całe szkolnictwo ogólnokształcące i zawodowe, każde laboratorium i zakład badawczy, każdy uczony niezależnie od swej specjalności muszą w pełni wywiązać się z wyznaczonej im roli, jeżeli istniejące zasoby ludzkie i materialne mają być całkowicie zmobilizowane na rzecz rozwoju gospodarczego oraz przyspieszenia tempa ekonomicznego wzrostu. Niska wydajność pracy, zła jakość, wysoki koszt produkcji, niedomagania organizacyjne, mała efektywność inwestycji, powolność postępu technicznego, niedomagania technologiczne, zapóźnienia w automacji i pomiarach kontrolnych, hamują rozwój sił wytwórczych. Cierpi on również od niewystarczającego przygotowania zawodowego załóg zakładów przemysłowych, należytej znajomości teoretycznej i praktycznej pracy produkcyjnej w aparacie kierowniczym. Od usunięcia tych niedomagań zależy prawidłowa i sprawna ,,budowa socjalizmu'', a do ich usunięcia niezbędny jest zorganizowany i planowy współudział ludzi nauki, tzn. współudział pod kierownictwem Partii. Wszyscy uczeni mają obowiązek zapoznania się z kierunkiem rozwoju życia gospodarczego wyznaczonym przez Partię i powiązania z nim swych prac badawczych. Nauka musi podejmować przede wszystkim te zadania, jakich rozwiązania domaga się praktyka (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 73).

Gomułka omawiał ponownie te sprawy na spotkaniu członków Biura Politycznego z Prezydium PAN, któremu wyjaśnił iż położenie nacisku na praktyczną funkcję nauki — ,,funkcja społeczna nauki zawsze sprowadzała się w ostatecznym rachunku do doskonalenia narzędzi wytwarzania'' — nie oznacza całkowitego poniechania badań podstawowych. Oznacza jednak, iż prace badawcze szczególnie ważne z punktu widzenia potrzeb gospodarczych i społecznych kraju uzyskają priorytet, by stać się bazą dla rozwiązywania pilnych zadań techniki i gospodarki. Do ustalenia priorytetów niezbędna jest współpraca kierowników życia gospodarczego i uczonych, którzy opierają krótko- i długofalowe plany rozwoju nauki na dyrektywach rządu i wytycznych Partii.

,,Program naszej Partii, opracowane przez nią wytyczne rozwoju Polski winny określać kierunek pracy uczonych polskich tak, jak wytyczają one kierunek działania klasy robotniczej i całego narodu'' (*Trybuna Ludu* 29.5. 1960).

Stosunek Gomułki do nauki jest więc utylitarny. Widzi on w nauce instrument, przy którego pomocy można usprawnić i przyspieszyć tempo ekonomicznego wzrostu, co z kolei przybliża osiągnięcie ,,socjalizmu''. Instrumentalna i utylitarna koncepcja nauki posiada liczne rzesze wyznawców we współczesnym świecie, zarówno w jego części ,,socjalistycznej'' jak i ,,kapitalistycznej'', a w Polsce posiada zwolenników nie tylko w PZPR, lecz również poza Partią nade wszystko w kołach techników i technokratów. Z instrumentalną koncepcją nauki idzie w parze finan-

sowe uprzywilejowanie badań stosowanych kosztem teoretycznych. Wystarczy wspomnieć, iż w Stanach Zjednoczonych przeznacza się 5-7 procent budżetu na cele nauki na badania teoretyczne, a ten nikły procent ocenia się jako sukces biorąc pod uwagę czujne oko Kongresu i jego nadzór nad wydatkami grosza publicznego (2). W Polsce rażące dysproporcje w rozdawnictwie środków finansowych na badania ,,stosowane'' i podstawowe były nagminnie praktykowane w ,,okresie błędów i wypaczeń''. Protesty, jakie podniosły się w 1956 roku i w następnych latach niczego, jak się zdaje, nie osiągnęły. Wulgaryzacja hasła ,,nauka w służbie narodu i postępu'', jak określono zasady finansowania nauki w okresie przedpaździernikowym, nadal rządzi kiesą Ministra Skarbu (3). Politycy zdobyli nadmierne uprawnienia w zakresie nauki i zdołali narzucić swe własne wyobrażenie o niej, niezgodne z właściwym zadaniem badań naukowych i zgubne zarówno dla poznawczej jak i utylitarnej funkcji nauki.

Nowa Ustawa o Szkołach Wyższych

W Polsce istnieje 76 szkół wyższych, z których 40 nadzoruje Ministerstwo Szkół Wyższych (MSW), a pozostałe szkoły sześć innych ministerstw, wydziałów rządowych i partyjnych. Jednym z nich jest Ministerstwo Zdrowia sprawujące nadzór nad Akademiami Medycznymi. W 1957 roku ,,Nauka Polska'' opublikowała memoriał podpisany przez 15 na ogólną liczbę 18 członków Wydziału Medycznego PAN, a skierowany do czynników rządowych. Memoriał nawiązując do podejmowanych wówczas wysiłków naprawy szkolnictwa wyższego podkreślał konieczność ponownego powiązania wydziałów lekarskich z uniwersytetami. Podobnie w lutym 1958 roku Sejmowa Komisja Oświaty i Nauki wysunęła postulat podporządkowania wszystkich szkół wyższych MSW (4). Starania te pozostały jednak bezskuteczne.

Cztery dekrety i akty ustawodawcze wyznaczyły ewolucyjne przemiany w formalno-prawnej strukturze szkolnictwa wyższego w okresie po drugiej wojnie światowej. Pierwszym był dekret z października 1947 roku, który dał Ministrowi szerokie uprawnienia i umożliwił przeprowadzenie dogłębnych zmian w organizacji szkolnictwa wyższego. W okresie 1947-1951 Minister w

(2) Zob. W.H. Whyte, Jr. *The Organization Man*, New York, Doubleday Anchor Books, 1957, 240.

(3) Zob. *Życie Szkoły Wyższej* 1958, 3, 67-68.

(4) F. Czubalski, Zagadnienie organizacji studiów medycznych w Polsce w związku z projektem nowej ustawy o szkolnictwie wyższym. Nauka Polska 5, 1957 (3), 21-32; *Życie Szkoły Wyższej* 1958,3,79, Podobnie zgłoszono postulat włączenia Wyższych Szkół Rolniczych z powrotem do uniwersytetów. Zob. S. Barbacki, O włączenie Wyższych Szkół Rolniczych do Uniwersytetów. *Życie Szkoły Wyższej* 1957, 1, 22-27.

pełni wykorzystał udzielone mu pełnomocnictwa. Tradycyjna, autonomiczna struktura organizacyjna szkół wyższych została zniesiona, a ustawa sejmowa z grudnia 1951 roku skodyfikowała zmiany dokonane uprzednio w drodze administracyjnych zarządzeń.

We wrześniu 1956 roku Sejm dokonał częściowej rewizji ustawy z 1951 r., co nastąpiło w wyniku silnej presji opinii publicznej. W ,,Po Prostu'' ukazał się wówczas list otwarty do posłów na Sejm — pracowników nauki wymienionych w tytule imiennie, który rozpoczynał się od słów: ,,Nikt chyba w Polsce nie ma już obecnie wątpliwości, że aktualny system studiów nie zdał egzaminu życia. Nie mają żadnych iluzji ani profesorowie wyższych uczelni, ani studenci'' (*Po Prostu* 1956, 17/379, 1-2). List podkreślał, iż głównym źródłem niezadowalającego stanu rzeczy stworzonego przez ustawę z 1951 r. było oddanie władzy nad szkołami wyższymi urzędnikom-biurokratom. Partia ugięła się przed werdyktem opinii publicznej, a Sejm znowelizował ustawę lecz w sposób, który nikogo nie zadowolił. Ostatecznie ustawę uchwaloną w okresie stalinowskim zastąpiła ustawa uchwalona przez Sejm w listopadzie 1958 roku i obecnie obowiązująca.

Projekt nowej ustawy był opracowany przez MSW, na którego czele stał wówczas S. Żółkiewski, członek KC PZPR. Z kolei projektem zajęła się Sekcja Uniwersytecka Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego pod przewodnictwem prof. K. Ajdukiewicza. Rada Główna wprowadziła szereg poprawek zmierzających do zapewnienia szkołom wyższym większej niezależności od Ministra. MSW zaakceptowało poprawki, lecz zmieniło zdanie, gdy projektem ustawy zajęła się Komisja Nauki i Oświaty oraz Sekretariat KC PZPR. Z Sekretariatu KC PZPR projekt dotarł do Sejmowej Komisji Oświaty i Nauki, gdzie ponownie podjęto próby liberalizacji ustawy. Wysiłki kilku posłów były daremne i Sejm ostatecznie uchwalił projekt w formie jaka zyskała partyjną aprobatę. Należy podkreślić, iż różnice opinii między Partią a społecznością uczonych dotarły wówczas do publicznej wiadomości za pośrednictwem radia i prasy.

Ustawa z 1958 roku jest pod wieloma względami lepsza niż ustawa z 1951 roku w jej pierwotnej i znowelizowanej wersji. Według dawnej ustawy szkoła wyższa nie posiadała żadnej autonomii. Rządził nią Rektor który był mianowany przez Ministra i mógł być przez niego każdej chwili zwolniony. Minister również mianował Dziekanów. Skład senatu i rad wydziałowych był rozszerzony w taki sposób, iż umożliwiał wywieranie presji z zewnątrz i neutralizował osobisty autorytet uczonych zasiadających we władzach tradycyjnego uniwersyteckiego samorządu. Głos autorytetu naukowego i dydaktycznego, opartego na osiągnięciach i długoletnim doświadczeniu, nie był respektowany i realizowany w najistotniejszych sprawach dotyczących działalności wyższych uczelni. Powaga senatu i rad wydziału dotkliwie

ucierpiała. Przestały one odgrywać właściwą im rolę, stały się „ciałami martwymi" i „uciążliwym dodatkiem do władzy biurokratycznej". W ich miejsce „działały często najrozmaitsze komisje i komisyjki, zastępujące senat lub rady w ich najbardziej istotnych funkcjach" (*Życie Szkoły Wyższej* 1956, 7-8, 5-6). Minister miał prawo zwijać katedry i ustanawiać nowe, powoływał kierowników katedr i w ogólności wszystkich samodzielnych pracowników nauki, których miał nadto ustawowe prawo przenosić z jednej uczelni na inną. Minister również ustalał program nauczania i doglądał jego właściwego wykonania. Stopnie i tytuły naukowe nadawała Centralna Komisja Kwalifikacyjna (CKK), której członkowie byli mianowani przez Ministra. Również członkowie Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego zasiadali w niej z ministerialnej nominacji.

Nowelizacja ustawy z 1956 roku zmieniła nieco ten stan rzeczy. Odtąd Rektor i Dziekani są wybierani przez senat i rady wydziałowe. Minister zachował prawo veta w stosunku do wybranego kandydata i w wypadku sprzeciwu wybory muszą odbyć się ponownie. Minister mianuje Rektora i Dziekana w razie założenia dwóch kolejnych sprzeciwów i ma prawo odwołać ich „jeśli nie wywiązują się ze swych obowiązków". Ustawa z 1958 roku zachowała te postanowienia i dokonała innych ważnych reform.

Jedną z najważniejszych zmian na lepsze jest zniesienie CKK, której często stawiano zarzuty, iż uprawiała polityczną dyskryminację i przyczyniała się do obniżania kwalifikacji wykładowców w szkołach wyższych. Zmarły w 1958 r. Rafał Taubenschlag pisał o CKK, iż „zaczęła mianować docentów bez habilitacji, po prostu na podstawie swobodnego uznania". CKK nie ograniczyła się do mianowania docentów bez habilitacji, lecz „zaczęła mianować także profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych, którzy również habilitacji za sobą nie mieli". Takie odosobnione wypadki miały miejsce w przeszłości. K. Potkański został profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i T. Kotarbiński Uniwersytetu Warszawskiego bez przewodu habilitacyjnego. CKK mianowała profesorami zwyczajnymi i nadzwyczajnymi nie Potkańskich i Kotarbińskich lecz

> „ludzi niedostatecznie kwalifikowanych, którzy żadnej poważniejszej pracy naukowej nie napisali i żadnego naukowego nazwiska nie mieli. Jeżeli nauka prawa w Polsce nie stoi dzisiaj na takim poziomie, na jakim dawniej stała, to główną winę za to ponoszą te nominacje, przy których kierowano się zupełnie innymi względami, a nie względami naukowymi" (*Życie Szkoły Wyższej* 1957, 2, 24).

Opinię, iż CKK jako ciało merytorycznie niekompetentne nie powinna być utrzymana, podzielały także niektóre koła tzw. partyjnych kadr naukowych. Znalazła ona publiczny wyraz w obradach ogólnopolskiej konferencji organizacji partyjnych w wyższych szkołach ekonomicznych w styczniu 1959 roku. CKK, czytamy w sprawozdaniu, została powołana jako „określony

instrument naukowy i polityczny", który dawał docentury za poglądy polityczne kandydatom bez „żadnego dorobku naukowego", w stosunku zaś do innych stwarzał „przysłowiowe ucho igielne i wielu przez to ucho przecisnąć się nie zdołało". J. Ładosz, członek Komisji Oświaty i Nauki KC PZPR, stwierdził na tejże konferencji: „Okres działalności CKK sprzyjał raczej obniżaniu naukowych wymagań ze strony rad wydziałów. Po co było stwarzać konflikty, skoro ostateczną decyzja zapadała wyżej" (*Życie Szkoły Wyższej* 1959, 3, 34-35, 11).

W 1950 roku zniesiono nie tylko postępowanie habilitacyjne nadające po uzyskaniu stopnia doktora docenturę i *veniam legendi*, lecz również wprowadzono w miejsce dawnych doktoratów obcy duchowi polskiemu stopień kandydata nauk. Tryb postępowania, ustalony rozporządzeniem z kwietnia 1952 roku, deprecjonował stopień kandydata, na co niemało wpłynęła, jak o tym pisał Rafal Taubenschlag, „możność uzyskania stopnia kandydata nauk przez osoby, które nie ukończyły studiów wyższych, a więc wprowadzenie pewnego rodzaju kandydatury prawa *honoris*, a raczej *humoris causa*, które musiało tę instytucję do gruntu zdewaluować" (*Życie Szkoły Wyższej* 1957, 2, 21). Należy zaś dodać, iż stopień kandydata nauk uprawniał do nadawania tytułu profesora. Rozdawanie stopni i tytułów naukowych za darmo poważnie obniżyło poziom naukowy, jakiego należy oczekiwać od samodzielnego pracownika nauki. Postulat wysuwany po Październiku, by przeprowadzić weryfikację wszystkich tytułów naukowych nadanych przez CKK nie doczekał się realizacji.

Ustawa z 1958 roku przywróciła stopnie doktora i docenta („docent" jest obecnie stopniem naukowym, „docent etatowy" — tytułem naukowym) a stopnie te nadaje rada wydziału w drodze przewodu doktorskiego lub habilitacyjnego. Uchwała o nadaniu stopnia docenta wymaga jednak zatwierdzenia przez Ministra. Tytuły naukowe profesora zwyczajnego i nadzwyczajnego oraz docenta etatowego są przywiązane do powołania na odpowiednie stanowisko. Docentów powołuje Minister na wniosek rady wydziału, profesorów nadzwyczajnych i zwyczajnych — Rada Państwa na wniosek Ministra.

Druga zmiana na lepsze dotyczy programów nauczania. Ustawa mówi, iż Minister ustala jedynie „ramowe programy nauczania", podczas gdy „szczegółowe programy" pozostawione są w kompetencji rady wydziału. Praktyka okaże, w jaki sposób to rozróżnienie będzie interpretowane. Trzecią zmianą na lepsze jest większa niezależność Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego od Ministra. Według nowej ustawy Rada Główna, która będąc uprzednio „organem współdziałającym z Ministrem" stała się „organem doradczym i opiniodawczym Ministra", pochodzi w 1/3 z nominacji a w 2/3 z wyboru.

Ustawa z 1958 r. jest najlepszą z ustaw jakie dotąd władze komunistyczne nadały szkolnictwu wyższemu. Ale nie jest to ustawa liberalna i Partia nie wyrzekła się w niej żadnego z

dawnych uprawnień. Twierdzenie, iż Polska ,,należy dziś niewątpliwie do krajów o największych swobodach akademickich na świecie'' (*Nowe Drogi* 1959, 6/120, 36), jest tylko wówczas prawdziwe, jeżeli przez ,,świat'' rozumie się ,,blok sowiecki''. Szkoły wyższe odzyskały pewną miarę autonomii, lecz te swobody są udzielone warunkowo, gdyż postanowienia władz uniwersyteckich wymagają z reguły aprobaty Ministra. Istotna różnica między ustawami z 1951 i 1958 roku nie dotyczy zakresu władzy Partii i biurokratycznej organizacji nad szkołami wyższymi, lecz sposobu wykonywania władzy. Uprzednio, jak mówił tekst ustawy, Minister ,,zarządzał szkołami wyższymi'', tzn. kontrolował ich działalność bezpośrednio, obecnie zaś czyni to pośrednio, sprawuje, stosownie do brzmienia obowiązującej ustawy, ,,zwierzchni nadzór''. W ostatecznej instancji Minister, a za pośrednictwem Ministra — Partia, zachowali w dyskrecjonalnym władaniu pełnię władzy nad szkolnictwem wyższym. Władze uczelniane mogą działać swobodnie, jeżeli postępują zgodnie z życzeniami czynników decydujących w państwie, ale w wypadku różnicy opinii lub konfliktu są skazane na bezsilność.

Minister jeśli zechce może narzucić szkołom wyższym swą wolę w każdej sprawie. W szczególności, może on pociągnąć do odpowiedzialności dyscyplinarnej członka uniwersytetu za ,,naruszenie swych obowiązków i uchylenie godności pracownika nauki''. Karami dyscyplinarnymi są upomnienie, nagana, nagana z pozbawieniem praw zajmowania określonych stanowisk, dyscyplinarne zwolnienie i wydalenie ze służby. Do obowiązków pracownika nauki należy kształcenie i wychowywanie młodzieży ,,na ideowych i światłych obywateli Rzeczypospolitej Ludowej, oddanych sprawie socjalizmu''. Na tej zasadzie i przy współpracy wyższej komisji dyscyplinarnej, ustawowo powoływanej przez Ministra, każdy pracownik nauki może być zasadniczo zwolniony lub wydalony z służby, jeżeli takie będzie życzenie Partii.

Ustawa z 1958 r. egzemplifikuje trzecią z wyżej wymienionych zasad jakimi kieruje się Gomułka. Jak często dawał temu wyraz, Gomułka zaleca unikanie ,,środków administracyjnych'', jeśli ten sam cel można osiągnąć na innej drodze. Woli on posługiwać się odmiennymi metodami, wśród których naczelne miejsce zajmuje stały i konsekwentny nacisk odpowiednio stworzonych zewnętrznych okoliczności. Na długą metę presja okoliczności przynosi te same wyniki, jakie można osiągnąć przez wydawanie rozkazów i wymuszanie posłuszeństwa. Nie stwarza natomiast konfliktów oraz nie odstręcza przez poniżenie ludzkiej godności, nie utrudnia a ułatwia dostosowywanie się do presji warunków, czasem w sposób niedostrzegalny i czasem nawet bezbolesny. Ustawa z 1958 r. nie ukrywa faktu, iż Partia zachowała władzę nad szkołami wyższymi i że jest w stanie skutecznie jej użyć. W ten sposób powstał mechanizm nacisku, który jednak nie mobilizuje samoobronnego oporu, a rozładowuje go i stwarza warunki sprzyjające powstawaniu zachowań zgodnych z inten-

cjami ustawodawcy. Partia trzyma w swym ręku efektywną władzę nad szkołami wyższymi, szkoły wyższe zachowują iluzoryczne poczucie, iż rządzą się autonomicznie.

Polska Akademia Nauk

Formalnie Polska Akademia Nauk powstała w wyniku uchwały podjętej przez Kongres Nauki Polskiej w lipcu 1951 roku. Faktycznie decyzję powołania Akademii podjął KC PZPR (5). Uczeni solidaryzowali się z decyzją Partii ze względów częściowo zbieżnych i częściowo rozbieżnych z zamierzeniami przywódców PZPR. Wyjaśnia to pod pewnymi względami losy Akademii w pierwszych latach jej istnienia.

Trzy cele przyświecały Partii, gdy postanowiła powołać do życia Akademię. Po pierwsze, Akademia miała skupić uczonych w ramach organizacji pielęgnującej marksistowsko-leninowską koncepcję nauki z jej podporządkowaniem sprawdzianów logicznych, metodologicznych i teoretycznych względom ideologicznym i politycznym. Po wtóre, Akademia miała zająć się planowaniem badań naukowych w skali całego kraju i zapewnić należyty wkład nauki do rozwoju gospodarki narodowej. Po trzecie, Partia oczekiwała, iż Akademia spełni doniosłą funkcję ideologiczno-wychowawczą. Uczeni polscy, oświadczył prof. Dembowski, pierwszy prezes Akademii, byli wykształceni na wzorach nauki zachodniej i nie doceniali postępowej metodologii marksizmu-leninizmu. Akademia winna odegrać ważną rolę w zaznajomieniu ich z tą metodologią stanowiącą najwyższe osiągnięcie umysłu ludzkiego (6).

Uczeni ze swej strony w pełni uznawali doniosłość niektórych z tych celów. Oddajmy głos jednemu z uczestników wydarzeń, którego artykuł stanowi ważny historyczny dokument:

„Idea *Planu sześcioletniego* pociągała nie tylko uczonych z nominacji partyjnej, lecz także prawdziwych uczonych, partyjnych i bezpartyjnych... *Plan sześcioletni* zdobył dla siebie szerokie koła uczonych polskich, którzy widzieli w nim wielką sprawę całego narodu. *Plan sześcioletni,* który był dziełem Partii, pozyskał uczonych do współpracy z Partią.

Plan sześcioletni, wciągający naukę do realizacji wielkich zadań narodowych, wskazywał uczonym i wszystkim pracownikom nauki ich rację bytu w narodzie walczącym o swoje istnienie i przyszłość. Afirmująca postawa uczonych polskich wobec *Planu sześcioletniego* wyjaśnia wiele kompromisów, jakie z kultem Stalina robili ci uczeni, którzy pragnęli brać udział w realizacji *Planu sześcioletniego,* chociaż nie uznawali niepotrzebnej jego nadbudowy ideologicznej w postaci kultu Stalina czy materialistycznego 'naukowego światopoglądu'. Afirmująca postawa uczonych wobec *Planu sześcioletniego* zawierała w sobie również uznanie kierowniczej roli Partii

(5) H. Jabłoński, Polska Akademia Nauk, autonomiczna organizacja uczonych. *Nauka Polska* 5,1957 (1), 5.

(6) J. Dembowski, *Science in New Poland*. London, Lawrence and Wishard, 1952, 34-35.

w gospodarczym rozwoju kraju. W tym tkwi wyjaśnienie, dlaczego, mimo wszystko, wśród członków Akademii uznawano w mniejszym lub większym stopniu kierowniczą rolę Partii w strukturze Akademii" (J. Chałasiński, *Kultura i Społeczeństwo* 1, 1957 (1), 15-16).

Biorąc udział w pracach Akademii z poczucia społecznego i narodowego obowiązku uczeni znaleźli się w sytuacji trudnej i tragicznie splątanej. Albowiem nie mogli spełnić swej powinności nie udzielając jednocześnie poparcia, jakim był autorytet osobisty i naukowy ich nazwiska, sprawom im obcym lub z którymi się nie solidaryzowali.

Sejm uchwalił ustawę o Polskiej Akademii Nauk w październiku 1951 roku i w kilka miesięcy później Prezydent R.P. mianował pierwsze Prezydium PAN i pierwszych jej członków. Według obowiązującej ustawy wybór członków Prezydium wymagał zatwierdzenia przez Prezydenta R.P., względnie Prezesa Rady Ministrów na mocy Konstytucji z 1952 roku. Do tego postanowienia ustawy odwołała się zapewne Partia, gdy w jesieni 1959 roku Prezes Rady Ministrów powiadomił PAN o decyzji anulującej zatwierdzenie Józefa Chałasińskiego na stanowisku Zastępcy Sekretarza Naukowego PAN, a Prezydium przyjęło tę decyzję jako prawnie wiążącą. Postanowienie ustawy ograniczało autonomię społeczności uczonych i sprowadzało wybory do władz do czczej formalności. Nie miało to jednak dużego praktycznego znaczenia, gdyż z wyjątkiem krótkiego okresu od początków 1957 do marca 1960 roku Prezydium nie sprawowało efektywnej władzy w Akademii.

Albowiem istniała przepaść między publiczną fasadą a rzeczywistą organizacją Polskiej Akademii Nauk. Dla obserwatora z zewnątrz Akademia była społecznością najwybitniejszych polskich uczonych a na jej czele stali ludzie nauki niejednokrotnie o sławnych w świecie nazwiskach. W rzeczywistości kierownictwo Akademii znajdowało się poza Akademią. Prezydium, jak to określił prof. Infeld, opatrywało pieczątką gumową decyzje podjęte przez tzw. Sekretariat Naukowy. Sekretariat nie był ciałem przewidzianym przez ustawę.

,,Sekretariat liczył razem 12 profesorów, w tym 10 członków Partii i 2 bezpartyjnych. Uderzającym rysem Sekretariatu był nie tylko prawie całkowicie partyjny jego charakter, lecz także fakt, że do faktycznego składu Sekretariatu należało także 4 nieczłonków Akademii. Byli to tzw. zastępcy sekretarzy wydziałów; wszyscy byli członkami PZPR. (Później Sekretariat liczył 3 bezpartyjnych). W pracach Sekretariatu stały udział brali również: dyrektor administracyjny, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej i dyrektor Biura Prezydialnego; wszyscy byli członkami PZPR" (J. Chałasiński, *Kultura i Społeczeństwo* 1, 1957 (1), 10).

Nad działalnością Akademii, pisał prof. Chałasiński, ciążyła fikcja samorządu uczonych działających autonomicznie i poddanych publicznej kontroli Zgromadzenia Ogólnego. Ta fikcyjna fasada ukrywała przed opinią publiczną rzeczywisty mechanizm władzy sprawowanej przez ,,uczonych z politycznego awan-

su'' kierujących Akademią w drodze poufnych kontaktów z władzami Partii.

Ten stan rzeczy skończył się nagle i niespodziewanie na historycznym Zebraniu Ogólnym odbytym w połowie 1956 roku. Na tzw. VI sesji ujawniono strukturę władzy w Akademii i poddano wszechstronnej krytyce jej działalność w ubiegłych latach (7). Zakończył się okres dyktatury Sekretariatu Naukowego. Prezydium wybrane kilka miesięcy wcześniej na okres trzyletni podało się do dymisji. W styczniu 1957 roku odbyły się pierwsze wolne wybory lub tak wolne jak na to sytuacja pozwalała. Zachowanie w Prezydium kilku koni trojańskich miało smutne następstwa w dalszym rozwoju wydarzeń. Lecz nawet konie trojańskie przemawiały wówczas głosem ludzi samodzielnie myślących, udzielając wywiadów i wygłaszając przemówienia w jawnej kolizji z ich obecnym stanowiskiem (8). W historii Akademii, jak powszechnie wówczas myślano, rozpoczął się całkowicie nowy okres.

Prezydium czyniło starania, by przywrócić Akademii rzeczywistą wewnętrzną autonomię. Był to niezbędny warunek przekształcenia Akademii w autentyczną organizację uczonych i gwaranta naukowych sprawdzianów. Prezydium dążyło do uwolnienia Akademii od politycznych i ideologicznych nacisków i przywrócenia uczonym pełnej odpowiedzialności za losy nauki. Akademia mogła stać się najwyższą i samorządną organizacją naukową w kraju, jeżeli mając zapewnioną autonomię na mocy prawa i obowiązującego obyczaju pełniłaby funkcję pośrednika między władzą polityczną a społecznością uczonych, oraz swym autorytetem chroniła wolność myśli i słowa, wolność uczenia i badań, której uczeni w pojedynkę nie są w stanie obronić. Jak można było sądzić z publicznych oświadczeń prof. Jabłońskiego, członka KC PZPR, Partia uznawała słuszność tych postulatów i składała przez jego usta zapewnienia, iż będzie je szanować.

Jak się jednak okazało, ustępliwość Partii była podyktowana jej ówczesną słabością i względami taktycznymi, a nie przekonaniem o słuszności postulatów ludzi nauki. Na III zjeździe PZPR Gomułka zapowiedział, iż Partia musi odzyskać pozycje stracone na skutek swego rozbicia, słabego odporu lub braku aktywności. Gomułka nie wymienił Akademii, lecz Akademia stała się wkrótce terenem, na którym Partia postanowiła umocnić swoją ,,kierowniczą pozycję''.

Partia zachowała w Prezydium osoby zaufania. Rola, jaką one odegrały w dalszym rozwoju wydarzeń nie przeniknęła d

(7) Zob. VI sesja Zgromadzenia Ogólnego Polskiej Akademii Nauk PAN, Sprawozdania z czynności i prac 4, 1956 (3).

(8) Zob. wywiady udzielone przez prof. H. Jabłońskiego ,,Trybuni Ludu'' (16. 12. 1956) i ,,Życiu Warszawy'' (11.1.1957) lub referat wygłoszony na Zgromadzeniu Ogólnym członków PAN w styczniu 1957 rok (*Nauka Polska* 5, 1957 (1), w szczególności str. 16).

publicznej wiadomości. Wiemy jednak z opublikowanych dokumentów, iż na sesjach plenarnych KC PZPR i na zjeździe partyjnym Sekretarz Akademii zalecał stosowanie ,,metod administracyjnych'', przywracających prawidłowości właściwe ustrojowi demokracji ludowej, tzn. podporządkowanie samodzielnego rozwoju nauki pozanaukowym instancjom politycznym. Trudno jest wątpić, iż tzw. partyjni uczeni odegrali poważną rolę w akcji likwidacyjnej zakończonej pozbawieniem Akademii charakteru autonomicznej organizacji uczonych.

Taki jest bowiem sens nowej ustawy o Polskiej Akademii Nauk uchwalonej przez Sejm 17 lutego 1960 roku. Ustawa oddaje efektywną władzę w Akademii w ręce Sekretariatu Naukowego, którego członkowie są mianowani przez Radę Państwa względnie przez Prezesa Rady Ministrów. Funkcje Prezydium sprowadzone zostały do funkcji honorowych i reprezentowania Akademii na zewnątrz. Statut organizacyjny PAN nie pozostawia wątpliwości, iż Prezydium, którego wybór nadal wymaga zatwierdzenia przez Radę Ministrów, nie może niczego inicjować i niczego postanowić bez zgody Sekretariatu Naukowego. Wprawdzie statut mówi, iż Prezydium ,,sprawuje nadzór nad działalnością Sekretariatu Naukowego'', lecz nie wyjaśnia jak można sprawować nadzór nad ciałem niezależnym od Prezydium, nie ponoszącym odpowiedzialności przed Zgromadzeniem Ogólnym i spełniającym swe funkcje z partyjnej nominacji. Faktycznie Sekretariat Naukowy sprawuje nadzór nad Prezydium, w którym zasiada z urzędu, oraz dzierży ,,operatywne'' kierownictwo sprawami Akademii. Sekretariat Naukowy kieruje działalnością wszystkich jednostek organizacyjnych Akademii, Sekretarz Naukowy jest służbowym przełożonym wszystkich zatrudnionych pracowników. Sekretariat projektuje organizację i plany prac badawczych Akademii, opracowuje budżet, powołuje przewodniczących oraz członków komitetów naukowych i rad naukowych, kierowników wszystkich innych jednostek organizacyjnych i docentów etatowych w placówkach Akademii. Sekretariat ustala plany wydawnicze oraz plany w zakresie współpracy naukowej z zagranicą, wreszcie przygotowuje projekty i wnioski nawet w sprawach ustawowo pozostawionych w kompetencji Zgromadzenia Ogólnego i Prezydium. Rolę jaką Sekretariat Naukowy spełniał w latach 1952-1956 w wyniku konspiracyjnie ustalonej praktyki spełniać będzie obecnie w sposób jawny i na mocy obowiązującej ustawy. Skład Sekretariatu Naukowego na lata 1960-1962 mówi sam za siebie, na 10 członków sześciu jest członkami PZPR. Wchodzą do niego: H. Jabłoński, członek KC PZPR, A. Biernacki, M. Jaroszyński, członek ZSL, A. Listowski, członek PZPR, F. Miksztal, W. Nowacki, członek PZPR, W. Stefański, P. Szulkin, członek PZPR, M. Śmiałowski, członek PZPR, S. Żółkiewski, członek KC PZPR (*Trybuna Ludu* 16.3.1960).

W czerwcu 1956 roku Zgromadzenie Ogólne położyło kres dyktaturze Sekretariatu Naukowego, w marcu 1960 roku Zgro-

madzenie Ogólne przyjąć musiało do wiadomości, iż dyktatura Sekretariatu Naukowego została przywrócona bez zasięgania jego opinii na mocy decyzji Partii ubranej w formę ustawy sejmowej. ,,Polska Akademia Nauk'', oświadczył jej Sekretarz Naukowy z nominacji, cieszący się obecnie tytułem ministra, ,,odnalazła... właściwe miejsce w systemie organizacji nauki w Polsce Ludowej, przynajmniej jeśli idzie o stworzenie podstaw prawnych jej dalszego rozwoju. Wydaje mi się, że jest to w obchodzącym nas tu zakresie główne osiągnięcie minionego 3-lecia'' (*Nauka Polska* 8, 1960 (2), 26). Zgromadzenie Ogólne wysłuchało oświadczenia w milczeniu.

Planowanie Badań Naukowych

Nowa ustawa o Polskiej Akademii Nauk podporządkowując organizację i działalność Akademii dyrektywom Partii udziela pozornej nagrody pocieszenia, mianowicie postanawia, iż ,,Akademia'' jest naczelnym organem państwowym w zakresie zleconych jej zadań. Do zadań tych należy opracowywanie przy współudziale zainteresowanych ministerstw okresowych i perspektywicznych ogólnokrajowych planów badań naukowych oraz wykonywanie funkcji doradcy rządu w sprawach nauki. W prasie, dyskusji sejmowej i w przemówieniu Sekretarza Naukowego na Zebraniu Ogólnym PAN można było znaleźć twierdzenie, iż ,,z chwilą uchwalenia ustawy Polska Akademia Nauk objęła funkcje organu planującego i koordynującego badania naukowe w skali krajowej''. Nie jest to zgodne ani ze stanem prawnym ani ze stanem faktycznym. Albowiem funkcje te nie są zlecone Akademii a Sekretariatowi Naukowemu, organizacji partyjnej, powołanej przez Partię i wykonującej jej dyrektywy, a funkcje te Sekretariat sprawuje łącznie z innymi organizacjami partyjno-rządowymi. Odpowiedzialność za te plany i za dalsze losy nauki w Polsce ponosi odtąd Partia, a nie społeczność uczonych skupiona w Akademii.

Na podstawie ustawy powołane zostało do życia ciało noszące nazwę ,,Komisja Planowania i Koordynacji Badań Naukowych PAN''. Na czele Komisji stoi prezydium, któremu przewodniczy wiceprezes PAN (prof. J. Groszkowski), wspomagany przez czterech wiceprzewodniczących — Ministra Szkolnictwa Wyższego, Zastępcy Sekretarza Naukowego PAN, Zastępcy Przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, oraz Przewodniczący Komitetu dla Spraw Techniki (niemal wszyscy członkowie prezydium są członkami PZPR). W prezydium Komisji PAN zasiadają więc osoby, które nie są członkami Akademii. Cztery z tych osób, włączając Ministra Szkolnictwa Wyższego, reprezentują nauki techniczne, mając do pomocy praktyka ekonomistę. Do Komisji Planowania

Koordynacji Badań Naukowych należy nadto 10 przedstawicieli różnych gałęzi nauki oraz przedstawiciele ,,szczególnie zainteresowanych w badaniach naukowych i ich planowym rozwoju resortów''. Zasada ,,jedności teorii i praktyki'' jest w pełni realizowana.

Organem pomocniczym Komisji Planowania i Koordynacji Badań Naukowych są komitety naukowe, obecnie w liczbie 64. Powołanie komitetu uchwala Prezydium PAN, lecz jego przewodniczącego i członków mianuje Sekretariat Naukowy. W skład komitetu wejść mogą członkowie Akademii oraz stosownie do brzmienia statutu PAN ,,inni wybitni pracownicy nauki i wybitni praktycy, przedstawiciele zainteresowanych resortów, instytucji, organizacji gospodarczych i organizacji społecznych''. Komitety dzielą się na działające przy Prezydium PAN lub przy poszczególnych wydziałach Akademii, lecz udział w nich biorą osoby nie związane z Akademią, a Prezydium lub ogół członków PAN nie ma wpływu na sposób ich powołania.

Komitety naukowe przygotowują wnioski dotyczące zorganizowania określonych badań w danej dziedzinie nauki oraz wprowadzenia ich do planu krajowego. Wnioski te stanowią materiał, z którego Komisja Planowania i Koordynacji Badań Naukowych dokonuje selekcji, stosownie do ogólnych instrukcji partyjno-rządowych, oraz opracowuje projekt planu ogólnopaństwowego. Projekt na lata 1961-1965 podobno zawiera 102 problemy. Plan badań naukowych obowiązuje wszystkie zakłady i placówki naukowe Akademii, szkół wyższych i instytutów resortowych, którym zleca się wykonanie planu. Członek Akademii jest obowiązany na mocy ustawy ,,prowadzić prace naukowe zgodnie z planem prac Akademii'' oraz ,,składać roczne sprawozdania ze swoich prac właściwym wydziałom Akademii''.

W przeciwieństwie do dawnej ,,metodologii planowania'', plan ogólnopaństwowy nie będzie obejmował wszystkich dziedzin wiedzy i wszystkich pracowników nauki. O ile można wyrobić sobie opinię o tym, na podstawie ogólnikowych i nie zawsze zgodnych wypowiedzi, plan ogólnokrajowy ma obejmować jedynie problemy szczególnie ważne dla gospodarki i kultury narodowej (co to konkretnie znaczy, piszący te słowa nie umie wyjaśnić). Ale nikt nie jest zwolniony od planowania w swoim własnym zakresie, niezależnie od tego czy bierze lub nie bierze udziału w planie centralnym. Badania naukowe poszczególnych placówek, zakładów i katedr nie objętych planem centralnym tworzyć będą ,,plan zbiorczy'', a każdy ,,pion'' organizacyjny nauki, a w szczególności MSW i Akademia, mają obowiązek nadać ,,planowi zbiorczemu'' maksimum koordynacji. Zakład PAN, katedra wyższej uczelni i instytut resortowy mogą zgłosić udział w częściowym opracowaniu problemów objętych państwowym planem badań naukowych lub planować we własnym zakresie podejmując bądź prace w określonym ,,kierunku'' bądź określone ,,zadania''. Suma tych planów cząstkowych i planu

centralnego ma dać wykaz wszystkich badań prowadzonych w kraju w danym roku lub okresie (9).

Działalność Organizacji Partyjnych w Szkołach Wyższych

Komisja Nauki i Oświaty przy KC PZPR powstała w lutym 1957 roku. Jej przewodniczącym był Jerzy Morawski, jego zastępcami Wł. Bieńkowski i S. Żółkiewski. Po dymisji Morawskiego obradom Komisji przewodniczył Ochab. Zasiadali w niej nadto S. Arnold, F. Bielecki, H. Jabłoński, S. Kwiatkowski, M. Klimek, O. Lange, J. Ładosz, K. Petrusewicz, A. Schaff, G.J. Seidler, W. Stankiewicz, D. Smoleński, W. Tułodziecki, S. Turski i S. Wierbłowski.

Zadania Komisji Nauki i Oświaty nie były podane do publicznej wiadomości, lecz wiadomą jest rzeczą, iż jednym z ważnych jej zadań jest ożywienie działalności organizacji partyjnych (POP) w szkołach wyższych i zakładach naukowych. Po dwóch latach działalności Komisja nie mogła wykazać się należytymi osiągnięciami i była przedmiotem krytyki na III zjeździe PZPR (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 212-213, 511-513). Wyrażono przypuszczenie, iż nikła aktywność Komisji była podyktowana jej oceną organizacji partyjnych, uznaniem ich za nie niedojrzałe ,,do podjęcia trudnej odpowiedzialności politycznej za sprawy swojej uczelni''. Stanowisko Komisji nie było pozbawione podstaw. Organizacje partyjne paraliżowała apatia, niechęć działania po doświadczeniach ,,okresu błędów i wypaczeń'', brak zaufania do ideologów partyjnych zmieniających poglądy jak kameleon kolor skóry. Lecz w niektórych wypadkach, np. na Uniwersytecie Poznańskim i Uniwersytecie Warszawskim, organizacje partyjne weszły do akcji i mogą wykazać się pewnymi sukcesami.

Organizacje partyjne na uczelniach mają kształtować oblicze społeczno-polityczne kadry i ideowo-polityczne młodzieży studiującej, oraz realizować politykę Partii na wyższej uczelni. Artykuł w *Życiu Szkoły Wyższej* wyliczył cztery główne zadania organizacji partyjnej. Po pierwsze, ma ona ,,doprowadzić przez odpowiednią akcję społeczną do tego, by do władz uczelni i

---

(9) Zob. Wł. Michajłow, O planowaniu i organizacji badań naukowych w szkołach wyższych. *Życie Szkoły Wyższej* 1960,9, 28-49); H. Jabłoński. Niektóre problemy planowania badań naukowych. *Nowe Drogi* 1961, 1/140, 50-58.

Artykuł W. Nowackiego ,,Nad planem 5-letnim badań naukowych'' (*Nowe Drogi* 1961, 2/141, 102-107) dotarł do rąk piszącego, gdy jego własny artykuł był już w druku. Nie rozproszył on obaw, iż plany badań naukowych służą w pierwszym rzędzie doraźnym potrzebom gospodarczym bez należytego uwzględnienia potrzeb nauki. Bez należytego uwzględnienia tych potrzeb nie można oczekiwać, by na długą metę nauka mogła wywiązać ze swych zadań utylitarnych.

wydziałów byli wybierani profesorowie, którzy chcą i mają faktycznie możliwości sterować życiem szkoły w kierunku jej socjalistycznego rozwoju, którzy nie tylko zgadzają się na taki rozwój, ale chcą także aktywnie się do niego przyczynić''. Po wtóre, zadaniem organizacji partyjnej jest udzielanie władzom uczelni wszechstronnej pomocy w realizacji powyższych zamierzeń. Po trzecie, organizacja partyjna winna przewodzić w bezpośredniej akcji politycznej na uczelni i mobilizować wszystkie ,,siły postępowe i twórcze'' na rzecz socjalistycznego rozwoju uczelni. Po czwarte, obowiązkiem organizacji partyjnej jest skupić uwagę na przedmiotach ideologicznych, na filozofii, socjologii, ekonomii politycznej i historii ruchu robotniczego, tzn. na przedmiotach kształtujących postawę światopoglądową i polityczną młodzieży (*Życie Szkoły Wyższej* 1958, 11, 28-32).

W normalnych okolicznościach osiągnięcie pierwszego celu, tzn. zapewnienie wyboru do władz uczelnianych członków Partii i osób posiadających jej zaufanie, co nie zawsze się z sobą pokrywa, nie byłoby rzeczą łatwą. ,,Partyjne kadry'' na wyższych uczelniach stanowią drobną mniejszość i w stosunku do ogółu samodzielnych pracowników nauki (profesorowie zwyczajni i nadzwyczajni oraz docenci etatowi) liczą 24% na wydziałach prawa, 21% na wydziałach historii, 28% na wydziałach filozoficzno-społecznych, 13% na wydziałach matematyczno-fizycznych i 10% na wydziałach biologii (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 364). W radach wydziału samodzielni pracownicy nauki mają obecnie zdecydowaną większość.

Ponadto, cyfry dotyczące siły liczbowej ,,kadr partyjnych'' na uniwersytetach nie dają wiernego obrazu sytuacji w całym kraju, ponieważ wielkie skupienie szkół wyższych, katedr, zakładów naukowych, samodzielnych pracowników nauki w stolicy zaznacza się jeszcze wyraźniej w odniesieniu do ,,kadr partyjnych''. Nie sprostamy sami zadaniom w zakresie filozofii, ekonomii, ani nawet polonistyki, oświadczyła E. Maleczyńska, profesor historii Uniwersytetu Wrocławskiego i członek KC PZPR, jeśli MSW i władze partyjne nie zapewnią dopływu ,,kadr partyjnych'' z ośrodków warszawskich. Podobną sytuację sygnalizowano z innych prowincjonalnych miast uniwersyteckich (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 212, 471). A. Schaff silnie poparł postulat przedstawicieli prowincjonalnych uczelni i domagał się, by odpowiednie władze zajęły się nim szybko i zdecydowanie. Zalecając przeniesienie do ośrodków poza-warszawskich na stałe lub w drodze dojazdów ,,kadry partyjnej'' skupionej w stolicy, Schaff pisał: ,,Idzie tu w ogromnej większości o ludzi młodych, którzy latami uczyli się na koszt państwa czy Partii. Czas spłacić dług. To jest obowiązek partyjny i obywatelski'' (*Nowe Drogi* 1959, 6/120, 38). Wreszcie Biuro Polityczne KC PZPR podjęło uchwałę zobowiązującą partyjnych pracowników nauki do przeniesienia się z Warszawy do ośrodków poza-warszawskich (*Trybuna Ludu* 28.4.1959). O ile wiadomo, apele i decyzje władz partyjnych dały bardzo skromne rezultaty.

W tym stanie rzeczy postulat wyboru do władz uczelnianych członków Partii i osób cieszących się jej zaufaniem nie byłby praktycznie wykonalny bez dodatkowych środków pomocniczych. Dostarcza ich ustawa o szkołach wyższych. Albowiem Minister może odmówić zatwierdzenia Rektora lub Dziekana, a dwa kolejne sprzeciwy pozwalają mu wyznaczyć własnego kandydata. Zręczne posługiwanie się tym postanowieniem ustawy pozwala nielicznej a zdecydowanej grupie partyjnych pracowników nauki przeprowadzić swych kandydatów niezależnie od woli większości elektorów. Takie wypadki miały miejsce na uczelniach warszawskich w ubiegłym roku. Organizacje partyjne, pisały *Nowe Drogi*, otoczyły troską wybory dziekanów, a ,,dzięki temu do władz wydziałów wybrano więcej członków Partii niż było ich poprzednio'' (*Nowe Drogi* 1960, 10/137, 108).

Podobne manewry są być może chlebem codziennym polityka pośledniejszego formatu, lecz niegodne osób, które głoszą, iż mają dobro nauki na sercu i zaliczają się w poczet pracowników nauki. Ale w następstwie podobnych manipulacji ograniczone swobody wyboru władz uczelnianych mogą całkowicie zniknąć. Ustawa będzie mówić o tym, iż Rektora i Dziekanów wybiera senat i rady wydziału, wyniki wyborów zaś będą takie jak gdyby powoływał ich Minister i Partia stosownie do uznania. Rozbieżność między literą a wykonaniem ustawy powoli się zaznacza i ujawnia mniej budujące aspekty ,,ludowej praworządności''.

Przeniesienie Profesorów w Stan Spoczynku

Ustawa o szkołach wyższych z 1958 roku przewiduje, iż pracownik nauki jest zwolniony ze swego stanowiska z końcem roku szkolnego, w którym kończy 70 lat życia. W czasie dyskusji nad projektem ustawy ten punkt był z różnych względów oceniany ujemnie. Wysunięto propozycję, by go przeredagować i pozostawić prawo wyboru zainteresowanym (*Życie Szkoły Wyższej* 1958, 7-8, 9). Poprawki tej nie uwzględniono i ustawę uchwaloną w brzmieniu wyżej podanym zastosowano po raz pierwszy w 1960 roku. W latach następnych będzie stosowana automatycznie. W ubiegłym roku przeszło w stan spoczynku około 220 profesorów. O ile wiadomo, wykonanie postanowienia ustawy było bezstronne. Przeniesieni na emeryturę profesorowie nie ponieśli strat finansowych, a w niektórych wypadkach ich warunki materialne będą nawet lepsze.

Przeniesienie profesorów w stan spoczynku jest wykonaniem obowiązującej ustawy i odnośne postanowienie uznać można za słuszne i racjonalne. Ale decyzja w zasadzie słuszna może być błędna w konkretnych warunkach, a sytuacja w Polsce jest wyjątkowa i nie uzasadnia postanowienia ustawy w jej obecnym brzmieniu.

„W uniwersytetach", mówił Minister Szkolnictwa Wyższego, „5,5% katedr jest dziś nie obsadzonych, 3% — obsadzonych zastępcami profesora, 5,5% — osobami, których głównym miejscem pracy nie jest uniwersytet. Łącznie w uniwersytetach 14% katedr pozbawionych jest właściwej obsady. W politechnikach procent ten jest jeszcze wyższy i wynosi 27,4%" (*Życie Szkoły Wyższej* 1960, 9, 8).

Zagadnienie w jaki sposób rozszerzyć i przyspieszyć proces kształcenia „kadr naukowych" jest stale dyskutowane i słusznie przysparza zmartwień tym, którzy troszczą się o należyty i właściwy rozwój nauki w Polsce. Fakty jakie przeniknęły do publicznej wiadomości są alarmujące. W dziedzinie fizyki, stwierdził prof. L. Sosnowski, jest obecnie czynnych 37 profesorów i 40 docentów. W 1965 r. liczba nie obsadzonych katedr na uniwersytetach, politechnikach, szkołach rolniczych i akademiach medycznych wyniesie 100 etatów, czyli więcej niż liczba fizyków obecnie czynnych, a to wliczając już przewidywany przyrost wykładowców w drodze habilitacji (*Życie Szkoły Wyższej* 1960, 9, 83). W skali całej nauki sytuacja jest równie rozpaczliwa:

„Braki samodzielnej kadry naukowej są duże. Na uniwersytetach np. 25% profesorów w ciągu 5 lat osiągnie wiek emerytalny. Najoptymistyczniej licząc tylko 10% młodych adiunktów uzyskałoby w tym samym czasie docentury. Ilość ich nie wyrównałaby zatem nawet połowy ubytku" (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 365).

W tym stanie rzeczy przenoszenie profesorów w stan spoczynku może jedynie pogłębić kryzys w szkolnictwie wyższym i przyczynić się do spadku poziomu nauczania. Jaki był sens tej decyzji, jeżeli brak mu rzeczowego uzasadnienia? Czy inspirowały ją względy polityczne i ideologiczne? Niezależnie od tego, jaką odpowiedź przyszłość przyniesie, przejście starszych profesorów w stan spoczynku oznacza olbrzymią stratę wiedzy, doświadczenia i autorytetu, które powściągały działalność biurokratów i ideologów oraz częściowo neutralizowały skutki politycznej ingerencji w sprawy szkolnictwa wyższego i nauki (10).

Wolność Nauki i Obowiązkowe Wykłady Przedmiotów Ideologicznych

Warunki istniejące przed 1956 rokiem mogły stwarzać wrażenie, iż marksizm-leninizm zajął dominującą intelektualną po-

(10) Już w trakcie druku tego artykułu dotarły do rąk piszącego nowe publikacje, mianowicie, E. Kujawski, O rozwoju młodej kadry naukowej w Polsce, *Kultura i Społeczeństwo* 4, 1960, 4, 107-148, oraz H. Golański, Dziś i jutro kadr naukowych, *Nowe Drogi* 1961, 2/141, 108-114. Zawierają one wiele nowego materiału informacyjnego dotyczącego omawianego zagadnienia. W Golańskim MSW zyskało kierownika, którego oddanie sprawie rozwoju szkół wyższych, kompetencja i zrozumienie specyficznego charakteru wyższych uczelni jako instytucji społecznych i zespołów żywych ludzi nie podlegają wątpliwości.

zycję na wyższych uczelniach i w środowiskach ludzi wykształconych. Jak wiemy, było to optyczne złudzenie, wywołane ograniczeniem wolności myśli i słowa. Pozbawieni ochrony administracyjnej oraz zdani na własne siły ideolodzy niedawno panującej doktryny stali się grupką ludzi bezsilnych, nie przygotowanych do samodzielnego myślenia. H. Jabłoński i A. Schaff przyznają szczerze iż największej słabości marksizmu-leninizmu trzeba szukać w umysłach wyznawców tej doktryny, a tę diagnozę potwierdził również Gomułka (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 74, 297; 6/120, 35-36). Ponowne ograniczenia wolności nauki i wprowadzanie przymusowego nauczania przedmiotów ideologicznych jest konsekwencją poniesionej intelektualnej porażki. Po-październikowa polityka Partii opierała się na założeniu, iż kadry partyjne ,,mogą podjąć otwartą walkę z obcą ideologią i mogą w tej walce zwyciężyć'' (*Nowe Drogi* 1959, 6/120, 31). Te nadzieje okazały się płonne, co wymagało podjęcia środków zaradczych. Nauka i kultura, pisał Schaff, są zjawiskami społecznymi, które mogą popaść w konflikt z nadrzędnymi celami życia społecznego, a w takim konflikcie każdy kto nie jest utopistą odda pierwszeństwo postulatom politycznym:

,,Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że gdy abstrakcyjnie słuszna zasada wolnego i nieskrępowanego rozwoju twórczości naukowej i artystycznej zaczyna rodzić ujemne skutki polityczne, gdy w szczególności kieruje się przeciw podstawom ustroju, jego rozwojowi, jej działanie zostaje ograniczone przez ingerencję zewnętrzną. I powinno być w takim wypadku ograniczone'' (*Nowe Drogi* 1959, 6/120, 29).

Rozłączna dysjunkcja: albo swoboda dyskusji i wolne ścieranie się poglądów albo budowa ,,socjalizmu'', przyjęta bez próby uzasadnienia, jest dysjunkcją fałszywą. Lecz na tej dysjunkcji opierają się wszystkie zarządzenia, które ograniczają wolność nauki w kraju. Do niej odwołują się przywódcy i ideolodzy PZPR wprowadzając lub broniąc różnych ograniczeń wolności myśli i słowa.

W imię zasady obrony ,,socjalizmu'' przed nadmiarem swobodnego rozwoju nauki likwiduje się pełne studia filozoficzne na prowincjonalnych uniwersytetach. Albowiem katedry ,,niemarksistowskiej'' filozofii, socjologii, ekonomii politycznej i innych dyscyplin objętych wspólną nazwą przedmiotów ideologicznych istnieć mogą tylko w takim wypadku, gdy będą obok nich działały ,,odpowiednie placówki marskistowskie''. Ponieważ stworzenie tych ,,placówek marksistowskich'' poza Warszawą okazało się rzeczą niewykonalną, tylko Uniwersytet Warszawski będzie dysponować pełnym studium filozoficznym, podobnie jak to miało miejsce w okresie stalinowskim. Wydział filozoficzny U. W. dostarcza bowiem modelu należytej równowagi ,,marksistowskich'' i ,,niemarksistowskich'' wykładowców w zakresie filozofii (*Nowe Drogi* 1959, 6/120, 37-38).

W imię obrony ,,socjalizmu'' przed następstwami swobodnej wymiany poglądów Gomułka zapowiedział, iż nie będzie

dopuszczać do publikacji ,,prac pseudonaukowych, pisanych z pozycji wrogości do socjalizmu'' (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 75). Jakie publikacje podpadają pod kategorię objęta powyższym ogólnikiem? W języku marksizmu-leninizmu pseudo-naukową jest każda publikacja, która zajmując się zagadnieniami objętymi oficjalną doktryną staje na odmiennym stanowisku lub dochodzi do konkluzji niezgodnych z tezami marksizmu-leninizmu. Podobnie, ,,pozycje wrogości do socjalizmu'' to takie pozycje, które nie pokrywają się z orędziami każdorazowych przywódców PZPR. Gomułka widzi samego siebie jako bojownika postępu zmagającego się z ,,obskurantyzmem i ciemnogrodem fideistycznym'' dla dobra swych rodaków i całej ludzkości. Jednym pociągnięciem pióra cenzora rozprawiłby się z argumentem, iż do obozu obskurantyzmu i fideistycznego ciemnogrodu należy każdy system poglądów, niezależnie od ich treści, jeśli uchyla się od konfrontacji z faktami i argumentami oraz ucieka się do likwidacji opinii z nim niezgodnych. Sekciarstwo nie zmienia swej natury po opatrzeniu go ładnie brzmiącym przymiotnikiem. Nigdy nie brakło i nigdy nie zabraknie ludzi o ciasnych horyzontach, którzy próbują własną prawdę narzucić innym, jak gdyby na świecie nie było prawd innych. Prawda wyznawana niezależnie od rozumowania i podtrzymywana środkami przemocy jest tylko przesądem. Przesądy zawsze występują publicznie ubrane w szaty prawdy absolutnej i nieodmiennie wtłacza się je w głowy ofiar dla ich własnego dobra, którego same nie są w stanie rozeznać. Tylko mądrość rządzących, ich tajemniczo nabyta zdolność wykrywania prawd absolutnych w miarę wznoszenia się w górę po szczeblach hierarchii władzy zdolna jest zbawić dusze rządzonych.

W imię obrony młodzieży przed wpływami myśli burżuazyjnej wprowadza się ponownie na wyższe uczelnie przedmioty ideologiczne. Obowiązkowe wykłady z zakresu filozofii, socjologii, etyki, ekonomiki dla ogółu studentów będą ,,prowadzone wyłącznie w duchu marksizmu'', tzn. będą wypełnione, mówiąc słowami Gomułki, treścią zbliżającą do obiektywnej prawdy. Tą sprawą trzeba się zająć nieco dokładniej.

Zniesienie obowiązkowych wykładów marksizmu-leninizmu w 1956 było jednym z niezwykłych wydarzeń tego pełnego w wydarzenia roku. Nastąpiło to w wyniku nagłej i całkowitej zgodności opinii przywódców Partii i partyjnych ideologów z jednej strony, profesorów, opinii publicznej i mas studenckich z drugiej. Gdy Partia zmuszona była uznać, iż monopol marksizmu-leninizmu jest szkodliwy z każdego punktu widzenia, nie wyłączając dobrze rozumianych interesów Partii, obowiązkowe wykłady marksizmu-leninizmu musiały być zniesione. Uznały to pisma partyjne z *Trybuną Ludu* na czele. Tak nieokreślony przedmiot jak marksizm-leninizm, pisała *Trybuna Ludu*, nie sprzyja rozwojowi badań naukowych (26.6.1956). Schaff bronił nowej polityki Partii przeciw krytyce dogmatyków i dowodził iż najlepszą drogą utrzymania marksizmu-leninizmu przy życiu

jest walczyć o niego bez ochrony administracyjnej. ,,Walka o wpływ i zwycięstwo ideologii marksistowskiej opierać się musi nie na wyłączności, lecz na wolnej konkurencji'' (*Trybuna Ludu* 7.2.1957). Wykłady z dialektycznego i historycznego materializmu lub tzw. ekonomiki socjalizmu miały być zachowane w wykładach uniwersyteckich, jeśli wykładający pragnęli lub uważali za stosowne to uczynić w ramach normalnych zajęć. Nikt nie oczekiwał, by marksiści-leniniści mogli lub chcieli wykładać filozofię i podobnie inne przedmioty zamiast ideologii marksizmu-leninizmu. Student miał mieć zapewnioną swobodę wyboru między różnymi kierunkami głoszonymi z katedr uniwersyteckich na równych prawach.

Lecz niewiele wody przepłynęło w Wiśle, gdy zaczęto na nowo nieśmiało sugerować, iż przywrócenie przedmiotów ideologicznych — eufemistyczna nazwa wykładów marksizmu-leninizmu — jest rzeczą ze wszech miar wskazaną. Wiatr zmiany, który powiał z wyżyn partyjnej hierarchii, był natychmiast zanotowany przez czułe barometry i znalazł wyraz we wzmożonej produkcji publicystycznej związanej z problematyką tzw. polityki kulturalnej. Łamów do tej kampanii dostarczyła założona wówczas *Polityka,* której redaktor wśród powszechnych sprzeciwów opinii publicznej uzasadniał zgodność dwóch sprzecznych postulatów. Twierdził on mianowicie, iż można zachować warunki swobody twórczości literackiej, artystycznej i naukowej oraz prowadzić aktywną i partyjną politykę kulturalną, opartą na ,,ideowym wyborze wartości kulturowych'' oraz zapewniającą kontrolę nad kierunkiem, zawartością i zaangażowaniem tej twórczości. Partia, pisano, może zagwarantować warunki wolności twórczej i osiągnąć własne cele, jeśli zastosuje właściwą politykę kulturalną, a właściwą polityką jest wywieranie wpływu i inspirowanie zamiast ingerowania w spory merytoryczne, jak to miało miejsce w przeszłości. Ale wstrzymanie się od ingerencji w sprawy merytoryczne wymaga uznania przez ludzi twórczo pracujących granic udzielonych im wolności. Partia, pisał A. Schaff,

,,prowadzi i na przyszłość będzie prowadzić w sposób bardziej zdecydowany zupełnie określoną politykę kulturalną — politykę państwa socjalistycznego, tzn. taką politykę, która sprzyja jego celom ustrojowym i ideologicznym... W dziedzinie wolności badań i dyskusji naukowych (odnosi się to również i do twórczości artystycznej) Partia gwarantuje twórcom wszystkie warunki jej realizacji. Natomiast nie zgodzi się na wykorzystywanie działalności naukowej czy artystycznej dla uprawiania polityki wymierzonej przeciw celom i zadaniom państwa socjalistycznego. Jest tu więc wyraźnie sformułowana zasada wolności nauki i twórczości artystycznej, ale nie mniej wyraźnie jest sformułowana zasada dominacji socjalistycznej polityki kulturalnej'' (*Trybuna Ludu* 17. 10. 1957).

Odzyskiwanie przez Partię pełni władzy nad społeczeństwem, patetycznie i retorycznie określanej jako ,,historyczna odpowie-

działalności Partii za losy całego społeczeństwa", wymagało ograniczenia wolności nauki i sztuki.

W odniesieniu do wykładów przedmiotów ideologicznych punktem zwrotnym była Narada Rektorów, która odbyła się w Poznaniu w grudniu 1957 roku. Rezolucje podjęte przez Rektorów dostarczyły taktycznej okazji do wznowienia publicznych dyskusji nad tą sprawą oraz sformułowania wniosku o naglącej potrzebie wychowywania studentów pod względem ideologicznym.

Konferencja Rektorów podjęła rezolucję, iż szkoły wyższe nie mogą się zadowolić nauczaniem młodzieży, lecz muszą ją również wychowywać. Rektorzy byli zatroskani faktami, jakie występowały nagminnie w tym okresie ujawniając się z ukrycia na powierzchnię życia. Studenci źle się uczyli, wielu z nich odpadało na pierwszym roku, przepadało w egzaminach na późniejszych latach, nie kończyło studiów w terminie. Rektorzy byli również zaniepokojeni malejącą siłą atrakcyjną pracy naukowej, wyłącznym zainteresowaniem młodzieży własną karierą życiową kosztem innych zainteresowań, ,,prywatyzacją ideałów" i ,,konsumpcyjnym stosunkiem do życia". Zjawiska te wymagały starannego zbadania i podjęcia środków zaradczych, które uwzględniałyby w pełni odpowiedzialność Partii, MSW i kierowanych przez nie uniwersytetów za ten stan rzeczy. Dzieje szkół wyższych w latach 1951-1955 winny były przywieść na pamięć straty moralne, jakie zadano młodzieży. Student nie mógł nabrać szacunku dla wiedzy, jeśli szedł z góry nacisk by ,,nie obcinać zbyt wielu osób na egzaminach... nie oglądając się na istotny poziom wyników nauki", jeśli uczeni ,,mogli być pouczani, poszturchiwani i poniżani przez funkcjonariuszy Ministerstwa" i jeśli ,,wolność poszukiwań naukowych była ograniczona, a wolność głoszenia swych przekonań wątpliwa".

,,Szkoły wyższe zamiast być w oczach młodzieży źródłem najszlachetniejszych możliwości ludzkich: zdobywania wiedzy i rozwoju nauki, stały się miażdżącą ich machiną, gdzie nie wolna myśl, rozumowanie, logika i refleksja pomagają w szukaniu prawdy naukowej, lecz gdzie frazes, powierzchowna recytacja, rygor i termin przepchną do dyplomu. Skutki tego były niezwykłe i straszne" (*Życie Szkoły Wyższej* 1957, 9, 14-15).

Prof. Ajdukiewicz powołując się na zasadę, że aby leczyć trzeba postawić diagnozę, zalecał, by niezależnie od doraźnych środków stosowanych przez uniwersytety zlecić socjologom systematyczne badania nad stanem moralnym młodzieży. Podobną inicjatywę podjęła Sekcja Pracowników Nauki ZNP rozsyłając odpowiednią ankietę do organizacji związkowych (*Życie Szkoły Wyższej* 1957, 9,30; 11,38). MSW było jednak innego zdania i szybko doszło do wniosku, iż wykłady ,,przedmiotów kształtujących światopogląd materialistyczny" walnie się przyczynią do naprawy moralnej. MSW zaleciło, by odpowiednie departamenty MSW w porozumieniu z uczelniami pilnie zajęły się analizą sytuacji w zakresie nauczania tych przedmiotów i przygo-

towaniem właściwych wniosków (*Życie Szkoły Wyższej* 1958, 3, 106). S. Żółkiewski, ówczesny kierownik MSW, snuł rozważania na łamach *Trybuny Ludu* nad zaletami wykładów zapoznających studentów z marksizmem-leninizmem (*Trybuna Ludu* 5.4. i 24.9.1958).

W tym także okresie Partia wystąpiła oficjalnie z tą samą inicjatywą. W maju 1958 roku odbyła się narada partyjna w KC PZPR pod przewodnictwem J. Morawskiego, poświęcona potrzebom ,,walki ideologicznej z antysocjalistycznymi i antymarksistowskimi poglądami'' oraz ,,wzmocnienia aktywności marksistowskich środowisk naukowych'' (*Trybuna Ludu* 9.5. 1958). W kołach partyjnych miały wówczas miejsce znaczne przesunięcia ideologiczne i ,,liberałowie'' z okresu Października zaczęli się skłaniać do wniosku, iż dogmatycy domagając się polityki silnej ręki w stosunku do literatów i uczonych mieli pewną rację. Ówczesne stanowisko dogmatyków sformułował L. Kruczkowski na III zjeździe PZPR. Niebezpieczeństwo tkwi w strukturze psychicznej środowisk twórczych prowadzącej do ,,wyniosłego stawiania się ponad społeczeństwem, w roli samozwańczego 'sumienia', do lekceważenia prawidłowości procesu historycznego, do fałszywego rozumienia pojęć niezależności i swobody twórczej w oderwaniu od tego procesu'' (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 433). ,,Liberałowie'' zgodzili się z Kruczkowskim, iż swoboda dyskusji i wolna wymiana poglądów obraca się w ,,określonych sytuacjach'' przeciw procesom wyznaczonym przez historyczne prawidłowości.

Zmiana frontu ,,liberałów'' była przypuszczalnie ściśle związana ze wspomnianymi niepowodzeniami marksistów-leninistów ,, w walce ideologicznej w otwartym boju bez ochrony administracyjnej''. Do tych niepowodzeń walnie przyczyniła się kampania przeciw rewizjonizmowi, w której wyniku łamy prasy i periodyków zaczęły się zapełniać wypracowaniami na zadane tematy, a marksizm-leninizm tonął zalewany falą nudy i obojętności. Rewizjoniści nie są wyznawcami oficjalnej doktryny partyjnej, lecz trudno byłoby wymienić nawet jednego rewizjonistę, który nie trwałby na pozycjach marksowskich po zerwaniu z ortodoksją. Rewizjoniści łączyli świeżość spojrzenia z inteligencją, erudycję z talentem pisarskim. Ekskomunika ideologiczna publicystów i młodych uczonych zaliczanych w poczet rewizjonistów ugodziła w nich dotkliwie, lecz jeszcze dotkliwej uderzyła w Partię.

W tym stanie rzeczy zamiast oczekiwanego ,,rozkwitu myśli marksistowskiej'' zaczęły narastać tzw. zjawiska ujemne. Ideolodzy nadali własnej nieudolności miano ,,naporu wpływów ideologi burżuazyjnej'' lub wręcz ,,prób dyskryminacji marksizmu''. Wpływy burżuazyjne reprezentował każdy, kto myślał samodzielnie, znał przedmiot gruntownie, rozumował poprawnie i wyrażał się precyzyjnie. ,,Liberałowie'' doszli do wniosku, iż należy działać zanim nadejdzie chwila obrachunku i na nich spadnie odpowiedzialność za skutki polityki ,,wolnej konkurencji''. Z

przeciwników stali się inicjatorami i szermierzami postulatu administracyjnej ingerencji w sprawy nauki.

Zalecając praktyczne kroki natury administracyjnej i politycznej ,,liberałowie'' byli świadomi następstw tych propozycji. Schaff wielokrotnie podkreślał, iż ingerencja administracyjna pociąga za sobą zastój życia intelektualnego, obniżenie poziomu naukowego, stłumienie inwencji, zubożenie myśli twórczej i krytycznej. Stosunek ,,liberałów'' do zasady swobody dyskusji i wolnego ścierania się różnych poglądów jest czysto pragmatyczny. Zmiany w polityce Partii (po Październiku), oświadczył H. Jabłoński, opierały się na przekonaniu, iż świadomość socjalistyczną można lepiej ugruntować w drodze przekonywania i argumentów aniżeli posługując się nakazami i zakazami. Lecz ,,to co powinno być źródłem naszej ofensywnej siły, przybierało kształt dezorganizacji w naszych własnych szeregach''. Politykę ocenia się według jej skutków i trudno kontynuować ją, jeśli daje niepożądane rezultaty. Jabłoński uważał, iż zastosowanie metod administracyjnych jest w tych warunkach wskazane i niezbędne (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 297).

Początkowo Gomułka przeciwstawił się stosowaniu ,,metod administracyjnych'' w nauce, gdyż ta praktyka nie jest zgodna z jego filozofią polityczną. Jeśli chce się kogoś pozyskać, nie można go jednocześnie prześladować: ,,Nie wszystko można rozwiązać tą metodą. Dużośmy na tym stracili w przeszłości, dużośmy stracili i teraz to odrabiamy. Nie schodźmy ponownie na tę drogę, bo na tej drodze nie ma zwycięstwa'' (XII Plenum KC PZPR, Warszawa, 1958, 204). Lecz w kilka miesięcy później Gomułka przechylił się ku postulatom zalecającym ingerencję administracyjną modyfikując w szczegółach zalecenia rzeczników polityki silnej ręki.

Polityka zalecana przez Gomułkę i przyjęta w rezolucjach III zjazdu PZPR zaleca odmienne metody postępowania w stosunku do nauk przyrodniczych i nauk społecznych. Od nauk technicznych i przyrodniczych Gomułka domaga się, by skupiły uwagę na tych problemach technicznych, jakie mogą przynieść szybkie korzyści gospodarce narodowej, oraz na badaniach podstawowych szczególnie doniosłych z punktu widzenia przewidywanego rozwoju gospodarki w przyszłości. Innymi słowy, również badania teoretyczne mają być planowane z myślą o potrzebach gospodarczych kraju i podporządkowane celom utylitarnym. Błąd tego sposobu myślenia jest oczywisty. Nie umiemy przewidywać postępu nauki, a nie mogąc go przewidzieć nie jesteśmy w stanie z góry powiedzieć, jaki kierunek badań podstawowych przyniesie maksymalną utylitarną dywidendę. Na długą metę planowanie podstawowych badań w oparciu o kryteria utylitarne nie przynosi oczekiwanych wyników praktycznych i wywiera wpływ ujemny na postęp nauki.

Z zasady wąsko pojętej użyteczności, jaka w jego mniemaniu winna leżeć u podstaw planowania badań naukowych,

Gomułka wyprowadza wniosek o konieczności partyjnej kontroli nad nauką. Jeżeli utylitarne kryteria mają decydować o wyborze kierunku rozwoju badań podstawowych, teoretycznej bazy postępu techniki, ,,stałe polityczne kierownictwo życiem naukowym'' jest rzeczą konieczną. Albowiem tylko Partia wie czego krajowi potrzeba i jaka jest tych potrzeb hierarchia.

Jeśli chodzi o nauki przyrodnicze i techniczne Gomułka nie wysuwa innych żądań prócz wyżej wymienionych.

,,W ramach tych założeń Partia nasza chroni i będzie chronić samodzielność pracy badawczej uczonego, poszanowania jego kompetencji, jego prawo do wyboru według swej najlepszej wiedzy właściwych metod rozwiązywania ustalonych zadań, swobodę dyskusji naukowych. Są to bowiem niezbędne warunki wszelkiej twórczości naukowej'' (*Trybuna Ludu* 29. 5. 1960).

Gomułka zdaje sobie sprawę, iż Partia nie posiada kompetencji i kwalifikacji niezbędnych do wkraczania w sprawy merytoryczne nauki. Naukom przyrodniczym nie zagraża presja ideologiczna.

Inaczej natomiast rzeczy się mają w odniesieniu do nauk humanistycznych i społecznych. Stosunek Gomułki do nauk społecznych cechuje skrajniejsza forma utylitaryzmu i instrumentalizmu aniżeli ma to miejsce w odniesieniu do nauk przyrodniczych.

,,Nauki społeczne zajmują specjalne miejsce wśród innych dyscyplin naukowych ze względu na swe ścisłe powiązanie z ideologią i polityką, a tym samym i z walką o zwycięstwo socjalizmu, która toczy się w naszym kraju. Ukształtowanie socjalistycznej świadomości społeczeństwa, a w szczególności młodego pokolenia, posiada dla rozwoju socjalizmu nie mniejsze znaczenie niż rozbudowa jego podstaw materialnych, ekonomicznych. Właśnie z tego powodu nie może być dla nas rzeczą obojętną, jakie poglądy filozoficzne, socjologiczne, ekonomiczne, pedagogiczne itp. krzewi się w społeczeństwie, w duchu jakich poglądów wychowuje się młode pokolenie naszej inteligencji. Nie może być dla nas rzeczą obojętną, jak wygląda w tych dziedzinach nauki pozycja marksizmu w jego walce z poglądami burżuazyjnymi. Właśnie dlatego musimy inaczej kształtować naszą politykę kulturalną w dyscyplinach ideologicznych, jak filozofia, socjologia, ekonomia, a w poważnym stopniu również pedagogika, nauki prawnicze, historyczne itp. Decyduje tu bliższy czy dalszy związek poszczególnych dyscyplin naukowych z walką ideologiczną, z walką klasową'' (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 73-74).

Z tego stanu rzeczy Gomułka wyciągnął następujące wnioski. Nie może być mowy o powrocie do zgubnych praktyk przeszłości, do ,,odgórnego komenderowania'' oraz rozstrzygania sporów naukowych w drodze ukazów i rezolucji podejmowanych na partyjnych konwentyklach. Lecz wykłady o charakterze światopoglądowym i ogólnoideologicznym z zakresu filozofii, socjologii i ekonomii politycznej dla ogółu studentów winny być prowadzone wyłącznie w duchu marksizmu-leninizmu. Rezolucja III

zjazdu PZPR zatwierdziła to zalecenie i poleciła jego wykonanie (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 75, 658) (11).

Z drugiej strony nie należy stawiać przeszkód, by specjaliści w dziedzinie nauk społecznych mogli poznać możliwie najszerzej i najgłębiej różne kierunki i poglądy, przeszłe i współczesne, w zakresie swej dyscypliny. ,,Tylko w ten sposób można ukształtować ludzi myślących samodzielnie i twórczo''. Nie należy tłumić badań i publikacji, które nie wychodzą z pozycji ortodoksji marksistowsko-leninowskiej, jeśli tylko ograniczone są do kręgu specjalistów i utrzymują się na ,,płaszczyźnie argumentów naukowych''. Wolność nauczania i wolność publikowania z zakresu filozofii, socjologii i ekonomiki jako dyscyplin specjalistycznych i teoretycznych ma być więc zachowana, ponieważ przeszłość okazała, iż ,,dogmatyzm i sekciarstwo'' są szkodliwe ,,z punktu widzenia rozwoju nauki w ogóle, a marksizmu w szczególności'' (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 74-75).

Rezolucja III zjazdu PZPR polecająca wprowadzenie obowiązkowych wykładów z zakresu przedmiotów ideologicznych dla ogółu studentów została wprowadzona w życie w roku akademickim 1960-61 w formie kompromisowej. Rezolucja zjazdowa nie wzięła pod uwagę praktycznych trudności stojących na drodze jej wykonania, mianowicie, braku wykładowców przedmiotów ideologicznych. W wielu środowiskach partyjnych, zwłaszcza prowincjonalnych, panowało przekonanie, że lepiej nie wprowadzać przedmiotów ideologicznych do programów studiów, jeżeli nie ma się do dyspozycji ,,kadry specjalistów''. Wykłady ideologiczne ,,prowadzone przez ludzi nie posiadających dostatecznych kwalifikacji naukowych są jedynie kontrpropagandą'', gdyż ,,z tytułu posiadania legitymacji partyjnej jeszcze nie wynika autorytet naukowy'' (*Nowe Drogi* 1959, 4/118, 364, 411; *Życie Szkoły Wyższej* 1959, 7-8, 27). Wypracowanie rozwiązania kompromisowego było dziełem Komisji Nau-

---

(11) Przedmioty ideologiczne pod nazwą propedeutyki filozofii, w której największy przydział godzin przypaść ma na wykład materializmu dialektycznego i historycznego, naukę o społeczeństwie i etykę, wprowadzono już eksperymentalnie do niektórych szkół ogólnokształcących. Nauczaniem tak rozumianej propedeutyki mają być objęte w najbliższych latach wszystkie licea ogólnokształcące, licea pedagogiczne i licea dla wychowawczyń przed szkoli (*Trybuna Ludu* 18.1.1961). VII Plenum KC PZPR (styczeń 1961) poleciło Ministerstwu Oświaty opracowanie podręcznika dla szkół średnich wprowadzającego ,,w podstawowe problemy marksistowskiej filozofii i nauki o prawach rozwoju społecznego oraz etyki''. Plenum również zajmowało się wiele sprawą ,,kształtowania świadomości i postawy ideowo-politycznej nauczyciela'' oraz ,,działalnością wychowawczą'' organizacji partyjnych wśród nauczycielstwa (*Nowe Drogi* 1961, 2/141, 17, 35-38). Jak z tego widzimy, w najbliższych latach dzieci i młodzież mają być objęte od kołyski do magisterium ideologicznym szkoleniem. Pozostanie jedynie wprowadzenie przedmiotów ideologicznych do klinik położniczych oraz zorganizowanie kursów wieczorowych dla oczekujących matek, celem ochronienia ich przed naciskiem środowisk ideowo obcych i wpływami burżuazyjnej moralności.

ki KC PZPR. Komisja zebrała się na początku stycznia 1960 roku pod przewodnictwem Ochaba i przyjęła wniosek A. Schaffa domagający się „objęcia wszystkich studentów wykładami marksistowskiej filozofii, socjologii i ekonomii politycznej". Z drugiej strony Komisja wypowiedziała się za powolnym i stopniowym wprowadzeniem rezolucji w życie (*Trybuna Ludu* 15.1. 1960).

Jak wyjaśniła E. Krassowska, wiceminister w MSW, rok akademicki 1960-61 rozpoczyna kilkoletni okres wprowadzania przedmiotów ideologicznych na wszystkich kierunkach studiów. Tempo wprowadzania tych obowiązkowych wykładów jest zależne od przygotowania kadr wykładowców — trzyletni plan szkoleniowy wykładowców jest równolegle w toku — oraz od przeprowadzenia zmian w programie nauczania na zbyt przeciążonych kierunkach studiów. Wykłady przedmiotów ideologicznych mogą być w zasadzie powierzone jedynie samodzielnemu pracownikowi nauki, tzn. osobie posiadającej tytuł profesora zwyczajnego, nadzwyczajnego lub docenta etatowego. Jedynie w wypadkach wyjątkowych wykład może prowadzić adiunkt posiadający stopień doktorski. Wreszcie wykładowcom stawia się jeszcze jedno wymaganie:

„Wykłady tych przedmiotów nie mogą być obiektywistyczną rejestracją aktualnych nurtów myśli filozoficznej lub ekonomicznej. Filozofia marksistowska nie może być podawana jako jeden z tych kierunków, bez zaangażowania osobistego wykładowcy. Zadanie wykładającego polega na tym aby doprowadzić słuchaczy do równego ze sobą stopnia zaangażowania ideowego. Szczególnie wykłady filozofii powinny kształtować te życiowe zasady studenta, którymi będzie on kierował się w życiu osobistym i przyszłej pracy zawodowej" (*Życie Szkoły Wyższej* 1960, 9, 73-74).

Programy nauczania przedmiotów ideologicznych są zróżnicowane stosownie do typu szkoły lub wydziału uniwersyteckiego. Tak np. ekonomia socjalizmu jako przedmiot ideologiczny będzie wykładana według czterech różnych programów, odmiennych dla wyższych szkół ekonomicznych i rolniczych, wydziałów ekonomicznych uniwersytetów, studiów politechnicznych pozostałych kierunków objętych tym wykładem. Odmienne programy „marksistowskiej filozofii" obowiązywać będą na wydziałach humanistycznych i matematyczno-przyrodniczych uniwersytetów, itp. (*Trybuna Ludu* 25.8.1960).

Wprowadzenie obowiązkowych wykładów przedmiotów ideologicznych nie jest mechanicznym odtwarzaniem praktyk przeszłości. Koncepcja „socjalistycznej" wyższej uczelni pozosta niezmieniona i nosi niezatarte piętno umysłowości jej twórców Współczesne badania psychologiczno-społeczne wykazują, osobnicy należący do typu autorytarianistów (*authoritarian personality*) wykazują skłonność do arbitralnych i kategorycznych sądów, manichejskiej postawy w ocenach moralnych, egocentryzmu, agresywności, stereotypów w ujmowaniu rzeczywistoś patrzenia na stosunki międzyludzkie w kategoriach podporzą

kowywania i podporządkowania. Lecz obecne metody kształcenia ideologicznego różnią się w sposób istotny od prymitywnej dydaktyki przeszłości. Pod tym względem administratorzy i ideolodzy wyciągają wnioski z dawnych niepowodzeń i szukają metod pozwalających działać sprawnie i skutecznie. Nie zmienia to faktu, iż zasada nauczania marksizmu-leninizmu na wyższych uczelniach w wolnej konkurencji z innymi poglądami została pogrzebana. Na pytanie: *cui bono*, przyszłość może udzielić nieoczekiwanej odpowiedzi. Albowiem marksizm-leninizm nie zyska na intelektualnej atrakcyjności na skutek tego, iż stanie się przedmiotem obowiązkowym, a administracyjne wsparcie ideologów, niezdolnych ostać się w wolnej konkurencji poglądów, nie pobudzi ich myśli i inwencji twórczej.

Bilans i Konkluzja

Dwie opinie o sytuacji nauki w kraju są najczęściej lansowane. Z jednej strony twierdzi się, że popaździernikowa polityka Parti w stosunku do nauki nie uległa zmianie. Partia nie zamierza wkraczać w spory naukowe, odbierać głosu rzecznikom „kierunków niemarksistowskich" lub krępować swobodnej dyskusji poglądów i starcia idei. Jednocześnie twierdzi się bez należytego poczucia konsekwencji, iż ingerencja administracyjna była niezbędna, gdyż polityka popaździernikowa dawała politycznie niepożądane skutki. Należało ją przeto zmienić i naprawić podejmując różne kroki polityczne i administracyjne. Nikt nie powinien mieć pretensji, pisał A. Schaff, z powodu ingerencyjnych zarządzeń Partii. Marksiści-leniniści nigdy nie ukrywali swego zamierzenia, jakim jest zapewnienie pełnego zwycięstwa ideologii marksizmu-leninizmu w nauce: „Nie można odmówić marksistom prawa do wyznawania podobnych poglądów i do zgodnego z tymi poglądami działania" (*Nowe Drogi* 1959, 6/120, 31). Prawa do wyznawania tych poglądów i zgodnego z nimi działania nikt im nie odmawia, z czego jednak nie wynika, iż każdy sposób działania jest właściwy i dopuszczalny. Środki, które ograniczają wolność innych w dążeniu do prawdy tak jak oni ją rozumieją, są w swych bliższych lub dalszych następstwach zgubne dla ich inicjatorów, obrażają poczucie sprawiedliwości i praworządności, oraz ustanawiają tyranię uprzywilejowanej grupy nad resztą społeczeństwa. Marksizm-leninizm jest wyznaniem wiary, arytmetycznie rzecz biorąc, bardzo drobnej mniejszości polskiego społeczeństwa. „Gdyby cała ludzkość z wyjątkiem jednego człowieka", pisał John Stuart Mill, „sądziła to samo i tylko ten jeden człowiek był odmiennego zdania, ludzkość byłaby równie mało uprawniona do nakazania mu milczenia co on, gdyby miał po temu władzę, do zamknięcia ust ludzkości... Nie możemy nigdy być pewni, że opinia, którą usiłujemy kneblować, jest fałszywa; a gdybyśmy byli tego pewni, zakneblowanie jej byłoby nadal złem". Gdy profesor uniwersy-

tetu zaleca metody politycznego i administracyjnego przymusu w stosunku do uczonych i studentów budzi on naszą dezaprobatę z innego jeszcze powodu. Albowiem podobne postępowanie jest niezgodne z instytucjonalnymi wartościami nauki i zasadami naukowego myślenia.

Stanowisko, jakiego broni A. Schaff, obrazuje dwojakie i niezgodne z sobą funkcje marksizmu-leninizmu. Marksizm-leninizm jest oficjalną doktryną państwową i partyjną, a Partia, która ją wyznaje, jest organizacją działającą w oparciu o zasadę „demokratycznego centralizmu" narzucającą posłuch i dyscyplinę ogniw niższych w hierarchii ogniwom nadrzędnym, i ostatecznie jednoosobowemu kierownictwu Partii. Marksizm-leninizm pragnie jednocześnie uchodzić za szkołę filozoficzną rozwijającą się autonomicznie i uznającą jedynie dwa sprawdziany poprawnego myślenia — zgodność z faktami i prawami logicznego myślenia. Ta druga funkcja marksizmu-leninizmu jest bądź iluzją, ideologią w sensie nadanym temu terminowi przez młodego Marksa, bądź świadomie podtrzymywaną fikcją na użytek naiwnych i ubogich umysłem. Albowiem marksista-leninista ma swoją własną „normę negatywną", która stwierdza, że co nie jest zgodne z oficjalną doktryną Partii nie może być prawdą i że wyznawca doktryny winien jest posłuszeństwo Partii a nie prawdzie odkrytej własnym rozumem. Wymaga się od niego cnoty pokory wobec prawidłowości historii, ustanawianych przez każdorazowe kierownictwo Partii. Marksista-leninista jest przeto postawiony w niemożliwej sytuacji dla uczonego i filozofa. Jako członek Partii jest on zmuszony głosić tezy niezgodne z marksizmem-leninizmem pojętym jako autentyczna i autonomiczna doktryna filozoficzna.

Z drugiej strony słyszy się opinię, wypowiadaną poza krajem, iż nastąpiła „sowietyzacja nauki", że totalitarne państwo spętało wolność i zniewoliło umysły. Ta opinia jest nie tylko przesadna, lecz nadto niezgodna z istniejącym stanem rzeczy. Obie oceny, pogląd oficjalny i obecnie omawiany, są ideologicznie zniekształcone, choć zniekształcenia są wynikiem wzajemnie wykluczających się uprzedzeń.

Pozornie może się wydawać, iż przegląd wydarzeń ostatnich dwóch lat potwierdza tezę o „sowietyzacji nauki" w kraju. Ponieważ artykuł miał zarejestrować i zanalizować przeobrażenia w formalnej i nieformalnej strukturze nauki jako działalności społecznej, a te przeobrażenia są niepomyślne lub szkodliwe dla rozwoju wiedzy, dokonany rejestr ułożył się w skoncentrowany obraz cieni. Lecz oprócz cieni są również blaski, których teza o „sowietyzacji nauki" nie bierze pod uwagę. Byłaby ona słuszna, gdyby jednocześnie nie miały miejsca inne fakty. Gdyby nie ukazywała się znaczna liczba wartościowych dzieł naukowych i tłumaczeń z literatury światowej, gdyby nie prowadzono różnorodnych badań socjologicznych, gdyby nie zachowała się niezależność myślowa, różnorodność poglądów i duch krytyczny, których świadectwa dostarczają liczne publikacje. Życie in

lektualne i naukowe w Polsce wykazuje żywotność i samodzielność, pluralizm światopoglądowy i zróżnicowanie poglądów, jakie są zaprzeczeniem sztampy, stereotypu, jednomyślności i uwiądu krytycznego myślenia, cechujących scenę sowiecką. Wigor intelektualny i nasilenie pracy umysłowej w Polsce są nadal zdumiewające i pozwalały patrzeć z optymizmem w przyszłość. Tym większe zastrzeżenia wzbudzają administracyjne i polityczne zarządzenia, które muszą osłabić prężność intelektualną oraz ograniczyć myśl twórczą.

Po tym wyjaśnieniu można przystąpić do podsumowania dokonanego rejestru i wyliczenia zmian niekorzystnych w obrazie życia naukowego w kraju bez niebezpieczeństwa nieporozumień z czytelnikiem. Wolność nauki w Polsce została niewątpliwie ograniczona przez podporządkowanie jej rozwoju kryteriom utylitarnym, cenzurę publikacji naukowych opartą na władzy dyskrecjonalnej anonimowych i pozanaukowych nadzorców życia umysłowego, ciążenie ku ,,monopolowi jednej szkoły'' w zakresie nauk humanistycznych i społecznych, planowanie nauki zlecone technokratom i ludziom praktyki, odradzanie się ekstremizmu i fanatyzmu właściwego autorytarianistom. Dodatkowego niepokoju przysparza czynnik niewymierny i przemawiający donośnym głosem z dyskusji i uzasadnień zarządzeń ustanawiających wzrastającą ingerencję Partii w sprawy nauki. Czynnikiem tym są ciasne horyzonty umysłowe i z nimi związana opaczna koncepcja społecznej funkcji nauki. One to sprawiają, iż personalna uczciwość i dobre intencje mogą wybrukować drogę do piekieł.

Nie tylko wolność lecz i autonomia nauki została ograniczona. Pewna miara autonomii pozostawiona szkołom wyższym jest poważnie zagrożona wzrastającą działalnością organizacji partyjnych. W wypadku Polskiej Akademii Nauk autonomia przestała istnieć. Podporządkowanie tzw. najwyższej instytucji naukowej w państwie czynnikom pozanaukowym i politycznym jest jawne i kompletne.

Uczonych jako zbiorowość pozbawiono inicjatywy, wpływu i odpowiedzialności za losy nauki, która jest ich dziełem i którą nikt inny nie może kierować prócz samych uczonych. Zamykanie oczu na ten fakt byłoby ujmą dla prawdy.

Pozostaje jeszcze jedna sprawa do krótkiego rozpatrzenia. Często słyszy się opinię, iż niekorzystne zmiany dokonujące się w kraju są rezultatem zewnętrznej presji. Argumenty przytaczane na poparcie tej opinii są spekulatywne i niesprawdzalne, nie uzasadniają a nawet nie uprawdopodabniają głoszonej tezy o presji zewnętrznej. Przekonanie części społeczeństwa, iż Gomułka robi to co czyni starając się najlepiej bronić wartości zdobytych w Październiku, jest faktem społecznym o wielkiej doniosłości przy ocenie sytuacji politycznej wewnątrz kraju. Nie znaczy to jednak, iż to co to przekonanie stwierdza jest zgodne z rzeczywistością, tzn. że Gomułka znajduje się w sytuacji przymusowej.

Analiza zasad, jakimi kieruje się Gomułka, pozwala stwierdzić, iż obecną sytuację w nauce można zadowalająco wyjaśnić odwołując się wyłącznie do tych zasad. Sytuacja w nauce nosi wyraźnie piętno osobowości i umysłowości Gomułki. Hipoteza presji zewnętrznej nie jest potrzebna, co więcej, jest myląca, gdyż prowadzi trzeźwe i realistyczne myślenie na manowce mitu.

Zbigniew JORDAN

Na czele pochodu

Nogi. Nogi. Młode, prężne, szybkie. Stare, człapiące, szurające po chodniku. Mocne, męskie, powiewające nogawkami spodni, tnące przestrzeń jak nożyce. Smukłe kobiece wystukujące takt gwoździami żelaznych obcasów. Pończochy, spodnie, szare i brązowe. Płytkie, spiczaste pantofle, rozczłapane chodaki włóczęgów.

Nogi na chodniku spieszące wszystkie w jedną stronę, niosące rzekę splątanych ze sobą ludzi, rozkołysany strumień głów i ramion, twarzy, kapeluszy, chustek.

Nogi szurają, drepczą, postukują, zgrzytają na kamieniu.

Nogi...

— Pan, panie Macher, nic tylko w dół patrzysz. Nic pan nie widzisz tylko te nogi. Cały świat dla pana to nogi i błoto, błoto i nogi.

Macher podnosi ptasi profil, uśmiecha się ruszając cofniętym podbródkiem.

— Podnieś pan głowę. Idź pan przez życie śmiało, z otwartą przyłbicą!

Spalski mruży filuternie oko, ale przystojna blondyna przechodzi nie zauważając.

— Nic w życiu nie ma pocieszającego — mruczy z góry do Machera — to prawda. Starość nie radość, panie Józiu. Zwłaszcza w piątek, kiedy trzeba wstać rano po tę kiełbasę. Pięć kilometrów tam i z powrotem. W naszym wieku.

Po prawej stronie bezustannie szumią samochody. Jeden, za drugim, jeden za drugim, zwarta masa polerowanych wielkich żuków. Motory warczą ze złością, gniewne twarze kierowców wychylają się z okien.

Czerwone światła. Masa zastyga. Nogi, głowy, palta, futra, parasole skaczą przed zadartymi mordami gniewnych buldogów.

Zielone światła. Ławica rusza z pośpiechem, z zajadłością. Na brzegu chodnika rośnie ciżba smutnych, zrezygnowanych ludzi.

— Ósma czterdzieści pięć — Spalski pokazuje ręką a kierunku zegara na poczcie. Rękę podnosi z trudem dźwigając przy tym wypchaną ceratową torbę.

Macherowi znów drga podbródek.

Stoją obaj przy jezdni w pierwszym szeregu, między grupą kolorowych dziewcząt i dwoma wytwornymi panami w melonikach. Macher malutki, ledwie widoczny pod oklapłym, wyleniałym kapeluszem, niepozorny, w zniszczonym palcie tweedowym. Spalski szeroki i wypięty, spocony, zaczerwieniony; wielka jego twarz podniesiona znad kołnierza gabardynowego płaszcza lśni się jak księżyc, w fałdach skóry ukryte jasne oczka uśmiechają się do barwnych sąsiadek z lewej strony.

— Kawalskiego nie zastaniemy. Nie doczeka się swej kiełbaski, musi pościć. A niech pości grzesznik i rozpustnik. Przecież to piątek. Kawalskim, panie Macher, przejmować się nie będziemy. Grunt to chlebek dla pułkownikowej, mak na strucle, makaron. Kto płaci, ten wymaga; za marne pięć procent Kawalskiego nie będziemy się spieszyć, panie Macher.

Zielone światła. Napęczniała fala rusza, porywa Spalskiego, obraca Macherem w kółko dwa razy, popycha ich, opływa i mija. Mija zostawiając w tyle na pastwę następnej fali.

Czasem się ktoś obejrzy, zajrzy pod kapelusz niższego, uśmiechnie się do księżycowej twarzy wysokiego, pójdzie.

Czasem ktoś popchnie ze złością, z gniewem jakby mszcząc się, że w spieszącej rzece oni dwaj brużdżą jak dwie spróchniałe kłody.

Czasem ktoś mijając zemle w ustach przekleństwo, złość na nich, na obcych, na niepasujących, na śmiesznych, szarych, dziwnych.

— Z głową pochyloną, panie Macher, daleko się nie zajdzie. Byle przeszkoda zatrzyma. I co pan tam widzisz, panie Macher. Nogi? Że nóżki u dziewuszki? Czyż esteta na nóżkach tylko przestaje? Nie, on chce całą harmonię podziwiać. Bierz pan przykład ze mnie panie Macher, ja całe życie z podniesioną głową.

Skręcają za róg. Wyzwalają się ze ścisku, wyłączają ze strumienia.

— To już prawie jesteśmy w domu, miniemy jeszcze „drajklining" i „bejkera" i już nasz dom. Mówię nasz, panie Macher, bo jak te konie do stajni przyzwyczailiśmy się. A zresztą czyj, Pułkownikowej? Z takim „mortgejdżem"? Jakieś towarzystwo, jacyś akcjonariusze odcinają kupony od naszego domu, a my tylko po to żeby go żywić, czyścić, ogrzewać własnymi oddechami, skrobać podeszwami, pociągać za łańcuszek. Nasz dom? My nie mamy domu. Pan, panie Macher, ja, pułkownikowa, my nie mamy domu. Nawet Kawalski nie ma.

Macher boczkiem spod kapelusza zerka na Spalskiego i mruga.

— Już jesteśmy w domu — mówi piskliwym głosem.

— Gdzie się ludzie spieszą? Biegną, wyprzedzają się, niszczą miasto w tym pośpiechu. Do roboty? Robota nie zając, panie Macher, nie ucieknie. Ale to już takie prawo, *panta rei*, panie Macher, *tempo fugit*. Szczęśliwy, kto ma się gdzie spieszyć. A my nie mamy, panie Macher. Czy dlatego jesteśmy nieszczęśliwi? Bynajmniej, kochany kolego. Szczęście nosi się przy sobie i nawet celnik na granicy nam go nie odbierze. Na żadnej granicy.

Spalski przystanął raptem i przytrzymał Machera za rękaw.

— Panie Macher — woła podniecony — ile to granic przeszliśmy w życiu? Ile granic?

Podniecenie jak przyszło tak mija, szybko, bez śladu. Spalski macha ręką i wraca do swego monotonnego szemrania.

— Jaka z pana pociecha, panie Macher? Żadna. Jak do pnia, jak do pnia. Można perły wymowy rzucać panu pod nogi, a pan nic. Pan głuchy jak pień. Czemu pan jest głuchy, panie Macher? Czy to chytrość, czy zwyczajna choroba? Nie chce pan słyszeć głosów tego świata? A jak zabrzmi trąba na sąd ostateczny to i wtedy pan nie założy swego aparatu? Ech, panie Macher, panie Józefie...

Macher trzęsie potakująco głową. Śmieje się cichutko do siebie marszcząc skórę na brodzie. Tak jakby naprawdę słyszał.

— Ja wiem, dlaczego pan jest głuchy, nie chce pan słyszeć jak się wygłupiam, jak się powtarzam.

Pralnia chemiczna. Młoda dziewczyna w oknie wystawy ustawia tablicę z cenami. Na uśmiech powitalny Spalskiego odpowiada zimną nieruchomą twarzą.

Skręcają w boczną ulicę. Jest zupełnie pusta. Ani jednego przechodnia. Na słupku przy bramce siedzi bury kot i wytrzeszcza zielone oczy.



„John Fitzgerald Gennedy nowourodzony syn przyszłego prezydenta...

„Ekspert rakietowy Braun zapowiada na rok 1961 rakietę na księ..."

„Premier Macmillan montuje spotkanie na szczycie, Adenauer..."

„Na śladach morderców Lindy..."

„Królowa na wystawie zaba..."

„Amstrong-Jones..."

„Zapas złota U.S.A..."

„1000 funtów rocznie dla policjantów..."

— Gie! Gie! Gie! Panie Macher!

Kawalski rzuca gazetę na łóżko i wyskakuje na korytarz.

— Panie Macher! Panie Macher, do cholery!

Pułkownikowa wstępując na schody powoli wynurza się na pierwszym piętrze. Na obliczu ma wyraz zgorszenia.

— Fe — strofuje. — Nie można tak krzyczeć, panie inżynierze. Przecież ludzie jeszcze śpią.

— Ten Macher, ten bezczelny Macher, pani pułkownikowo. Obiecałem „bosowi" przynieść wianek krakowskiej, a on właśnie dzisiaj się spóźnia.

— Pan Józio zawsze się spóźnia.

Pułkownikowa ma słodki uspakający ton głosu. Trochę za delikatny, jak na kobietę potężnej tuszy. Do tego głosu nie pasuje masywna twarz z wąsami, ciemne włosy zaczesane jak peruka, olbrzymi biust obciągnięty czarną materią.

— Przeklęty Macher. Macher! — znowu krzyczy Kawalski.

— Przecież on i tak nie usłyszy.

— Mógłby sobie niedorajda sprawić aparat. Czyż „helsinsiurans" mu nie da aparatu?

— Tu chodzi o baterię. Podobno właśnie się wyczerpała.

— Zawsze wyczerpana — poprawił Kawalski z gniewem. — Jak go znam nigdy nie widziałem z aparatem.

— Niestety — zgadza się pułkownikowa i puka do drzwi pokoju sąsiadującego z pokojem Kawalskiego.

— Dziuniu. Dziewiąta.

— Obiecałem „bosowi", chciał spróbować od naszego rzeźnika. I co teraz powiem? I tak się spóźniłem przez tę kiełbasę.

W drzwiach ukazuje się głowa w papierowych papilotach.

— Dziewiąta? Miałam straszny sen.

Kawalski patrzy na pułkownikową, potem w szparę drzwi. Twarz ma poczerniałą od gniewu, czerwone punkty wysypki świecą jak żurawiny. Nos napęczniał mu krwią.

— Ja mu nie zapłacę. Po prostu mu nie zapłacę — woła.

I po mału rozjaśnia się cały. Prostuje się i promieniuje dumą.



Panna Dziunia pilnuje mleka na „gaskukerze".

— Zawsze mi wykipi. Żebym nie wiem jak czuwała, żebym nie odchodziła na krok, wykipi. Nie mam szczęścia do mleka. I ten sen. Straszny sen! Wyobraź sobie — odwraca się ku pułkownikowej, która przy kuchennym stole kończy kawę — śniło mi się, że przyszło po mnie N.K.W.D. Zupełnie jak na jawie. „Towariszczo", powiada wysoki, czarny drab w cyklistówce, „wasza familia Jaszkówna?" — „Tak", powiadam, „Jadwiga Jaszkówna". — „Córka Adama?". — „Córka Adama" — odpowiadam i w tej chwili zdaje sobię sprawę, że na stole leżą konspiracyjne papiery. Rozumiesz? Lista naszego oddziału ZWZ. Rozumiesz? Łapię ja tę listę i zjadam. Jem, jem, jem... Straszne. Papier ciągnie się jak makaron a całe pismo spada na stół. Nazwisko po nazwisku. Ten drab w mundurze się śmieje. Dokoła mnie rechoczą. Ja się duszę. Budzę się...

— Dziuniu — woła pułkownikowa — mleko!

Swąd spalonego mleka napełnia kuchnię.

— Znowu — Dziunia rozkłada ręce. — Jak zawsze. Nie rozumiem czemu mam takie szczęście. Nawet na filiżankę kawy nie wystarczy.

Pułkownikowa z westchnieniem wstaje i sięga po garnek z półki.

— Odgrzeję ci mojej, jeszcze trochę zostało.

— No wiesz. Przecież ja nie mogę, ciągle twoją kawę... Pozwól ja sama.

— Nie — stanowczo mówi pułkownikowa. — Siadaj, to ci podam.

— Wiesz ten sen... — Dziunia przy stole przeciąga się marząco, różowy szlafrok rozchyla się pokazując pomarszczoną skórę. — Ja wiem, że sny nic nie znaczą, chociaż wedle Freuda zawsze można się w nich dopatrzeć jakiegoś kompleksu.

— Twoje sny, kochana, mają jeden jedyny kompleks.

— Jaki? — żółte policzki Dziuni zaczerwieniły się z ciekawości.

— Polski. Twoje sny są takie patriotyczne.

— Prawda? Wczoraj śnił mi się generał Widok, a kilka dni temu, pamiętasz, prezes Oszelski. Opowiadałam ci? Miał przemawiać na akademii, a zamiast tego zaczął chodzić na rękach. Wspaniały widok. Gruby, stary Oszelski chodzi na rękach po scenie w sali katedralnej. Dostał takie brawo, że od hałasu obudziłam się.



— Dzień dobry, panie prezesie.

— Dzień dobry, panie mecenasie.

— Znowu pada?

— Taki kraj, taki kraj. Gdzież to nas zaniosło, panie mecenasie? Nie moglibyśmy walczyć o niepodległość gdzieś na Riwierze?

— Pana prezesa żarciki, jak zawsze, się trzymają.

— Grunt to humor, panie mecenasie.

Prezes Oszelski jeszcze raz przez ramię uśmiecha się do stojącego przy kantorze u wejścia Pirkiewicza i wstępuje na schody.

Cztery piętra po dwie kondygnacje każde. Na jednej kondygnacji 12 stopni czyli 24 na każde piętro.

— W moim domku — myśli prezes — z parteru na piętro wszystkiego 20 stopni. Jaka to oszczędność! 124 stopnie cztery razy dziennie. Rano w obiad i po obiedzie. Polska rozrzutność polska głupota, kupować taką kamienicę na dom społeczny. Takie wysokie piętra. A w dodatku uniesienie szlachetne każe wybrać na kancelarię prezesa pokoik na ,,topflacie'', na strychu, psiakrew. Jak to zawsze człowiek cierpi za błędy swoich poprzedników.

Między trzecim a czwartym piętrem nawet myślenie staje się trudne. Jakby myśli też się potrafiły zasapać.

Prezes schyla się, garbi, wstępuje schodek po schodku na platformę facjatki. Zdejmuje kapelusz i wachluje nim spoconą twarz.

Sekretarz ledwo się unosi na swym stołku. Kiwa głową i zaraz wraca do rozwiązywania krzyżówki.

— Co ciekawego? — pyta prezes odzyskawszy oddech.

— Co może być ciekawego w naszym życiu — żartuje sekretarz i zaraz przechodzi do urzędowego tonu. — Pismo z Koła 65, że jak nie dostaną obiecanej zapomogi, to zamykają cały sklepik.

— Bezczelność.

— Żuczek zgłosił formalne zapotrzebowanie na piśmie na 3 funty 15 szylingów potrzebne na wyposażenie świetlicy. Przyszedł rachunek za światło...

— Pieniądze, pieniądze, pieniądze — prezes wyciąga ręce przed siebie. — Skąd im wziąć tych funtów? Spod ziemi?

Ze złością rozcina koperty z napisami „Poufne", „Osobiste", „Do rąk własnych".

— Pieniędzy. Wciąż im mało — mruczy do siebie. — A pan nie skończył wczoraj krzyżówki?

— Niech go cholera weźmie tego Wilkowicza z jego krzyżówkami. Niech mi no prezes powie co to takiego: substancja miękka z twardym końcem?

— Twa-róg.

— Rzeczywiście. Skąd to pan wie.

— Zgadłem. Czy to takie trudne?

— No, no panie prezesie — sekretarz kiwa głową z powątpiewaniem — pewnie żona.

— Żona — zgadza się prezes ze złością.

— A synek, panie prezesie, nie rozwiązuje krzyżówek?

Prezes obrzuca sekretarza straszliwym wzrokiem; gniew, żal, oburzenie mieszczą się w jego spojrzeniu. Sekretarz w poczuciu winy chowa głowę w ramiona. Przeholował. Nie wolno dotykać tak bolesnej rany. Syn prezesa Oszelkiego to osobny, ciemny rozdział w życiu niezmordowanego społecznika, wielkiego patrioty.

— Proszę nie zapomnieć — sekretarz zahacza o inną dziedzinę, o sprawy znacznie jaśniejsze — dziś posiedzenie komitetu organizacyjnego Manifestacji.

— Manifestacja — wzdycha prezes fałszywie — akademia, okolicznościowe przemówienie, otwarcie wystawy oleodruków. Głowa pęka, panie, głowa pęka.

Sekretarz uśmiecha się do prezesa, prezes do sekretarza, napięcie minęło, porozumienie dwóch bliskich sobie ludzi wróciło.

Dzwoni telefon. Prezes wolno wyciąga rękę i podnosi słu-

chawkę, przykładając ją do ucha przekrzywia głowę i podnosi brodę rozciągając fałdy pomarszczonej skóry na szyi.

Gdzieś z daleka dobiega głos i bębni w słuchawce, ktoś widać nie potrafi mówić cicho z umiarem.

— Katastrofa. Fenomenalna katastrofa! Idzi, powiadam tobie kolosalna wiadomość! Umiejętnie użyta podniesie nasz autorytet, wprowadzi polską sprawę na szpalty wszystkich pism! Anglosasi nareszcie będą się nami zajmować. Poruszymy nimi, o, potrząśniemy jak workiem zgniłych liści! Górą nasi!

— Kochany Adamie... — prezes usiłuje przerwać, ale wrzask w telefonie wzmaga się, przechodzi w bełkot niezrozumiały.

— O co chodzi do stu diabłów! Mów wyraźnie, po polsku!

Nagły wybuch prezesa odnosi skutek. W słuchawce następuje chwila ciszy, a potem szept przejęty, patetyczny:

— Polski Eichman.

— Co?

— Ani słowa więcej. Jestem w kawiarni Fliglii, czekam na ciebie z dokładną relacją. Powiem tylko tyle, że wiarogodność sprawdzona; osobnik, który nam dostarczył tej wiadomości jest ponad wszelkimi zarzutami.

— Jaką wiadomość?

— Ani słowa. Za kwadrans w kawiarni Fliglii.

Aparat niemieje. Prezes powoli wstaje zza biurka. Zerka na sekretarza, który delikatnie uśmiecha się niby to do krzyżówki przed sobą.

— Idę na ważne spotkanie. Niech no pan, panie kolego, przejrzy tę korespondencję.



— Moje dziecko.

Apolonia nie mogła gorzej zacząć. Twarz Stasinka ciemnieje z gniewu. „Dziecko"! Są ludzie, którzy uzurpują sobie prawo upokarzania.

— A może to tylko głupota, wrodzona kobieca głupota? — Stasinek patrzy w oczy ciotce i prawie uśmiecha się, mimo że jego czarne połyskujące oczy wciąż się chmurzą ze złości.

— Czy pomyślałeś kiedy, ile przykrości wyrządzasz swemu ojcu?

— Zaczyna się kazanie — myśli Stasinek. — Jeszcze jedna próba spętania jego woli niemądrymi konwenansami.

— *I wont take it.* — Stasinkowi łatwiej przychodzi po angielsku wypowiadać się nawet przed samym sobą.

— Twój ojciec nie jest zwykłym sobie człowiekiem. Prezes wielkiej polskiej organizacji na obczyźnie. Z nim liczą się wszyscy, czy wiesz kto zasięga jego porady?

— Nic mnie to nie obchodzi. *It's nothing to me.*

— Za kilka dni twój ojciec stanie na czele największej manifestacji. Nazwisko jego znajdzie się na ustach każdego Polaka, ba, gazety angielskie na pewno o nim napiszą.

Ciotka Apolonia służyła kiedyś w wojsku, nawet miała stopień oficerski w ,,pestkach''. Widać tę służbę po prostych plecach, po szybkich ruchach, kanciastych gestach. Kiedy chce postawić na swoim, zmusić kogoś do przyjęcia jej argumentów, wtedy przybiera pozy sierżanta szefa.

— Patrz — nie obracając się do tyłu Apolonia podnosi dłoń do góry. Gest wygląda jak wystudiowany; dłoń wskazuje prosto na gablotkę z orderami.

— Za Monte Cassino — recytuje na pamięć — za Linię Gotów, za Bolonię, za rok 1939. Krzyż niepodległości za P.O.W. Krzyż zasługi za działalność społeczną. Czy wiesz, że twego ojca podano do odznaczenia Polonia Restituta?

— Madame Tussaud.

— Co mówisz?

— Znowu pokazujesz mi to muzeum okropności. Zaraz pewnie mundur wyjedzie z szafy i wycinki gazet. To co pan Adaś napisał o panu Idzim, a pan Idzi o panu Adasiu.

— Nie bądź cynikiem.

— Cynik? To wszystko mnie nie obchodzi. Nawet nie śmieszy.

— Niech tak będzie — podniesiona ku odznaczeniom ręka opada zniechęcona — nic cię to nie obchodzi, jesteś inny, wychowałeś się w innej atmosferze, ale przecież nawet w angielskiej szkole uczą przyzwoitości. Przyzwoitości — powtarza skandując.

— Przyzwoitość? A cóż to jest nieprzyzwoitość?

— Nieprzyzwoitością jest gdy ty, syn prezesa Oszelskiego, majora Oszelskiego, patrioty, społecznika, bojownika o niepodległość, gdy ty biegasz z tymi ileterami.

— *Unilaterals*. Sama nie wiesz o co chodzi. Naprzód były wąskie spodnie, zgorszenie z powodu moich ,,jeansów'', potem, że nie chodzę za często do fryzjera, a teraz za złe ma się mi walkę o wolność od strachu, o wyzwolenie spod grozy bomby atomowej.

— Ależ to są komuniści!

— Nieprawda. A nawet jeżeli są wśród nich komuniści, to jeszcze lepiej.

— *Fellow-travelerze!* Przynosisz wstyd swemu ojcu. Jeszcze żebyś cicho to robił, ale ten wywiad w telewizji. Syn majora polskiego, bohatera wojennego, lata z tymi rozwydrzonymi dziewczętami. O, ja wiem — Apolonia prostuje się i wypina biust jak Bodicea na pomniku nad Tamizą — to wszystko wina tej Alicji, tej rozkudłaczonej, rozkrzyczanej Alicji, ona cię za sobą ciągnie.

Stasinek robi się czerwony. Tupie ze złości nogą.

— *Oh you old stupid thing* — woła i machnąwszy ręką ucieka z pokoju. Apolonia sapie, prycha i wyciągnąwszy chusteczkę ociera usta.

Po chwili drzwi się otwierają i Stasinek wsuwa się pokazując tylko połowę ciała już ubraną w ,,dafelkot''.

— Czy wy kiedyś pomyśleliście — mówi spokojnym głosem — że my to robimy po prostu dlatego, że chcemy innego świata. Wyście mieli okazję budować, walczyć, dyskutować i cóście zrobili? My chcemy aby świat, w którym będą się rodzić nasze dzieci był inny.

— Bolszewiku — przeklina go ciotka jak Kassandra.

— Może on będzie bolszewicki, może nie — spokojnie odparowuje Stasinek. — Na pewno będzie inny. Bez lęku, bez wiszącego nad głową niebezpieczeństwa. Bez bomby!

Przez chwilę patrzą na siebie w milczeniu. Twarze obojga łagodnieją, opływa je czułość wspólnych wspomnień, ciepło razem przeżytych dni.

— Jeszcze przyjdzie taki dzień — uśmiecha się Stasinek — że i ty ciotka pójdziesz z nami w pochodzie. Nikt kto szlachetnie myśli nie może pozostać obojętny na nasze hasło.

— Stasinku — Apolonia rozpływa się w serdecznej, gorącej prośbie i mówi jakby nie słyszała jego poprzednich słów — Stasinku nie idź. Na pamięć matki, na wzgląd na wasze piękne rodowe nazwisko, na siwiznę ojca zaklinam cię, nie idź z nimi. To źli ludzie Stasinku, to bolszewicy.

— *Oh, shut up* — woła Stasinek i zatrzaskuje drzwi ostatecznie.



Pułkownik Furdon przemierza gabinet szerokimi krokami. Jak żołnierz na posterunku przed pałacem królowej maszeruje tam i z powrotem wybijając takt miarowo i mocno. Dochodzi do ściany i zawraca ostro stukając butami w podłogę, gdzie kończy się wytarty dywan.

— W tej sprawie musi nastąpić szybka, zdecydowana decyzja.

— Generał czeka na odpowiedź z Waszyngtonu — odpowiada adiutant siedzący za biurkiem.

— Generał czeka! Nie poznaję generała. Czeka? Od kiedy to czekanie stało się jego nawykiem?

— Tej sprawy panie pułkowniku nie da się rozwiązać na wewnętrznej płaszczyźnie. Musimy się liczyć, że nieprzemyślane wystąpienie może spowodować reakcję rządu dla nas bardzo szkodliwą. Jesteśmy w obcym kraju.

Pułkownik przystaje, przerywa marsz po pokoju i patrzy na adiutanta z uśmiechem wzgardy.

— Gdzie my jesteśmy? Gdzie my jesteśmy?

— Jesteśmy w Wielkiej Brytanii, rok 1960!

— Jesteśmy na dnie, panie rotmistrzu. Na dnie.

Tym razem adiutant wydyma wargi pogardliwie.

— Czy pan zapomniał rok 1939? — pułkownik mierzy w adiutanta palcem jakby go osobiście oskarżał. — Masakry polskiej ludności na drogach, bombardowanie wsi i miasteczek? Czy pamięta pan triumfalny głos Hitlera w radio? A lata okupacji,

łapanki, Oświęcim, Treblinka, Bełz, tysiące miejsc straceń, mord, grabież, gwałt? Panowie tu na Zachodzie prowadziliście rycerską wojnę...

— Mieliśmy swoje krwawe bitwy — wtrąca rotmistrz — Monte Cassino, Falaise, kanał Mark, nie można nazwać tych zmagań spotkaniami przyjaciół.

— Dwa razy spalili nam stolicę, wymordowali rodziny, zniszczyli kraj, a dzisiaj mamy patrzeć w milczeniu jak podnoszą głowę! Dawno już domagałem się akcji z naszej strony, wystąpień do rządów zachodnich, otwierania oczu społeczeństw na idące niebezpieczeństwo odradzania się hitleryzmu. Teraz kiedy tu na tej ziemi mają powstać wojskowe bazy, kiedy w niedługim czasie zobaczymy mundury niemieckie paradujące po ulicach Londynu, nie możemy zwlekać z protestem. Pomoże nam miejscowe społeczeństwo. Czy pan zdaje sobie sprawę, że miliony ludzi tutejszych nie zapomniało bombardowania Londynu, zniszczenia Coventry, V1 i V2?

— Burmistrz Coventry zaprosił burmistrza Drezna. I — rotmistrz uniósł rękę ostrzegając niecierpliwego pułkownika, że jeszcze nie skończył swego wywodu — w grę tu wchodzi polityka, dyplomacja. Pan pułkownik zupełnie zapomina, przepraszam za śmiałość wyrażenia, gdzie się znajdujemy i po co tu jesteśmy. Musimy tak postępować, aby nie zrazić sobie sprzymierzeńców, którzy są nam potrzebni do walki z naszym wspólnym wrogiem. Pan o tym wrogu nie pamięta?

— Wszystko ma swoje granice. Walka walką, ale ściskanie krwawej hitlerowskiej łapy...

— Przesada, panie pułkowniku. Niemcy dzisiejsze są demokratyczne, rozsądne i włączone na dobre do obozu zachodniego, mogą tylko pomóc a nie zaszkodzić. Wojna skończyła się piętnaście lat temu.

— Aby się zacząć znów za pięć lat? — pułkownik mówi ostatnie zdanie z goryczą, pochyła siwą głowę i podejmuje swój marsz po pokoju. Znacznie wolniej, bardziej po cywilnemu niż przedtem.

— Ma pan ciekawe poglądy panie rotmistrzu — ciągnie spokojnym głosem — wierzę, że generał ich nie podziela.

— Mam prawo do wypowiadania swoich opinii.

— Naturalnie. Jest pan przecież wolnym człowiekiem. Nawet rotmistrzem tylko z tytułu. Nie krępuje pana żaden regulamin ani wojskowy, ani cywilny. Wszyscy jesteśmy tutaj wolni, za bardzo wolni. Wierzę, że generał swoim autorytetem zdoła doprowadzić do wspólnego wystąpienia.

— Wszystko cokolwiek uczyni generał, zrobi po poważnym zastanowieniu się i konsultacji.

— Naturalnie. Tylko żeby już coś postanowił. Żeby w ogóle przyszedł. Przecież ja zwolniłem się z mego hotelu specjalnie na kilka godzin. Mała to rzecz, ale zdaje sobie pan sprawę że mi potrącą za ten czas?

Rotmistrz szura papierami na biurku. Pułkownik stawia kroki od ściany do ściany. Odrabia sobie całodzienne siedzenie przy czyszczeniu sreber w hotelu Exlusive.

— Wszystko na generała — skarży się rotmistrz. — Organizatorzy Manifestacji żądają od niego obecności w pochodzie; domagają się wygłoszenia przemówienia na akademii, artykułu w gazecie, listu do premiera... Pan pułkownik w sprawie protestu, a rano była pani Lisiczko, której męża nie chcą przyjąć do szpitala umysłowo chorych. Niech pan spojrzy — rotmistrz podnosi pisemko — codziennie jakiaś sprawa pilna i konieczna.

Pułkownik nie zwraca uwagi, nie słucha. Stawia kroki coraz wolniej i coraz mniej po żołniersku. Rotmistrz kładzie list na biurko, gładzi go, prostuje i uśmiecha się do siebie złośliwie.

— Panie pułkowniku — mówi służbowo — jeżeli pan może, to proszę załatwić tę sprawę. Jest to w kompetencji pana pułkownika. Więcej, ta sprawa zainteresuje pana szczególnie. Jak dla pana stworzona.

— O co chodzi — pułkownik zatrzymuje się przed biurkiem.

— Proszę — rotmistrz podaje pismo. — Doniesienie, że wśród naszego społeczeństwa znajduje się zdrajca. Były kat z obozu hitlerowskiego. Mordował Polaków zastrzykując im fenol, czy benzynę a teraz, jakby nic, żyje sobie korzystając z opieki i gościny polskich emigrantów. Nowy Eichmann, panie pułkowniku. Polski Eichmann. Czy nie należy przed jakimkolwiek protestem antyniemieckim załatwić tej sprawy? Oczyścić własne szeregi?

◆

— Ile pan paczek zaszył dzisiaj, panie Kawalski?

— Zenon Kawalski podnosi zaczerwienione oczy na swego „bosa".

— 45 panie Macużko. O dwie więcej niż wczoraj.

— O dwie więcej? — Macużko potrząsa skrawkiem papieru i śmieje się z ironią. — Zapisał pan te pięć poleconych, malutkich paczuszek z lekarstwami i cieszy się pan jak cholera. Do d... z taką produkcją, panie Kawalski.

Koledzy z prawej i lewej strony długiego stołu śmieją się przymilnie.

— Pan zdaje się upominał się o podwyżkę? Co?

— Jestem tu już 6 miesięcy — broni się Kawalski.

— Produkcja, panie Kawalski, produkcja. Oto co się liczy, a reszta to śmieć i legendy. Pan myśli że ja pójdę do szefa i powiem: Ten Kawalski, szefie, ma piękne oczy, dajmy mu funta więcej. Nie, panie drogi, panie magistracie, czy jak tam pana nazywają koledzy, ja muszę czarno na białym, jak na tapecie pokazać. Produkcja!

Kawalski kurczy się coraz bardziej, pochyla się niżej i niżej. Dziobie igłą w workowate płótno paczki, którą ściska między kolanami i ukradkiem ociera zaczerwieniony nos.

— Pan musi się wykazać — Macużko prostuje się za plecami Kawalskiego przybierając postawę Napoleona. — Niech pan pamięta, że to ja pana przyjąłem na własną odpowiedzialność.

Pełen godności i powagi Macużko obrzuca spojrzeniem szereg skurczonych postaci. Mierzy oczyma sterty paczek piętrzące się obok każdego i powoli wychodzi nie zamykając drzwi. Może zawsze obserwować ich przechodząc korytarzem ze swego pokoiku za magazynem do biura szefa.

— Co on taki wściekły, panie Zenonie — pyta mecenas Konecki.

— Cholera! — Kawalski rzuca igłą o stół i prostuje się groźnie. — Piekli się, bo mu kiełbasy nie przyniosłem.

— Kiełbasy? — z prawej wtrąca się Całowski.

— Obiecałem draniowi wianek krakowskiej i nie dostałem. Spóźniłem się przez tę kiełbasę. Szef mnie zobaczył i kazał Macużce mnie ochrzanić. Nie dość mu tego, jeszcze się czepia do produkcji. Czy ja, panowie, robię mniej niż kto inny?

— Pracuje pan jak koń, panie magistrze — potakuje Konecki.

— Jak na nowego pracownika — odzywa się z końca stołu Wiszert — to zupełnie nieźle. Tylko niech pan pamięta, że poleconych nie można dopisywać do normalnych. To osobny rachunek.

— Ja panie Wiszert — zaczyna Kawalski, ale Konecki trąca go w ramię i mruga ostrzegawczo oczyma.

Kawalski milknie. Przypomina sobie, kim jest Wiszert, że łączy go bliskie koleżeństwo z Macużką i woli więcej nie rozrabiać swoich żalów na ,,bosa''.

Kończy zaszywanie paczki. Łapie za pędzel i maluje na niej adres. Cyrylicą wypisuje nazwę miasta gdzieś daleko, głęboko za żelazną kurtyną, za trzema, dziesięcioma żelaznymi kurtynami. Pisze nazwisko koczące się na ,,ij'' i ulicę imienia ,,Krasnej Armii''.

— Stąd, z samego serca Londynu — myśli sobie — pójdzie te kilka metrów cajgu w podróż tysiąckilometrową. Jakaś nieznana nam babuszka na zapadłym kołchozie ucieszy się, rozpłacze ze wzruszenia, że ktoś o niej pamięta.

Ktoś? Wystarczy wyjść na korytarz i popatrzeć na stojących przed biurem klientów. Ciężkich, kanciastych ludzi, przysadziste kobiety, twarze o wystających kościach policzkowych, spracowane ręce.

Mają nieruchome, ostrożne spojrzenie. Kładą przyniesioną paczkę na ladzie i targują się o cenę. Nade wszystko chcą zapewnienia, gwarancji, że ciężko opłacona paczka dojdzie do rąk czekających na nią rodziców, braci, znajomych...

Czasem zjawia się elegancko ubrany człowiek. Mówi po angielsku śmiesznym drewnianym akcentem, przesadnie panuje

nad swoimi gestami i ocierając pot z czoła błyska złotym sygnetem. Nie targuje się, wybiera z półek najdroższe materiały, niedbałym ruchem ręki dołącza jeszcze kilka par pończoch, buty podbite grubą podeszwą, kołnierz futrzany. Jemu nie zależy na pieniądzach, krępują go tylko przepisy ograniczające wartość przesyłki.

Potem Zenon Kawalski z kolegami męczą się zaszywając w worek wielką, ogromną paczkę zawierającą bogactwo imponujące i po tej i po tamtej stronie żelaznej kurtyny.

— Cześć pracy!

Wesoły piskliwy głos budzi Kawalskiego z rozmyślań.

— A pan major. Co słychać, panie majorze.

Kadłubek zbiera zamówienia na mieście. Zamówienia i plotki. Jego wejście stanowi rozrywkę w pracy. Zawsze coś nowego. Zjawienie się majora Kadłubka oznacza także, że tylko godzina dzieli pracowników od końca roboty. Chyba, że ktoś zostaje na „overtajm''.

— Co słychać, majorze? — powtarza pytanie Wiszert.

— Awantura — major zaciera ręce, oczy mu błyszczą podnieceniem — awantura arabska. Coś specjalnie dla pana, panie magistrze.

— No co takiego? — Konecki wstaje ze swego stołka prostując się przy tym i rozciągając ramiona.

Wszyscy ciekawie patrzą na Kadłubka, który po mału kładzie na stole swoje książki i każe im czekać na siebie.

W maszynkach skwierczy gotujący się lak, paczki leżą porozrzucane nie doszyte jak szare barany z rozciętymi brzuchami.

— No? — nie wytrzymuje oczekiwania Konecki.

— Awantura — powtarza swoje Kadłubek. — W naszym kółku, panowie, w naszym gronie szczerych niepodległościowców, wygnańców politycznych...

— Co tu się dzieje? — we drzwiach staje Macużko i gromi ich oczyma. — Przerwa, czyli strajk.

— Panie kolego — zwraca się do niego Kadłubek. — Sensacyjna wiadomość. Awantura arabska na emigracji.

— No co takiego? Gadaj pan tylko krótko.

— Okazało się, że wśród nas na emigracji, tu w Londynie, pod samym bokiem naszych autorytatywnych czynników, w sercu walczącej Polonii siedzi zdrajca.

— Szpieg komunistyczny? — wykrzykuje Wiszert.

— Nie. Człowiek, który mordował Polaków w Oświęcimiu czy w Belsen. Zbrodniarz wojenny nie gorszy od Eichmanna. Nazista zadekowany, ukryty, znany nam wszystkim i bezpiecznie grasujący wśród nas. Żerujący na naszej naiwności przestępca. Potwór!

— Kto to taki?

— Nazwisko pan znasz?

Kadłubek patrzy na Kawalskiego, który czerwieni się i miesza.

— Co to ma ze mną wspólnego? Dlaczego pan do mnie z tą sprawą?

— Pan mieszka w domu pułkownikowej Doniewieckiej?

— No tak, ale przecież nie powie pan, że w tym porządnym domu...

— Właśnie. Zbrodniarzem jest jeden z lokatorów pani Doniewieckiej.

— Kto? — Kawalski krzycząc zrywa się i staje naprzeciw Kadłubka.

— Nigdy byś pan nie przypuścił.

— Kto taki?

— Najstarszy mieszkaniec tego domu, zaufany pułkownikowej, członek rodziny prawie. Ten, który załatwia dla niej wszystko, pomocnik można powiedzieć...

— Spalski? Niemożliwe.

— Niejaki Józef, albo raczej Joseph Macher.

— Niemożliwe — szepcze Kawalski i siada na swym stołku.

— Są dowody. Niech pan zapyta się prezesa Oszelskiego, on zebrał wszystkie dowody. Nie ma ani cienia wątpliwości. Macher jest wojennym zbrodniarzem, potworem podobnym do Hessa czy Eichmanna. Zaczaił się przez tyle lat i wykorzystywał naszą naiwność. Korzystał z opieki ludzi, których rodziny mordował z zimną krwią.

— I co teraz będzie? — Konecki otwiera usta przerażony i zdumiony zarazem.

— Zapytaj pan pana magistra. — Kadłubek znów wpatruje się w Kawalskiego — on panu odpowie.

— Co ja mam do tego?

— Jakto? — porywa się Wiszert, — Pan był przyjacielem Machera, pan był jednym z tych, którzy go ochraniali. Pana obowiązkiem jest tę sprawę załatwić.

— Od tego są sądy.

— Nie bądź pan dzieckiem panie magistrze — miesza się Całowski — takiej sprawy angielskie sądy nie załatwią.

— Mamy własne czynniki, mamy organizacje, instytucje...

— Całymi latami chroniliście zbrodniarza, a teraz się wykręcacie?

Wszyscy zdają się potakiwać słowom Wiszerta. Kadłubek wciąż naprzeciw Kawalskiego kiwa głową smutno i poważnie.

— Co wy od niego chcecie? — nagle odzywa się Macużko — Co taka oferma załatwi? Kiełbasy nie umie kupić, a co dopiero taką sprawę.

— Ja — woła nagle Kawalski — ja panie Macużko potrafię z tym zrobić porządek.

— G... pan zrobi — Macużko wzrusza ramionami i znika na korytarzu.

Kawalski patrzy na puste drzwi, wyprostowany, napięty z wypiekami na twarzy.

W wielkim obcym Londynie Polak Polaka goni, jak kluska kluskę w kadzi z rosołem. Z krańca na kraniec miasta — mile, kilometry ulic zawalonych samochodami, zabarykadowanych autobusami, zagrodzonych ruchomym płotem żywych ludzi.

Trzeba wielkiej sprawy, mocnego bodźca aby rodak zdobył się na wyprawę na drugim piętrze zadymionego autobusu, albo poprzez otchłanie kolejki podziemnej.

Ale jak trzeba to trzeba. Oto w jednym pociągu siedzi Oszelski, podpiera brodę rączką parasola i duma.

Autobusem telepie się pułkownik Furdon.

Z przeciwnej strony, przeciwnym pociągiem sunie pod ziemią Adam Puchwalski z panem Gnasickim, koronnym świadkiem oskarżenia.

Ściągają wszyscy w jednym kierunku.

Do tego samego celu zdąża cały polski Londyn. Nie kolejką, ani autobusem, ale po drucie telefonicznym. Rozpięta nad miastem i pod miastem sieć drutów drga, brzęczy, krzyczy syczącym polskim językiem. Aparat zaraża się od aparatu, kabel rezonuje do kabla, membrany chrypią, zapocone słuchawki tkwią przy uszach.

— Tadeusz, wy musicie coś robić!

— Nigdy bym nie przypuszczał, po tylu latach...

— Jak ta Dziunia mogła wytrzymać, pod jednym dachem.

— Mam nadzieję, że generał...

— Przekazaliśmy do biura prezydenta...

— Dowody na piśmie. Nie ma żadnej pomyłki!

— Proszę poprosić panią pułkownikową Doniewiecką.

— Jeszcze jedna sprawa, która nas kompromituje w oczach Anglików.

— Wysłałem list do redakcji.

— Należy ufać, że pułkownik...

— Musimy pokazać, że jesteśmy dojrzali politycznie.

— Czy to prawda?

— Oświęcim? Przecież to było w Ravensbruku!

— Tu tylko sąd obywatelski.

— W obliczu takiej sprawy wszystkie różnice polityczne powinny zaniknąć.

— Panie, Żydzi potrafili dać sobie radę, a my...

— Elżuniu, jestem straszliwie przejęta...

— Kto to jest? Jak się nazywa?

— Macher? Jaki to Macher?

— Z podolskich Macherów?

— Spod Kijowa?

— Niemożliwe, w Warszawie Macherów nie było.

— Lwów? Wykluczone.

— Józef? Kto go znał przed wojną?

— Macher?

— Józef Macher?

— Po prostu Macher. M-a-c-h-e-r.
— Czy to pani Doniewiecka?



Józef Macher wraca do domu. Każdego piątku odbywa tę samą drogę od Urzędu Pracy do baru Pod Koroną i do domu. W piątek otrzymuje swoje bezrobocie i zasiłek z *Assistance Board;* chowa pieniądze do kieszeni na piersiach, zostawiając w ręku drobne srebro. Tylko tyle, aby starczyło na piwo.

Pod Koroną, znają Machera tak dobrze jak każdego ze stałych bywalców. Bez słowa, jedynie ze stereotypowym uśmiechem barmanka nalewa mu ,,pajnt ginessa''. Nie wdaje się w rozmowy, wie że to jest bezcelowe i niemożliwe. Józef Macher milczkiem wypija piwo. Zajmuje mu to najwyżej kwadrans. Obciera usta i wychodzi bez pożegnania.

Po co ma otwierać usta? I tak nie usłyszy co mu odpowiedzą.

Wędruje ulicami tak znanymi, że trafiłby nawet gdyby był ślepy.

Samotność dościga go na gwarnej ulicy. Opuszcza głowę śledząc machinalnie zakręty chodnika, przejścia przez ulice, rogi domów, które trzeba obejść. Nie widzi nikogo i naturalnie nie słyszy. Jest sam ze swoim trudnym życiem.

Nie pamięta już kiedy po raz pierwszy poczuł ciężar swego losu. Na pewno jako dziecko musiał nieraz płakać pokrzywdzony. I potem każdy ile razy tylko zechciał krzywdził Józefa Machera.

Dlaczego?

Dlaczego istnieją ludzie, którzy pozwalają się krzywdzić?

Może wystarczy tylko mieć bladą cerę, szczupłą postać z zapadniętą piersią, ptasią głowę, cofnięty podbródek i zawsze spocone ręce?

— Weź pan tego Józia do cholery, niech mnie goli kto inny!

Nieraz spotkał się z tym krzykiem, kiedy jako pomocnik fryzjerski w miasteczku Grzędów podchodził do rozpartego w fotelu klienta.

Jeden tylko gość upodobał sobie Józia. Doktor Wentz, Niemiec w mundurze. Zjawił się w Grzędowie w roli zdobywcy w 1939 i dzień w dzień siadał w zakładzie fryzjerskim Abramowskiego.

— *Wo ist Macher?* Niech mnie goli. *Macher, komm.*

Dawał sute napiwki, które gniewały Józefa. Wiedział, że jest przedmiotem jakiejś brudnej gry, wspólnikiem ciemnej sprawy.

Ile razy w życiu myśli o Wentzu, zawsze wstydzi się samego siebie, że nie odmówił mu wtedy, że nie plunął w twarz, człowiekowi, który tak strasznie naigrywał się z niego.

Człowiekowi, który potem ocalił go od śmierci, aby pogrążyć jeszcze głębiej.

Po raz drugi Macher spotkał doktora Wentza w obozie.

Wzięli Józefa dlatego, że nie chciał podpisać Volkslisty. Nie przyznawał się do pochodzenia niemieckiego. Postawił się raz jedyny w życiu. Otrzymał takie straszliwe bicie, że leżał nieprzytomny w celi przez dwa dni, a później znalazł się w obozie.

Sześć miesięcy wytrwał Macher jako *haftling*. Z gorączką wygoniono go z baraku i postawiono przed lekarza SS, który miał zadecydować czy warto go leczyć, czy wysłać wprost przez komin.

Lekarzem był Wentz.

— *Was machst du hier? Macher?*

Miał czerwone plamy na piersiach, powinien był iść do gazu, ale Wentz go wyratował. Wziął na rewir i wyleczył.

Józef Macher był jednym z bardzo niewielu więźniów, którzy przeżyli tyfus. Wstał z łóżka bardzo słaby i głuchy. Nic nie słyszał. Wentz komenderował nim ruchami rąk, albo wydawał polecenia na piśmie.

Macher został sanitariuszem na rewirze. Odkarmił się i nabrał siły. Poza pracą w szpitalu miał obowiązek codziennego golenia doktora.

Poranna ceremonia golenia była zawsze jednakowa. Najpierw odbywało się bicie. Wentz walił szpicrutą na odlew, krzyczał i wymyślał nie wiadomo za co. Bił po twarzy i kopał leżącego. A potem siadał na krześle i kazał się golić. Drżący, zrozpaczony Macher ostrzył angielską brzytwę i prowadził nią po twarzy, po gardle znienawidzonego Niemca. Wentz przymykał oczy i poruszał nozdrzami jakby odczuwał straszliwą rozkosz.

Zbitemu, sponiewieranemu golibrodzie z czasem też ten akt wynaturzonej gry nienawiści, rozkoszy, lęku i upodlenia sprawiał satysfakcję, której nie umiał sobie wytłumaczyć.

Doktor Wentz był pedantycznie czysty. Nie lubił brudnych, owrzodziałych, zapaskudzonych szpitalników. Starał się ich pozbywać jak tylko można najszybciej. W ogóle dbał bardzo, aby w szpitalu były zawsze puste łóżka.

Uważał, że we właściwym czasie zrobiony zastrzyk przyniesie ulgę choremu. Wieczną ulgę.

Józef Macher był tym, kto na podstawie kartki doktora szedł od łóżka do łóżka wybierając chorych. Po zastrzyku przez niego zrobionym chory już się nie budził.

Nie od razu Macher zgodził się na taką rolę. Miesiące trwała walka między nim a Wentzem. Cicha, niema, uporczywa walka. Wisiał na rękach wykręconych do tyłu, leżał nieprzytomny zbity i skopany, wysyłano go do karnego komando i znów sprowadzano na rewir.

Chciał umrzeć, chciał się obronić przed czymś co było znacznie gorsze niż podpisanie *Volkslisty*.

Nie potrafił. Pewnego dnia zrobił zastrzyk umierającemu pacjentowi. Ten umarłby i tak w przeciągu dnia, albo dwóch.

Był zdziwiony, gdy nie poczuł się mordercą.

Potem patrzył w przerażone oczy chorych, obserwował ich usta poruszane złorzeczeniami, czuł na sobie przekleństwa. Zabijał ze smutkiem, ze współczuciem, ale bez wyrzutów sumienia.

Życie było krótką drogą ku śmierci. Macher, chorzy, włóczące się po obozie ,,muzułmany'', jedzący ziemię więźniowie sowieccy, wszyscy maszerowali, pełzli ku rozżarzonym rusztom krematorium. Po co się męczyć?

Wierzył, że bliski jest dzień, gdy i on zrobi te kilka ostatnich kroków. Albo go zaniosą, zawleką za ręce i nogi.

Tylko przedtem chciał jednego... Co rano oczekiwał, że to przyjdzie, że to się zdarzy i co rano ekstaza oczekiwania obezwładniała go, opadał bolesny lęk, bezsilność...

Mył pędzel, czyścił brzytwę i szedł na rewir z karteczką, na której miał wypisanych ,,zbędnych'' pacjentów.

Ach, to są wspomnienia, które idą razem z nim, otaczają go jak żółte światło otacza latarnię uliczną. Posuwa się w tej ponurej kuli pchając ją ze sobą, ciągnąc za sobą, istniejąc w jej wnętrzu.

Kiedy prawie dziesięć lat temu zjawił się w domu pułkownikowej, ten balast nieszczęścia i rozpaczy był tak ciężki, że nie potrafił go udźwignąć. Pracował jak koń w fabryce plastyku, pocił się i męczył tylko po to, aby móc wieczorem zapadać w sen bez mar, bez wspomnień. Rzadko to mu się udawało. Zmieniał pracę, zmieniał mieszkania, jakby go gonili. Bał się zatrzymać dłużej na jednym miejscu.

A tu w tym domu poczuł się bezpieczny i szczęśliwy. Nie wiadomo dlaczego potraktowano go jak zwykłego człowieka. Po prostu jednego z wielu lokatorów płacących mniej lub więcej regularnie. Uśmiechano się do niego, robiono przyjazne gesty, przysługi i jemu pozwalano tym samym sobie odpłacać.

Kiedy zachorował i stracił pracę, pułkownikowa zaproponowała, żeby jako bezrobotny pomagał jej robiąc zakupy. Macher nie potrzebował pieniędzy, nie wyobrażał sobie, aby potrafił je tracić. Wydawało mu się, że im mniej będzie miał grosza tym większy spokój sobie zapewni. Kilka szylingów za posługi od pułkownikowej, kilka szylingów za robienie sprawunków innym lokatorom, zasiłek co piątek na zapłacenie za pokój, bezrobocie...

Józef Macher był szczęśliwy. Wychodził rano w towarzystwie starego Spalskiego, który uśmiechał się jak przyjaciel, gadał śmieszne rzeczy, których Macher nie słyszał; umiał też tak wyraźnie mówić gdy zaszła potrzeba, że można było z jego ust odczytać każde słowo.

Czy świeciło słońce, czy padał deszcz, zawsze było pogodnie.

Aureola dawnego, zawsze otaczająca Machera bladła, wspomnienia zacierały się. Wierzył, że kiedyś zasiądzie w fotelu tuż obok zasapanego, uśmiechającego się Spalskiego i opowie mu wszystko. Będzie to wielki podniosły dzień.

Lecz czy kiedykolwiek nadejdzie?

Jest ciemny wieczór. Latarnie ledwo rozniecają trochę światła na ścianach domów, na nagich gałęziach drzew. Chod-

nik ma na sobie śliską maź wilgoci, asfalt jezdni odbija mdłe łuny lamp zawieszonych bardzo wysoko.

Macher powtarza sobie swoją lekcję, tylko sobie. Idzie otoczony wspomnieniami jak pożarem.

Boi się. Znowu strach, bezradność, rozpacz szarpią nim jak ciosy oprawców.

Dziś przed południem przez szybę w kawiarni Fliglii Macher zobaczył twarz, która go przeraziła. Nie wiedział, kto to był, nie pamiętał jak się ten człowiek nazywał.

Twarz mężczyzny siedzącego przy stoliku koło okna otwierała wszystkie bolesne zakamarki, budziła wszystkie lęki.

— Dzień dobry panie Macher. Co pan tu robi panie Macher? Dawno nie widziałem pana panie Macher. Pan wciąż żyje panie Macher?

Obojętnie jakimi słowami przemówi ten człowiek, chwila gdy się zbliży do niego, będzie dla Józefa Machera końcem tego, co istnieje dzisiaj, raju dla obłąkanych.

Macher i tak słów nie usłyszy. Wyczyta oskarżenie, wyrok i dzień egzekucji.

— Za co — mówi do siebie Macher idąc po ulicy — czy ja co takiego robił? Powiedzcie sami, czy ja mógł co innego robić? Oni i tak pomarliby. Panowie — zwraca się do mijanych drzew — ile razy wsadzałem igłę, gdy ręka już nie żyła. Znajdźcie Wentza, jego znajdźcie... On wam wszystko powie... On wiedział...

Pochylony Macher schodzi z chodnika ku furtce. Mija frontowe drzwi i idzie do bocznych, otwiera je własnym kluczem i wchodzi na kuchenny korytarz. Po schodach jednych, drugich, mija pokój Kawalskiego, Ranowskiego, Spalskiego, Panny Dziuni, pana inżyniera... Wchodzi na swoje pięterko.

Cicho, ciepło, bezpiecznie...

— *Was machst du hier, Josef?*



— Panie Spalski. Psst.

Spalski zatrzymuje się na korytarzu. Z pokoju Juliana Ranowskiego wygląda głowa Kawalskiego.

— Panie Spalski, prosimy na chwilę.

Julian Ranowski jest geniuszem. Nigdy nikt nie mówi o nim pan Ranowski, ani pan Julian, ale pełnym imieniem i nazwiskiem jak przysługuje poecie. Adam Mickiewicz — Julian Ranowski. Cały dom jest dumny, że wielki literat obrał sobie za siedzibę pokój w domu pani pułkownikowej.

W pokoju jak zawsze u geniuszów nieporządek i brud okropny. Na stole, na krzesłach, na półce, na oknie, na łóżku papiery, papiery, papiery...

Julian Ranowski kończy swoją dawno zapowiadaną książkę. Wspomnienia nad wspomnieniami.

Na stole leży rękopis zatytułowany: Rozdział VIII — Kijów rok 1899! Z olbrzymiego Remingtona biurowego sterczy do góry arkusz zapisany do połowy.

— Panowie, panowie... — poeta jak zawsze brzmi drżącym, płaczliwym tonem, jak rozbita trąbka ułańska. — Czas, czas mi zabieracie. Mój drogi czas.

— Mistrzu — z powagą i rewerencją usprawiedliwia się Kawalski — tylko chwileczkę. Nie śmiałbym niepokoić mistrza ale sprawa bardzo ważna, niesłychanie ważna. Dotyczy naszego domu i my trzej, Mistrz, pan Spalski i ja, jako najbardziej odpowiedzialni z lokatorów pani pułkownikowej Doniewieckiej, naiwnej trochę choć tak niezmiernie dobrej i serdecznej gos...

— Do rzeczy, panie. Streszczajmy się, błagam.

Mistrz wygląda tak samo nieszczęśliwie i płaczliwie jak brzmi jego mowa. Jest łysy, pomarszczony, zwiędły jak ptak oskubany przed włożeniem go do rondla. Otula się w szary szlafrok z koca i siedząc na łóżku przebiera nerwowo nogami.

Kawalski przenosi wzrok na Spalskiego. Ten jest szeroki, mocny, chociaż przygarbiony. Ma twarz wielką i szczera, błyszczącą od tłuszczu i potu. Stoi przy samych drzwiach i nie wie co robić z rękami, z buciorami, z całym swoim korpusem dźwigającym się jak góra szarej ziemi ponad białymi liśćmi papieru

— Panie Spalski — strzela Kawalski — czy pan wie, kto to jest Macher? Macher jest to zbrodniarz wojenny. Bandyta, który mordował ludzi w obozie koncentracyjnym.

— Co z tego panie kochany? Co nam do tego? — skrzeczy poeta.

Spalski patrzy na Kawalskiego nie rozumiejąc.

— Są na to dowody. Świadkowie. To rzecz pewna na sto procent. Jako sanitariusz hitlerowski w obozie koncentracyjnym uśmiercał chorych zastrzykami.

— To jest niemożliwe — trzęsie głową Spalski.

— A dlaczego nie? — odzywa się Ranowski. — Natura ludzka jest niezgłębiona. Macher ma takie dziwne oczy.

— To co z tego?

— Jakto co z tego — Kawalski patrzy na Spalskiego oburzony. — Po pierwsze nie może mieszkać w naszym domu.

— To sprawa pułkownikowej.

— Nasza. Nie możemy kolegować ze zbrodniarzem, nie możemy spotykać się z nim w łazience, przy ,,gaskukerze'', chodzić do tej samej toalety. Macher musi zniknąć z tego domu. Odejść.

— Gdzie?

— To jego rzecz. Cała sprawa przybierze poważny obrót. Czynniki nasze, wiem to z wiarogodnych źródeł, wzięły ją w swoje ręce. Mnie chodzi o jedno tylko: pod sąd, czy do więzienia; mnie nie obchodzi gdzie, niech idzie, ale nie stąd. Niech dom, w którym znaleźliśmy gościnę, będzie czysty.

— Poczekaj pan — podnosi się Mistrz — są dowody powiadasz pan?

— Czarno na białym.

— Są świadkowie, którzy stwierdzają, że nasz biedny Macher był kiedyś potworem z lagru?

— Na sto procent stwierdzają.

— I przez dwadzieścia prawie lat żył sobie jak gdyby nic, spokojnie, cichutko. Ukrywał się między nami jako jeden z nas. Ciekawe.

— Nic tu nie ma ciekawego — zagrzmiał wreszcie Spalski — Po pierwsze nie wierzę.

— Ha — rozłożył ręce Kawalski.

— Muszę zobaczyć dowody, muszę z nim samym porozmawiać.

— Wiecie, że to ciekawe — Ranowski uderza pięścią w otwartą dłoń prawej ręki, a potem trze czoło. — Ciekawe.

— Musimy działać. Musimy coś robić we własnym interesie.

— Nie wierzę — Spalski krzywi się rozpaczliwie macha ręką i wyskakuje na korytarz.

— Mistrzu — apeluje Kawalski. — Co robić?

— Dwadzieścia lat męki, wyrzutów sumienia, życia pod ciągłą grozą, ukrywania się. Ciekawe.

— Co robić — Kawalski krzyczy, aby zwrócić na siebie uwagę Ranowskiego, który szklanymi oczyma patrzy przed siebie, widząc jakieś inne obrazy.

— To... to warte powieści.

— Do czynu, mistrzu, do czynu. Musimy działać.

— Ach panie, panie — Ranowski jakby oprzytomniał, przypomniał sobie obecność Kawalskiego. — Wspaniały temat, cudowny temat. Emigracja, Londyn, nowa wojna wisząca nad nami i mały biedny człowieczek. Wspaniały temat do powieści. Ach, panie, panie napisałbym powieść, gdyby nie moje niedokończone wspomnienia.



Wąski i ciemny jak nora pokoik. Światło z latarni ulicznej pada na sufit i rozproszone przesyca przestrzeń tonąc po kątach, pod ścianami, w czarnej mazi mroku.

Macher skurczony, wtulony w podarty fotel patrzy na swoje obrazy. Zjawiają się przed nim jeden po drugim jak w kinie. Wyraźne, ostre, tyle tylko, że otulone niebieską mgłą i ciche jak cały świat Józefa Machera.

SS-man w czarnym mundurze bije się szpicrutą po cholewach. Uśmiechnięty gładzi swoje policzki. Chwali się przed kolegami. Rechocze z uciechy. Gestykuluje. Palcem pokazuje na małego człowieczka siedzącego pod oknem.

,,Jestem najlepiej ogolonym człowiekiem w całej armii'.

Tak mówi. Nie słychać jego słów, ale wiadomo, że to właśnie wypowiada przesuwając wierzchem dłoni po szczęce.

Potem wyciąga rękę ze szpicrutą i delikatnie gładzi pod brodę małego człowieka w białym kitlu na pasiakach.

Macher, Macher, was machst du?

Jakaś wesoła piosenka. Usta SS-manów otwierają się do śpiewu. Powietrze drga, brzęczy. Ściana rezonuje, framuga okna odbija fale akustyczne. Rytm, rytm, rytm...

Skądś przez powietrze przypływa szklanka. Wódka czysta jak kryształ. Aromat alkoholu.

Szklanka rośnie, olbrzymieje. Zapach dusi, napełnia płuca, pokój cały.

Was machst du Macher?

Zapada kurtyna. Biała kartka papieru wydartego z brulionu. Między niebieskimi liniami wypisane okrągłym, starannym pismem numery.

Sanitariusz idzie pomiędzy łóżkami. Zbliża się do numeru pochyla się wyciąga rękę i ujmuje ramię chorego. Wysuwa strzykawkę jak żądło.

Twarz chorego przerażona cofa się, wciska się w słomianą poduszkę. Z bocznych łóżek podnoszą się zjawy szczerzące zęby w złości, w gniewie. Usta poruszają się krzykiem, ręce zaciskają się w pięści.

Sanitariusz nie słyszy, mówi:

,,Nie bojaj się. To samo zdrowie. Zdrowie, głupi. Wybiegniesz stąd, jak ptaszek. Będziesz biegł i biegł, lasem, polem, lasem, wielkim wolnym polem i ani drutu, ani bramy nie napotkasz. To samo zdrowie, sama wolność. Czego się bojać? Czego? Czeka ciebie kto? Dziewczyna? Ojciec? Zobaczysz ich wnetki. Jutro, dziś, za godzinę... I taki piękny będziesz jak król jaki. Jak król...''.

Z boku przystojna twarz uśmiecha się wyrozumiale. Tkwi blada, spokojna na kołnierzu z aksamitnymi patkami, z literami podobnymi do S, do dwóch wielkich S.

,,Jeden. Tylko jeden. Pierwszy się liczy. Raz zaczniesz i będziesz szedł dalej. Musisz to robić, choć cię nie biję. Widzisz? Mam puste ręce. Nie uderzę cię, a będziesz mnie się słuchał. Ty śmieszny fryzjerku z Kszętoffa. Ty Macher''.

Do kołnierza doskakuje tułów. Z tułowia wyrastają ręce. Dłoń energicznym ruchem nakazuje, usta wypowiadają rozkaz.

,,Czystość musi być. Czystość musi być. Zabierzcie to bydlę. Bydlę. Bydlę. Czystość. Zabierzcie zafajdane prześcieradło. Czystość. Bydlę''.

Mącą się obrazy. Zmieniają się, biegną. Jakieś drogi, drzewa przydrożne. Pociągi, stacje, kolejarze, żołnierze z chlebakami zamiast karabinów. Dziewczyny rozczochrane, krzyczące.

Na chwilę zatrzymuje się film, obrazek powiększa się jak pod mikroskopem. Jakaś chwila jak kropla wody ożywa ruchami ludzkich bakterii. Czyjaś twarz wypiera wszystkie inne i patrzy bez mrugnięcia powiek. Czyjaś obca nieważna twarz.

I wreszcie z zawieruchy wyłania się oczekiwany obraz.

Józef zaciska ręce na poręczy fotela. Unosi się podniecony, zagryza wargi. Widzi!

Odchylona głowa wylatuje z szyi, z odpiętego kołnierza. Pod głową jak obrus biała płaszczyzna płótna. Na twarzy smugi zielonkawe — mydło.

Drobna, czerwona ręka prowadzi brzytwę. Gładzi twarz, ściąga ślady mydła w dół, w dół... Ostrze ślizga się po brodzie, zatacza delikatne półkole, skrada się po napiętej skórze, gładzi, smuży, pieści. W dół, w dół, w dół...

Postawiona kantem brzytwa nieruchomieje. Zatrzymuje się, zaczaja tuż nad pulsującym wzgórkiem krtani.

Ręka na rękojeści zaciska się. Jak dłoń skrzypka przed uderzeniem w najwyższą nutę. Teraz...

Józef Macher pręży się w uniesieniu. Oblewa go żar, radość, rozkosz...

T e r a z !

Ktoś ruszył klamką u drzwi.

Obraz znikł. Uniesienie opadło.

Smuga światła z latarni ulicznej miesza się z mrokiem.

Drzwi napierane skrzypią.



— Pani pułkownikowo to jest właśnie nasz świadek koronny. Pan Gnasicki.

Pułkownikowa wyciąga pulchną rękę. Świadek schyla się i całuje.

Siadają dokoła okrągłego stołu.

— Usadowiliśmy się jak sąd — żartuje pułkownik.

— Nie chcielibyśmy nic uczynić bez porozumienia się z panią pułkownikową — zaczyna prezes.

— Uszanować trzeba uczciwy dom polski — skłania wypomadowaną głowę Adam Puchwalski.

— Co za skandal. Co za nieszczęście — popiskuje Dziunia Jaszkówna.

— Nie wiem jak sobie panowie wyobrażacie waszą akcję — pułkownikowa mimo strapionej twarzy stara się przemawiać z godnością. — Dla mnie ta sprawa ma dwie strony: z jednej biedny człowiek, smutny, głuchy pan Macher, którego wszyscy tu znaliśmy, pan Józio usłużny i pomocny każdemu, nasz Józio! Z drugiej wasze wielkie słowa, odpowiedzialność za zbrodnie, które nie wiadomo jeszcze czy on popełnił.

— Pani nas krzywdzi.

— Pani pułkownikowo...

— Proszę panów — pułkownik Furdon opanowuje sytuację. — Aby atmosferę przeczyścić oddajmy głos panu Gnasickiemu.

— Byłem więźniem hitlerowskich obozów — pan Gnasicki jeszcze stosunkowo niestary, łysiejący blondyn prostuje się w poczuciu ważności. — Kiedy chorowałem ciężko na gościec, udało mi się wkręcić na rewir i tam poznałem Polaka, Józefa Machera,

sanitariusza, który na rozkaz niemieckiego lekarza zastrzykami zabijał pacjentów.

— Ilu zabił? — zapytał Kawalski spod drzwi.

— Czy ja wiem. Stu, dwustu. Byliśmy chorzy, nie mieliśmy sił liczyć.

— Dlaczego pana nie zabił?

Gnasicki skręcił się w bok. Nad nim stał szeroki, groźny Spalski.

— Mnie? Dlaczego właśnie mnie?

— Właśnie, dlaczego nie pana?

— Proszę nie przerywać — grzmi prezes Oszelski. — Nie rozumiem po co się pan wtrąca.

— Chcę się dowiedzieć prawdy. Jak wszyscy tutaj. Przecież panowie poszukują prawdy.

— Pan Gnasicki widział na własne oczy.

— Ja mogę odpowiedzieć temu panu na pytanie. Macher zabijał tych, których wskazywał doktor. A doktor wybierał chorych na czerwonkę, nieprzytomnych, nie mogących wychodzić na stronę, takich, którzy, uczciwszy uszy szanownych pań, robili nieporządek do łóżka. Doktor miał bzika na punkcie czystości na rewirze.

— Czy ci, których zabijał Macher, mieli szanse wyzdrowienia?

— Trudno powiedzieć. Przeważnie byli to zupełnie nieprzytomni, umierający chorzy. Szansa wyjścia z rewiru była znikoma, mała dla każdego. Mnie, mogę powiedzieć, udało się. Pomogli.

— Kto panu pomógł?

— Polacy. Sanitariusze, koledzy. Podrzucili lekarstwo, podsunęli miskę rosołu, żeby sił nabrać.

— Czy Macher także?

— Macher? Czy ja mogę pamiętać. Wie pan, czy Macher...

— Dość tego, panie... — prezes stanowczo zwraca się do Spalskiego.

— Spalski.

— Panie Spalski, pan nam przeszkadza — ostro wtrąca pułkownik.

— Pan Edmund jest przyjacielem Józefa Machera — tłumaczy pułkownikowa — zżyli się ze sobą bardzo. Przecież to dziewięć lat jak pan Józio u nas zamieszkał.

— Pani pułkownikowo — Furdon nerwowo stuka kantem dłoni po stole — przyjaźń, znajomość, obowiązki gościnności tak cenne w naszym życiu nie mogą przecież wstrzymywać nas od spełnienia obowiązku.

— To jest sprawa obchodząca nas wszystkich.

— Najwyższe, najbardziej autorytatywne czynniki zainteresowały się tym faktem — pochyla się przez stół Puchwalski — czyż nie mam racji, drogi pułkowniku.

— Tak, naturalnie. I właśnie ja poniekąd z upoważnienia...

— Sprawę Józefa Machera musimy załatwić — wybucha prezes — i to szybko.

— Dlaczego znowu szybko? — zdumiewa się pułkownikowa. — Panowie, czy nie lepiej dobrze się naradzić, ustalić czy to naprawdę nasz pan Macher, zasięgnąć opinii ogółu...

Gnasicki uśmiecha się cierpko, z przekąsem.

— My zza oceanu jedziemy tutaj jak do Mekki polskości. Zdaje się nam, że tu w Londynie zogniskowało się wszystko co najszlachetniejsze, najmądrzejsze, najbardziej niezłomne w naszym narodzie. Nigdy nie spodziewałem się spotkać osoby, które będą bronić zdziczałego mordercy, zbrodniarza wojennego.

— Nikt go nie broni — wyskakuje panna Dziunia. — My mamy wstręt do zbrodni, mordowania i podobnych brzydkich występków. Tylko tak nagle to przyszło — bezradnie patrzy dokoła i zwraca się wreszcie do pułkownikowej. — Marteczko, przecież ty go nie bronisz? Ty typowa polska kobieta, ty której mąż zginął w Katyniu.

— Gdzie Rzym, gdzie Krym — mruczy Spalski.

— Przecież on był moim lokatorem — odzywa się pułkownikowa tonem rozpaczy. Dziewięć lat pod jednym dachem! Traktowaliśmy go jak przyjaciela, jak kogoś z rodziny...

Pułkownik Furdon i prezes Oszelski prychają ironicznie, Gnasicki patrzy w sufit, Puchwalski udaje współczucie.

— Weźcie panowie też pod uwagę, że mamy rok 1960. Kramer, doktor z Oświęcimia, został wypuszczony na wolność, najwięksi przestępcy, którzy stawali w Norymberdze przed sądem już są na wolności. Doenitz, Raeder, Manstein, Kesserling...

— Zbrodnia musi być ukarana — upiera się Furdon.

— Musiałby pan nową wojnę podjąć, żeby wszystkich hitlerowców ukarać.

— Tak mówią zdrajcy.

— Panie pułkowniku!

— Jeszcze raz panów proszę — wtrąca się pułkownikowa — zastanówcie się. Chociaż do jutra.

— Pani pułkownikowo — Oszelski uśmiecha się łagodnie, jak do dziecka. — Za trzy dni wychodzimy na ulice Londynu we wspaniałym pochodzie, z wielką, olbrzymią manifestacją, która ma poruszyć rządy po obu stronach Atlantyku. Najdzielniejsi żołnierze, najbardziej bohaterscy wodzowie, Polacy prawi, patrioci niezłomni będą szli na czele. Za nimi tysiące rodaków zjednoczonych w upartej walce ze Wschodem, z komunizmem. Wierzę, że wśród tych rzesz nie zabraknie pani i jej szanownych lokatorów — wzrok prezesa zatacza koło po pokoju z szacunkiem zatrzymując się na każdym po kolei. Potem prezes unosi głowę, wyciąga rękę patetycznie. — I w takim momencie historycznym mamy zostawiać za sobą sprawy tak przykre? Co na to powie Europa, kiedy się dowie, że nie potrafiliśmy oczyścić własnego gniazda? Kto do nas będzie miał zaufanie?

— A panu — pułkownik Furdon równie patetycznie i podniośle przemawiając zwraca się do Spalskiego — odpowiem na

pana zarzuty. Oto w tej chwili na tej ziemi, która nas gości lądują niemieckie zbrojne oddziały. Gad krzyżacki podnosi głowę. Jeżeli my, najbardziej ku temu powołani, nie zaprotestujemy z miejsca, jeżeli nie wystąpimy zdecydowanie, nowa wojna o nasze granice zachodnie spadnie na nasz kraj. A czy możemy poważnie zabierać głos jeżeli nie wypalimy raka na własnym ciele. Raka hitlerowskiego?

— Tu nie ma dwóch zdań — konkluduje Puchwalski. — Trzeba działać. Jutro wszystkie pisma angielskie doniosą o tej sprawie. Nie mamy czasu.

— I co panowie nazywacie działaniem?

— Pewnie będą chcieli go wieszać — podpowiada Spalski.

Prezes wyciąga spod stołu teczkę i kładzie przed sobą. Wyjmuje z niej plik papierów.

— Spiszemy protokół. Zestawimy wszystkie dane i my we trójkę: pan pułkownik Furdon jako przedstawiciel wojska, pan Puchwalski z ramienia społeczeństwa cywilnego i ja z tytułu mego stanowiska organizacyjnego wydamy wyrok.

— No o wyroku trudno mówić — łagodzi Puchwalski — dojdziemy po prostu do pewnych postanowień. Sformułujemy oświadczenie.

— W czasie okupacji te sprawy załatwiało się bez trudności — zauważa pułkownik.

— Przede wszystkim musimy wysłuchać Józefa Machera — znowu zabiera głos prezes. — Skonfrontować go z panem Gnasickim i zdobyć przyznanie się do winy.

— Przypuszczam, że skoro raz się przyzna — ciągnie pułkownik — to reszta pójdzie gładko. Przekonamy go, że powinien zdać się na Sąd Obywatelski, który w szybkim trybie zaleci deportację dobrowolną do Niemiec i zgłoszenie się do sądu dla nazich.

— Mamy też nadzieję — dodaje Puchwalski — że Macher wyprze się po prostu polskości. Byłoby to najlepszym rozwiązaniem. Przecież skoro poda się za Niemca będzie miał lepsze szanse w sądzie.

— Jesteście okrutni.

— Nie, pani pułkownikowo — skłania głową prezes — to pani jest okrutna. Przez tyle lat żył człowiek przygnieciony brzemieniem swoich zbrodni, uginał się pod nim, cierpiał. Przyznanie się, poddanie pokucie tylko sprawi mu ulgę.

— A wiesz Marteczko — woła Dziunia z błyskiem w oczach — panowie mają rację. To mu sprawi ulgę. Tylko...

Panowie „sędziowie" z ukłonem przytakują sojuszniczce.

— Tylko jak panowie z nim będą rozmawiali, on przecież jest zupełnie głuchy.

— Założy aparat — odzywa się ode drzwi Kawalski.

— On nie nosi aparatu, krępuje go bardzo.

— Albo nie pomaga — dodaje Spalski za pułkownikową.

— A jak państwo się z nim porozumiewacie?

— Panie prezesie — odpowiada — Dziunia — Marteczka, to jest pani pułkownikowa daje sobie świetnie radę. On czyta z jej ust. Tak samo pan Spalski, umie z nim rozmawiać.

— Na mnie proszę nie liczyć.

— Mnie też będzie bardzo trudno — uchyla się pułkownikowa.

— Gdyby ktoś z państwa był łaskaw go tu sprowadzić. — Oszelski rozgląda się, nie śmiejąc bezpośrednio prosić nikogo.

Milczą. Pułkownikowa, Dziunia, pułkownik i reszta patrzą na Spalskiego. On powinien spełnić tę misję. Najbliższy przyjaciel Machera.

— Ja nie pójdę — stanowczo odpowiada na te spojrzenia Spalski. — Ja nie pójdę. Idźcie sami, jak macie taki piękny interes do niego. Idźcie sami.

Znowu moment skrępowanego milczenia. I nagle od framugi drzwi odrywa się zdeterminowany Kawalski.

— Ja go sprowadzę. Jak pan Spalski nie chce, to ja pójdę po niego. Ja go tu na dół ściągnę, czy będzie chciał, czy nie. Ja wierzę, proszę państwa, że naszym obowiązkiem jest oczyścić nasz dom. Sprowadzę go tutaj, a niech nie zechce, to...

Pułkownik uśmiecha się z delikatną ironią. Wybuch Kawalskiego i on sam, spocony, czerwony z podniecenia, wygląda śmiesznie. Nie trzeba żadnej przemocy i pułkownik podnosi ostrzegawczo rękę, ale Kawalskiego już nie ma.

Wtedy pułkownik Furdon zwraca się pełen powagi do gospodyni i wygłasza długą kwiecistą przemowę. Jest w niej pamięć męża, zasługi matrony sarmackiej, uznanie dla tradycji, dla wielkiej gościnności, dla patriotyzmu. Wszystkie kwiatki z zielnika zasuszonego tułactwa pułkownik układa w bukiet i składa u stóp pułkownikowej.

Ale nikt go nie słyszy. Wszyscy skierowali uwagę ku drzwiom i poprzez korytarze i klatkę schodową starają się ułowić jakieś dźwięki zwiastujące nadejście Machera, albo klęskę misji Kawalskiego.

Spalski stoi pod ścianą i wyłamuje palce u rąk.

I wreszcie spada na nich łomot kroków. Szybkie tupanie biegnącego po schodach człowieka. W czarnym prostokącie drzwi staje Kawalski. Twarz ma bladą; ręce uniesione, jakby nawoływał do uwagi, drżą.

— Co się stało — krzyczy pułkownikowa zrywając się z krzesła.

— On... on... — bełkoce Kawalski — on zabił się.

Podskakuje Spalski, Odtrąca Kawalskiego i znika lecąc po korytarzu, po schodach.

— Zabił się — pułkownikowa opada, opiera się o stół.

— Zarżnął się brzytwą. — Kawalski przerażony pokazuje strasznym gestem cięcie na własnej krtani — przeciął sobie szyję. Siedział na fotelu z głową do tyłu, a szyja otwierała się jak czarna jama. Brzytwa — Kawalski prawie płacze — brzytwa leżała na ziemi. Ja nie wiedziałem... nie wiedziałem...

Sztywni, jak zlodowacieli, siedzą przy stole i patrzą jak Ka-walski z wytrzeszczonymi oczyma słania się ku ścianie. Opiera się o nią czołem i bije pięścią po tapecie.

Jeden Gnasicki ma schyloną głowę. Widać przerzedzony czubek czaszki, który raz po raz gładzi dłonią.

W milczeniu wchodzi Spalski. On też jest blady, ale spo-kojny, usta ma zaciśnięte. Nie patrzy na nikogo. Podchodzi do stołu i kładzie na nim kartkę z zeszytu.

— Możecie panowie być zadowoleni — mówi szyderczo — wasza sprawa załatwiona. Naród oczyszczony. I miejcie spo-kojne sumienia. To nie wy go zabiliście, to ja, tak zwany przyjaciel, zamordowałem Józefa Machera. Zostawiłem go sam na sam z tym.

Kładzie palec na papierze, na którym napisał wielkimi lite-rami:

,,Panie Józiu, czy to prawda, że był pan w obozie sanita-riuszem, który...''.

— Nie dał mi wtedy odpowiedzi. Nie powiedział nic. Do-piero teraz. I widzicie panowie sędziowie, zabiłem go.

Pani Dziunia odejmuje ręce od twarzy. Wodzi zdziwionymi szeroko jak u dziecka rozwartymi oczymi i mówi:

— Skąd on wziął brzytwę?



Zimny, poranny wiatr spada z zielonych wzgórz na czarn drogę w dolinie. Pędzi jakby korytarzem i uderza w twarz stojących w pochodzie.

Ciemne włosy dziewczyny uciekają w tył jak grzywa rozpę-dzonego rumaka. Kiedy zwraca głowę w prawo w stronę redak-tora z telewizji, czarne pasma przecinają jej bladą twarz.

— Idziemy z jednego końca wyspy na drugi. Naszym ce-lem jest protest przeciwko wojnie. Żądamy zniesienia bron atomowej, żądamy odesłania łodzi podwodnych uzbrojonych w rakiety, żądamy pokoju.

— My? Co to znaczy my? W czyim imieniu pani prze-mawia?

— Dziewczyna bez słowa odwraca się ku stojącym poz nią. Kilka setek młodych ludzi ubranych w najfantastyczniejsz stroje. Dziewczyny w spodniach, w kurtkach, w męskich mar-narkach. Chłopcy z brodami, opatuleni w dafelkoty, w brudn płaszcze nieprzemakalne, w swetry czarne wywinięte pod brodą.

Nad nimi tablice z zawołaniami; słowa protestu, gniew żądania. Znaki czarne jak koła kierownic samochodowych.

— Mało nas — stwierdza dziewczyna. — Będzie nas wi-cej. Wszyscy zrozumieją, że ważniejsze jest życie niż polityka.

— Czy zrozumieją to nasi hm... — dziennikarz z mikrofo-nem w ręku zawahał się — nasi przyjaciele ze Wschodu?

Dziewczyna odgarnia włosy z oczu, wyjmuje pasmo za-nane wiatrem do ust.

— Zrozumieją wszyscy. A jeżeli nie, to wszyscy zginą. Czy pan chce zginąć tak jak ginęli ludzie w Hiroszimie?

Redaktor chrząka. Poprawia mikrofon i podsuwa go stojącemu obok dziewczyny chłopcu.

— Czy może mi pan powiedzieć swoje nazwisko?

— Nazywam się Oszelski.

— Ach to pan Oszaki? Polak, który wyłamuje się.

— Co to znaczy?

— Nie zaprzeczy pan, że Polacy są narodem bitnym i radzi widzieliby wojnę. Zwłaszcza ci, którzy nie mogą w obecnym stanie politycznym wrócić do swej ojczyzny.

— Jestem Polakiem i jestem dumny, że idę na czele tego pochodu. Czy nie widzi pan tu Afrykańczyków, Hindusów, Chińczyków? Świadomość nie zależy od narodowości.

Pochód rusza. Wiatr odchyla poły płaszczy, szarpie włosami, tamuje ruch naprzód.

Ciemna, wysoka dziewczyna w czarnym swetrze prowadzi marsz. Obok niej jasnowłosy chłopiec o spokojnym spojrzeniu człowieka, który wierzy.

Czoło pochodu mija reportera zawikłanego w druty mikrofonu.



O tej samej porze pan Spalski idzie po zakupy. Ma przy sobie listę wiktuałów, które musi przynieść ze sklepu z delikatesami. Kiełbasa, kasza gryczana, barszczyk w kostkach, parówki w puszce, serek, śmietana, powidła...

Niesie pod pachą dwie torby. Idzie z pochyloną głową.

Obok niego nogi, nogi, nogi... W śliskich pończochach, w burych szorstkich spodniach, w powykręcanych trzewikach, w pantofelkach na stalowych szpilkach.

Stukoczą, szurają, szeleszczą, drą chodnik, wybijają poranny takt pośpiechu.

— Panie Macher, kochany panie Macher, czemu pan patrzysz w dół? Podnieś pan głowę panie Macher. W życie trzeba iść śmiało. W życie trzeba iść... trzeba iść... trzeba iść...

Przechodnie biegną, tłoczą się, obijają, potrącają, popychają. Przesuną się szybko, przejdą i zgubią się w masie tłumu.

Nikt z nich nie ma czasu zatrzymać oczu i myśli, zastanowić się nad śmiesznym, biednym staruszkiem, który idąc płacze.

Czesław DOBEK

Wiersze

POKÓJ

W ciemnym hotelu
w mieście Wrocławiu
zapach ruiny
starte chodniki
łyżeczki w szklance
na korytarzu
szła numerowa
starte chodniki

Klucz się przekręca
w pokoju obok
trzasnęło światło
echo i głosy
zgasili światło
i łóżko skrzypi
w ciemnym hotelu
starte chodniki

Pewnie służbowo
tutaj z Warszawy
i ekspedientka
z państwowych sklepów
zapach ruiny
zegar na wieży
czerwień o zmierzchu
i łóżko skrzypi

Oceaniczne
plantacje piany
góry lodowe
płyną pode mną
to jest po wojnie
połowa wieku
huczą kolibry
popiół popiołów

Huczą kolibry
jak mam udźwignąć
okrągłą ziemię
która się toczy
we mnie i woła
lądami swymi
morzami swymi
żeby udźwignąć

Nowa Funlandia
zamarzła brzoza
piany przy wyspach
szczekają foki
czerwień o zmierzchu
ptaki na grobach
dwoje za ścianą
strzaskane płyty

Bęben i trąba
przez megafony
słuchali oddech
ziemia się toczy
i nie zdołali
nie będzie siły
ciężka jak serce
żeby udźwignąć

Nie wiem czy litość
nie wiem czy miłość
zamarzła brzoza
łóżko nie skrzypi
bądź mi do końca
połowa wieku
ciężka jak serce
starte chodniki

ROZMOWA

pomiędzy Św. Antropologią, Św. Teologią i człowiekiem

Św. Antropologia śpiewa:

Ja dla mocy i wygody
Rozbijam ideolody.

Co było stałe jest płynne
I co tożsame już inne.

Nie opory, transistory
Ani odrzutowe sfory.

Kto myśli, że teraz ładnie
Od mego palca upadnie.

Niech z moich rad nie korzysta
Logiko-pozytywista.

Zapeklowany w słoju
Niech odpoczywa w pokoju.

Ziemia-dar, ziemia żywa
Podróże cudne odbywa,

Do ślubu ręce podnosi,
Miłego o szczęście prosi.

Miły z bogami splątany
Anielskie dostaje rany.

Wynurza ramię to głowę,
Cielesne, znów marmurowe.

Nieraz tak skamienieje
Ale ja niosę nadzieję.

Minione on uczłowieczy,
W gwiazdy zamieni rzeczy,

Z Apollem zatrąbi w rogi,
Klasyczne zbudzi epoki,

Samego siebie posiędzie,
Polatać nad sobą będzie.

Św. Teologia jej odpowiada:

Siostro niewiele wzajemna,
Ta mowa dla mnie przyjemna.

Ktokolwiek zada się z tobą
Inną się budzi osobą.

Nad zawsze drętwą naturą
Ustawia kielnię i pióro,

Odtąd nie mruczy z obawą:
Jej prawo to moje prawo.

Tak nowe budując słońca
Pomoc mi dajesz niechcąca.

Całkiem nam razem miło
Nad kartezjańską mogiłą.

Znam lepiej różne męczarnie.
Te moja poła ogarnie.

Królewskie dysputy wskrzeszę
Z małego słóweczka e s s e .

Klęczą przed sobą i płaczą.
Wtedy to mnie obaczą.

Czarnym powiedzie ich krajem
Mój fiolet z gronostajem.

Nie w śmiechu i nie w zieleni
Sobie być mogą wróceni.

Człowiek na to tak powiada:

Zmiłujcie się, piękne panie,
Czy dla mnie wasze staranie?

Żywot mój żywot motylka,
To jest ponieśli i wilka.

Skorpion ukłuje mnie w piętę
I giną dzieła zaczęte.

Stąpnę na grzechotnika
I zaraz coś stąd wynika.

Rak, zawał serca czy starość,
Gdzież miejsce na doskonałość?

Czy z Heglem czy z Feuerbachem
Żyję pod bożym strachem.

Od spraw ciekawych aż gęsto.
Prawdziwe czarnoksięstwo.

Chcę wiedzieć jak się rozwinie,
Jakie zwycięża władczynie,

Jakie wyciągną wnioski
Goldmann i Kołakowski,

Pomiędzy lożą i lożą
Jak się relacje ułożą.

To przykre, o lube damy,
Tak prędko wpadać do jamy.

Wszystko mnie nęci okropnie
A tutaj śmierć zaraz kopnie.

POWINIEN, NIE POWINIEN

Człowiek nie powinien kochać księżyca.
Siekiera w jego ręku tracić nie ma ciężaru.
Sady jego powinny pachnieć gnijącymi jabłkami
I porastać pokrzywami w miarę.
Człowiek mówiąc nie powinien używać słów dla niego drogic
Ani rozłupywać ziarna żeby zobaczyć co jest w środku.
Nie powinien rzucać kruszyny chleba ani pluć w ogień
(Tak przynajmniej uczono mnie na Litwie).

Jeżeli wstępuje na marmurowe schody
Cham, niech stara się wyżłobić butem szczerbę
Na przypomnienie, że schody trwać nie będą.

CO ZNACZY

Nie wie że świeci
Nie wie że lata
Nie wie że jest tym a nie innym.

I coraz częściej z otwartymi ustami,
Z gasnącym papierosem Gauloise,
Nad szklanką czerwonego wina,
Myślę o tym co znaczy być tym a nie innym.

Tak samo było kiedy miałem dwadzieścia lat,
Ale wtedy nadzieja że będę wszystkim,
Może nawet motylem i kosem, przez zaklęcie.
Teraz widzę zapylone drogi powiatu
I miasteczko w którym urzędnik poczty upija się codzień
Z żalu że jest tożsamy tylko ze sobą.

A gdyby tylko gwiazdy zamykały mnie
I gdyby tak się zwykle odbywało
Że jest tak zwany świat i tak zwane ciało,
Gdybym chciał być nie-sprzeczny. Ale nie.

SZCZĘŚCIE

Jak ciepłe światło! Z różowej zatoki
Choiny masztów, odpoczynek lin
We mgłach poranka. Tam, gdzie w wody morza
Sączy się strumień, przy mostku, dźwięk fletu.
Dalej, pod łukiem starożytnych ruin
Widać idące maleńkie postacie,
Jedna ma chustkę czerwoną. Są drzewa,
Baszty i góry o wczesnej godzinie.

Czesław MIŁOSZ

Polska-Niemcy 1961

W dziedzinie stosunków polsko-niemieckich nowy rok zaczął się wielką haussą. Naczelny dyrektor Kruppa Berthold Beitz własnym samolotem dwukrotnie poleciał do Warszawy. Kanclerz Adenauer złożył oświadczenie, że pragnie zbliżenia z Polską. Jak z rogu obfitości posypały się komplementy, zapowiedzi i artykuły. Dla ludzi otrzaskanych z tym tematem nie była to jednak nowizna. Sięgnąłem na półkę, do archiwum, i w każdej teczce, począwszy od 1956 r., odnajdywałem plik wycinków z gazet donoszących o bliskiej rzekomo normalizacji stosunków. To określenie „normalizacja" przypomina żywo ową „normalizację" polsko-ukraińską w latach przedwojennych, o której i Polacy i Ukraińcy strasznie dużo mówili i pisali, a która jednak — przede wszystkim z powodu krótkowzroczności małokalibrowych mężów stanu ówczesnej Warszawy — nigdy nie ujrzała świata Bożego.

Oto widzę, że ewangelicki „Sonntagsblatt" z Hamburga wołał już na tydzień przed wypadkami październikowymi w 1956 r., że należy podjąć rokowania dyplomatyczne z Warszawą, że trzeba wymienić misje handlowe, a później nawiązać normalne stosunki dyplomatyczne, nie poruszając na razie sprawy granic. Naczelny redaktor pisma apelował do rządu w Bonn, aby wreszcie wystąpił z inicjatywą, gdyż inaczej społeczeństwo samo zajmie się tą sprawą. Biorę teczkę z 1958 roku i znowu znajduję podobne akcenty. „Frankfurter Allgemeine Zeitung" pisała przy końcu marca tegoż roku: „Czyż nie jest wreszcie czas, aby przynajmniej drogą dyplomatyczną przedstawić Polakom punkt widzenia Bonn. Podejmując inicjatywę nawiązania stosunków, moglibyśmy się przynajmniej ubiegać o zaufanie, bez którego nie można rozwiązać żadnej z tych spraw, które obydwu narodom leżą na sercu".

Ale latem tegoż 1958 roku człowiek tak miarodajny jak baron zu Guttenberg — swego rodzaju wyrocznia w partia CDU

jeśli chodzi o sprawy polskie — stwierdził lakonicznie w „Rheinischer Merkur" że „przyjaźń z Polakami owszem, ale stosunki dyplomatyczne z Gomułką to wielkie ryzyko i wobec tego należy z nich zrezygnować". Sprawa utkwiła na kamieniach wskazujących drogę do Legnicy i Wrocławia (to nie żarty, ale prawda, bo w wielu miastach niemieckich istnieją takie symboliczne drogowskazy). Wreszcie latem 1960 roku przyszło w Bundesrepublik polityczne zaćmienie słońca. Oczywiście tylko na odcinku stosunków polsko-niemieckich. Choć do wyborów było jeszcze z górą rok, a już wpływowi politycy zaczęli występować na wiecach rewizjonistycznych psując wiele z tego, co dawniej naprawiono. Ten kto podrzucił Adenauerowi myśl, że rewizjonizm to najlepsza terapia przeciwko Sowietom i że to pomoże w zjednoczeniu Niemiec, powinien dostać od starego kanclerza parę mocnych klapsów.

Kazanie kardynała

Mrok rozjaśniło dopiero kazanie kardynała berlińskiego Doepfnera wygłoszone 16 października 1960 roku. Że ten wysoki dostojnik katolickiego kościoła w Niemczech interesuje się żywo sprawą stosunków polsko-niemieckich, o tym można się było przekonać jeszcze przed dwoma laty, kiedy jeszcze jako biskup, był gościem Związku Korespendentów Zagranicznych w „Maison de France" w Berlinie. Wówczas to zapytałem bpa Doepfnera czy podziela poglądy kardynała Wyszyńskiego w sprawie granicy na Odrze i Nysie i czy w czasie spotkania w Rzymie wymienili na ten temat poglądy. Pytanie niebardzo się podobało biskupowi i nawet się trochę obruszył, ale piszącego te słowa zapamiętał i nawet dziś, jako kardynał, gdy go spotykam mniej więcej raz na rok, przymruża oko i wspomina tę moją zbyt śmiałą wówczas interpelację. Chodzą słuchy, że kardynał wygłosił kazanie, o którym wspominam, po wymianie listów z papieżem. Istnieją nawet wersje, że w pierwszym komunikacie prasowym wymieniało się nazwisko zmarłego kardynała Wendla z Monachium, że to niby on miał kazanie wygłosić, co by wskazywało na to, że sprawa była uzgodniona gdzieś na „wyższym szczeblu". Nie wiem o ile to odpowiada prawdzie. Zresztą to nieważne, faktem jest, że to właśnie kardynał Doepfner wygłosił swe znamienne kazanie w kościele św. Edwarda w Nowej-Kolonii, jak nazywają dzielnicę Neukoeln berlińscy Polacy. Kardynał, odwołując się do wspólnych tradycji chrystianizmu polskiego i niemieckiego, przypomniał św. Jadwigę, patronkę diecezji berlińskiej, a następnie zasługi jakie oddali polscy katolicy np. kościołowi w Berlinie. Dalej kardynał mówił, że z nastaniem ery hitlerowskiej zaczęło się prześladowanie Polaków w Niemczech. Pamięć o tym, że w późniejszych latach Polaków mordowano a naród polski traktowano jako *Slawische Untermenschen* powinna każdego Niemca napełniać wstydem i bó-

lem. Nieszczęścia te, które zadano innym narodom w imieniu narodu niemieckiego odwróciły się następnie przeciwko niemu, jako olbrzymia katastrofa. ,,Biada narodowi niemieckiemu'' — wołał dalej kardynał — ,,jeśli będzie zamykał oczy na praprzyczyny własnych nieszczęść, jeśli zapomni, że my musimy odpokutować za tamte krzywdy''. Po tych słowach w Niemczech niestety bardzo rzadkich — kardynał Doepfner przypomniał, że po roku 1945 wyrządzono krzywdę milionom Niemców, którzy zostali wygnani z ziem, które nazywali od stuleci swoją ojczyzną. Ale czy obydwa narody muszą nadal siebie zwalczać? Doepfner uważa, że należałoby wreszcie z tym skończyć. Kazanie swoje zakończył trzema tezami: po pierwsze: wojna, jako środek regulowania stosunków pomiędzy Polakami a Niemcami odpada zupełnie i raz na zawsze. Po drugie: naród niemiecki po wszystkim tym co zrobiono w jego imieniu może uzyskać pokój tylko za cenę bardzo ciężkich ofiar i wreszcie po trzecie: ,,dla przyszłości sprawa pokojowej wspólnoty narodów i państw jest ważniejsza niż problemy granic''.

Podróż dyrektora Beitza do Polski

Berthold Beitz był już dawniej osobą dość znaną w Niemczech. Dziś jest on niemal tak popularny jak gwiazdor filmowy, zresztą nawiasem mówiąc ma wiele cech, które by go predystynowały również i do takiej roli. Ale Beitz woli się zajmować interesami: jakby nie było, jest głównym zarządcą finansów i wszystkich obiektów przemysłowych w Niemczech i zagranicą ex-króla armat, czyli pana Kruppa z Essen. Beitz, dzięki swoim nieprzeciętnym zdolnościom dyplomatycznym, ma podobno wielu przyjaciół na świecie. Ma ich też wśród komunistów polskich, gdyż jak głosi fama, zaprzyjaźnił się z premierem Cyrankiewiczem i ministrem spraw zagranicznym Rapackim. Stosunki polskie Beitz zna o tyle, że w czasie ostatniej wojny był zarządcą złóż i rafinerii nafty z ramienia Mineral Oelgesellschaft m.b.H. w generalnym Gubernatorstwie, najpierw w Gorlicach a potem w Borysławiu. Zyskał sobie podobno wielu przyjaciół co mu później umożliwiło podróże, a przede wszystkim zażyłe stosunki z dostojnikami warszawskimi. Od 1956 roku Beitz jeździł stale na Targi Poznańskie. W zimie 1958 roku pertraktował po raz pierwszy z Rapackim i był podobno nawet prywatnym gościem ministra spraw zagranicznych. W czerwcu ub. roku, podczas Targów Poznańskich, Cyrankiewicz zwiedzając stoisko Kruppa zapewnił Beitza, iż jest on zawsze chętnie widzianym gościem w Polsce i zaprosił go do Warszawy. Jesienią, szef misji handlowej polskiej we Frankfurcie nad Menem, Dylewski, wystosował oficjalne zaproszenie do Beitza. 6 grudnia Beitz wylądował w Warszawie wraz z żoną prywatnym dwumotorowym samolotem. Następnego dnia konferował z Cyrankiewiczem, rozmowom asystował doradca ekonomiczny zakładów Kruppa, profesor Carl

Hundhausen. Cyrankiewicz miał rzekomo w rozmowie z Beitzem oświadczyć, że należy wreszcie postawić kropkę nad przeszłością i zacząć od nowa, prawdopodobnie od stosunków kulturalnych. Zagadnienia współpracy gospodarczej były przedmiotem oddzielnych rozmów, które Beitz przeprowadził z ministrem handlu zagranicznego Trąmpczyńskim. Na przyjęciu, urządzonym na cześć gości niemieckich w pałacu Natolińskim, Cyrankiewicz miał wznieść toast, w którym nazwał Beitza „nadzwyczajnym ambasadorem, jakiego można sobie tylko wymarzyć". Dyrektor Beitz odbył podróż po Polsce a po powrocie do Essen udał się 19 grudnia do Bonn, gdzie odbył dłuższą rozmowę z kanclerzem Adenauerem. 10 stycznia br. kanclerz Adenauer oświadczył na posiedzeniu frakcji CDU, iż wierzy, że uda mu się nawiązać bliższe stosunki z Polską. 18 stycznia odbyła się druga z kolei konferencja Adenauer-Beitz, a 22 stycznia dyrektor generalny firmy Krupp wraz z profesorem Hundhausenem poleciał do Warszawy. Następnego dnia, 23 stycznia, został przyjęty przez Cyrankiewicza. Rozmowa była ściśle poufna, oprócz tłumacza (Cyrankiewicz mówi co prawda po niemiecku, ale włada właściwie tylko językiem potocznym; w trudniejszych rozmowach używa więc tłumacza) uczestniczył tylko wiceminister handlu zagranicznego Modrzewski. Według informacji w prasie niemieckiej, rozmowa trwała 2 godziny 10 minut. Tego samego dnia Beitz i Hundhausen powrócili do Niemiec. Również i tym razem „nadzwyczajny ambasador" złożył sprawozdanie kanclerzowi. W kilka dni później koła urzędowe w Bonn oświadczyły, że dalsze kontakty będą prowadzone drogą dyplomatyczną. Według nieoficjalnych źródeł prasowych, miejscem wstępnych rokowań polsko-niemieckich miałby być Paryż, a negocjatorami z ramienia Niemiec ambasador NRF we Francji Blankenhorn, zaś ze strony polskiej jego kolega paryski — Gajewski.

Amerykański zając i niemiecki jeż...

Nastroje w Niemczech w związku z tajemniczymi wojażami pana Beitza? Niestety nie miałem czasu by się puścić na dziennikarski rekonesans po Niemczech, a „gallupowskie" rozmowy w samym tylko Berlinie nie mogą być miarodajne dla całej Bundesrepublik. Pozostaje więc prasa jako deska ratunku. A więc najpierw głos poważnego pana Juergena Terna, czołowego redaktora polityki zagranicznej we „Frankfurter Allgemeine Zeitung". Oto kilka ciekawych zdań:

„Widocznie temu Niemcowi wygnanemu ze Wschodu, który wyrósł w Demmin na Zapomorzu (Hinter-Pommern), wrodzona jest prosta, rzeczowa forma kontaktów ze wschodnimi Europejczykami, która obydwom stronom więcej rokuje, aniżeli chętnie pielęgnowana w Niemczech Zachodnich i nie pozbawiona swoistej naiwności uczuć, romantyka wobec Polski. Chyba właśnie pomorskiemu pochodzeniu oblatanego po świecie, eleganckie-

go i dziś dopiero 47-letniego człowieka — którego szybka jak strzała kariera manadżerska poprzez stanowisko generalnego dyrektora w pewnym towarzystwie ubezpieczeniowym już w roku 1953 wyniosła na wierzchołek jednego z największych kompleksów przemysłowych w Niemczech — trzeba zawdzięczać, że organizacje wygnańców szczędzą mu i jego warszawskim podróżom rekonesansowym zarzutów, z jakimi zazwyczaj zwykli występować. Zresztą Krupp płaci dużo na rzecz uchodźców z Pomorza...

...Adenauer nie myśli oczywiście płynąć pod prąd. Jeśli łódź odbije od brzegu, pragnie być na pokładzie. W Bonn wie się nie tylko o polskim „szwagierstwie" Kennedy'ego, ale również i o tym że jego rząd planuje w stosunku do satelickich państw wschodnio-europejskich bardziej elastyczną politykę i że w związku z tym Polska może być swego rodzaju testem (również drogą rozmaitych form pomocy gospodarczej). Oczywiście nikt nie ma złudzeń, że Polska da się wyłuskać z bloku sowieckiego. Nie o to chodzi. Ale chciałoby się życzyć, aby droga, którą wybrał Beitz była wykorzystana z cierpliwością i konsekwencją. Kierownicy polityki zagranicznej w Bonn nie powinni narazić się na niebezpieczeństwo pozostania na łodzie".

Tyle wielka i poważna gazeta o nastawieniu raczej prorządowym. A oto katolicki „Rheinischer Merkur" w artykule nowego redaktora od polityki zagranicznej, Paul Botta:

„Jeśli Kennedy zachęca w jednakowym stopniu Bonn i Warszawę do zbliżenia, to jeszcze lepiej. Odpowiada to intencjom Adenauera... Zresztą w swych wysiłkach celem rozładowania napięcia z Polską kanclerz federalny od dawna jest zgodny ze swym najbliższym sojusznikiem europejskim: de Gaulle'em. Prawdopodobnie dyplomacja francuska, posiadająca tradycyjne kontakty przyjaźni z Warszawą uczyni wszystko, aby uniemożliwić ponowny afront dla *good will* Adenauera...

...Można zacząć od misji handlowych albo od wymiany kulturalnej, długoterminowych kredytów, intensywnego ruchu turystycznego lub przedstawicielstw konsularnych. Model naszych stosunków z Izraelem ma pewne szanse na „pierwszą fazę". Tylko jedno musi być absolutnie jasne: że my traktujemy sprawę ugody z Polską poważnie".

Natomiast liberalny tygodnik „Die Zeit" w Hamburgu wykpił swój rząd pisząc m.in.:

„W rzeczywistości inicjatywa polska zastała Bonn kompletnie nieprzygotowany. Rząd federalny zaczął tedy robić złą minę do dobrej gry. Pozwolił, aby piłka zagrana z Polski upadła na ziemię. Podniósł ją dopiero ze względu na Kennedy'ego. Ale czy taka, bardzo zresztą niezgrabnie pomyślana, polityka alibi wywrze jakieś wrażenie na nowym prezydencie. Ameryki jest bardziej niż wątpliwe. Abstrahując od tego, że taka zabawa jest poniżej naszej godności: przecież istnieje dosyć niemieckich powodów dla których trzeba szukać stosunków z Warszawą. Ale cóż, w końcu lutego pojedzie z Bonn do stolicy Polski delegacja handlowa, Niedyplomatyczna góra zrodziła myszkę, zaś ta, jak się wydaje, przegryzła dyplomatyczną nitkę Polski. Cóż z tego wszystkiego może jeszcze wyniknąć? Kilka koncertów Szopenowskich i kilka wagonów polskich gęsi. A więc to jest niemiecka polityka wobec Polski? Niestety tak".

Na koniec głos zupełnie neutralny, bo bońskiego korespondenta szwajcarskiej „Neue Zuercher Zeitung":

„ świetle wypowiedzi Kennedy'ego o Polsce, zawartych w orędziu do Kongresu, okazuje się, że nawiązywanie kontaktów pomiędzy Bonn a Warszawą wyraźnie ma na celu uprzedzenie wypadków w przyszłej polityce amerykańskiej. Jeśli z Waszyngtonu przyjdzie znak, że w ramach bardziej aktywnej polityki całego Zachodu wobec Polski jest pożądana również i niemiecka cegiełka, wówczas Adenauer będzie mógł powiedzieć jak jeż w wyścigu z zającem: „ja już dobiegłem".

Lampka wina po niemiecku

Od dziesięciu lat w radio zachodnio-niemieckim istnieje tzw. „Fruehschoppen". Można by to przetłumaczyć na „wczesną lampkę wina", przy której spotykają się dziennikarze z różnych krajów i dyskutują pod patronatem niemieckiego kolegi Wernera Hoefera o najrozmaitszych sprawach. Początkowo dyskusję transmitowano w zwykłym programie radiowym, a od 1953 roku również i przez telewizję. Ponieważ kierownik tych audycji stoi na stanowisku, że muszą one być tak zrozumiałe, aby pojęła je służąca Muellerów, czy kucharka Schmidtów, niektórzy dziennikarze bojkotują tę imprezę ze względu na jej bezkierunkowość, bezkoncepcyjność i — mimo politycznego charakteru — apolityczność. Tematy wschodnie bywają często przedmiotem tych pogawędek, a sprawy polskie powracają od października 1956 roku raz po raz na ekran telewizji. Zazwyczaj dyskutują korespondenci niemieccy i zagraniczni, którzy zawodowo mają lub mieli do czynienia z polityką polską. Prawdziwi Polacy należą do unikatów. Wystąpił kiedyś w telewizji Eligiusz Lasota za co dostał po nosie od komunistów wschodnio-niemieckich. Dali się namówić sporadycznie: Jerzy Kowalewski, Edmund Osmańczyk, Marian Podkowiński i, jak widać ze spisu, jakiś Władysław Śliwka. Pierwszym emigrantem, który został zaproszony w niedzielę 15 stycznia 1961 roku, był Tadeusz Nowakowski. Szło, jak zwykle w podobnych historiach, o stosunki polsko-niemieckie. Nowakowski powiedział kilka mocnych i rozsądnych słów, które znalazły przychylny oddźwięk np. w kręgu moich znajomych: pośród większości dziennikarzy, ludzi sztuki, studentów, kilku lekarzy, słowem inteligencji lub powiedzmy dokładniej demokratycznej części tej inteligencji. Natomiast wśród publiczności drobnomieszczańskiej, nie mówiąc już o kołach szowinistycznych — Nowakowskiego nie zrozumiano. Ale może dlatego, że cała ta rozmowa była bardzo bla, bla i że właściwie niczego nie „rozebrano", jak powiadają Rosjanie „po kostoczkam". Reżyser rozmowy jak najwyraźniej lawirował między obozem rządowym a opozycją; Halperin, który przyjechał z Warszawy, musiał grać rolę dyplomaty uniknąć nazywania rzeczy po imieniu. Piękna i poczciwa (jak to dobrze, że Amerykanie nie czytają po polsku, bo by mi tego chyba nie przebaczyła) żona dziennikarza z „New York Times" Sydney Grusona, również dziennikarka Flora Lewis z „Washington Post" nie umie się niestety wyjęzyczyć po niemiecku, choć ma zwykle do-

bre chęci. Tak się też stało i tym razem. Jednym słowem skończyło się na ględzeniu. Ale czy mogło być inaczej, jeśli jedni partnerzy kierowani konformizmem w odniesieniu do zagadnień niemieckich, a drudzy związani pewnymi względami — choćby tylko z punktu widzenia wiz, kontaktów itp. w Warszawie, muszą uważać, by nie powiedzieć zbyt dużo prawdy i chowają własne poglądy na czas po dyskusji w telewizji. Takie rzeczy mogą się udawać tylko albo w sensie dokładnego wyłuszczenia rozmaitych punktów widzenia, co wymaga pewnego przygotowania, a nie audycji robionej *ad hoc,* albo uczestniczenia ludzi zupełnie niezależnych i nie związanych żadnymi obiekcjami natury politycznej czy czysto osobistej.

Nie można również z takim lekceważeniem, w ostatniej chwili i niepotrzebnie pośrednią drogą, szukać dyskutantów polskich.

Zwolennicy przetargów

W Niemczech Zachodnich często spotyka się wielką ilość wrogów lub przyjaciół Rosji, trochę mniej wrogów i przyjaciół Polski i jeszcze mniej wrogów i przyjaciół Ukrainy. W danym kontekście interesują nas Niemcy, którzy mają pozytywne stanowisko wobec Polski i spraw polskich. Wrogów zostawmy na uboczu bo czego oni chcą — wiadomo. Ale jak jest z tymi przyjaciółmi? Dzielą się oni na dwie kategorie, romantyków i realistów. Skala romantyków jest bardzo szeroka, jak to zwykle w polityce niemieckiej i w ich społeczeństwie bywało, bo sięga od prawicy po lewicę, od przedstawicieli starszego pokolenia po młodzież. Istnieją romantycy chrześcijańsko-demokratyczni, typu Paula Wilhelma Wengera, czołowego publicysty ,,Reinischer Merkur'', a więc organu zbliżonego do Konrada Adenauera, ale nie będącego bynajmniej megafonem kanclerza. Jest on niewątpliwie zwolennikiem porozumienia polsko-niemieckiego, zajadłym wrogiem komunistów, stuprocentowym katolikiem, ale uparł się od lat, że zadaniem Niemiec Federalnych jest podsycanie rewizjonizmu polskiego w stosunku do Ziemi Halickiej i głoszenie tezy, że Polacy muszą odzyskać Lwów i Wilno, aby Niemcy mogli powrócić do Szczecina i Wrocławia. Biedny Wenger, człowiek niestary i dzielny demokrata jeśli chodzi o wykrywanie rozmaitych łotrowstw szowinistycznych w Bundesrepublik, upiera się przy swojej koncepcji chociaż, od śmierci Studnickiego, ze świeczką nie może znaleźć polityka czy publicysty polskiego, który by podtrzymał jego plany. Takich romantyków niestety jest więcej i można znaleźć wiele wydawnictw i artykułów w Niemczech Zachodnich, pisanych w tym samym duchu. Niedawno wydano w Bonn dokumentację na temat stosunków polsko-niemieckich i zbiór ten zaczyna się *ausgerechnet* cytatami z noty rządu Arciszewskiego, że Polska nie zgadza się na granicę Curzona. W ten sposób publikacji od razu nadano specyficzną

linię generalną, właśnie linię romantyczną przetargów o Wrocław i Szczecin kosztem Ukrainy. Niestety w tym aspekcie dotychczas nie było jakiejś przemyślanej akcji ze strony emigracji polskiej i ukraińskiej, nie mówiąc już o tym, że Warszawa zachowuje się w tej sprawie niechętnie i wstydliwie a Kijów musi widocznie milczeć, bo starszy brat nie ma zamiaru wyraźnie się odgrodzić od takich sugestii niemieckich. Czasami wydaje się, że komuniści chętnie chcieliby łudzić część opinii niemieckiej takimi mrzonkami. Po doświadczeniach z lat 20-tych, kiedy wspaniałomyślnie oddawano Niemcom i Śląsk i Gdańsk, po doświadczeniach paktu Hitler-Stalin, należałoby być przynajmniej w Warszawie dokładniejszym w precyzowaniu argumentów przeciwko niebezpiecznym koncepcjom.

Romantycy innego typu to socjaldemokraci, rewizjoniści i w ogóle ludzie lewicy niemieckiej, którzy w Gomułce widzą zajadłego wroga Moskwy i Ulbrichta. Uważają oni, że wódz PZPR powinien być zainteresowany w takim ułożeniu stosunków między narodem polskim a niemieckim, aby się jak najszybciej pozbyć sąsiedztwa stalinowców wschodnio-niemieckich. Innymi słowami zakładają, powołując się bądź na przemówienie Gomułki z października 1956 roku o błędach systemu stalinowskiego, bądź na wypowiedzi tych czy innych dyplomatów polskich bądź też na zdawkowe i grzecznościowe formułki, zasłyszane od rozmaitych urzędników w Warszawie czy w Poznaniu np. podczas Targów Poznańskich, że w Politbiurze lub sekretariacie PZPR zasiadają politycy, którzy niczego tak nie pragną jak zjednoczenia Niemiec i kontaktów z burżuazyjną demokracją typu zachodniego, powiedzmy otwarcie, ze zjednoczonymi Niemcami pod rządami socjaldemokracji niemieckiej.

A realiści? — Tych jest niewątpliwie mniej niż romantyków. Grupują się głównie w środowiskach naukowo-badawczych, szczególnie wśród instytutów wschodnio-europejskich, wśród starszych roczników studenckich, w niektórych kołach handlowych, a nawet — jak mi wspominał niedawno bardzo krytyczny obserwator-Niemiec, b. wybitny komunista — wśród korpusu oficerskiego Bundeswehry, gdzie podobno sprawy polskie bywają zawzięcie dyskutowane, zależnie od przynależności partyjnej i własnego autoramentu ideowo-politycznego. Do realistów politycznych można w pewnym sensie zaliczyć i Konrada Adenauera, jak to wynika z gry dyplomatycznej, którą rozpoczął w stosunku do Polski. Jest to realizm zachowawczy, realizm negatywny. Realiści typu bardziej nowoczesnego i ekspansywnego czy po prostu twórczego, którzy uważają, że należałoby uznać granicę na Odrze i Nysie, gdyż tego rodzaju krok, który byłby dzisiaj wielkim atutem, jutro będzie wielką porażką, są niewątpliwie w mniejszości. Zwłaszcza jeśli chodzi o wpływ na instytucje rządowe, ośrodki opinii publicznej, finanse. Ale są oni na tyle silni, iż mogliby utworzyć np. niezależne towarzystwo współpracy polsko-niemieckiej, które w oparciu powiedzmy o wydawnictwa i gazety demokratyczne mogłoby odegrać wielką

ników, którzy przez 12 lat hitleryzmu z zawzięciem tępili „żydowsko-plutokratyczną" sztukę abstrakcyjną.

Równie smutno przedstawia się bilans współpracy naukowej Polska-NRD. Od czasu kongresu socjologów w Stresie, w czasopismach wschodnio-niemieckich posypały się gromy na polskich socjologów, mimo, że ci wyprowadzili swoich niewdzięcznych kolegów z NRD na międzynarodową arenę. Jedynie w dziedzinie nauk technicznych i przyrodniczych istnieje jaka taka współpraca. Zdaje się, że pod wpływem nacisków i ustawicznych skarg Ulbrichta, Warszawa zastopowała wszelkie kontakty naukowe z uniwersytetami i ośrodkami naukowymi w Niemczech Zachodnich. Dotyczy to przede wszystkim dyscyplin humanistycznych, a zwłaszcza filozofii, historii i socjologii. Rozmaite zaproszenia, które wysyłają uniwersytety Republiki Federalnej, kongresy naukowe, towarzystwa i fundacje bywają od przeszło roku zbywane tym samym lakonicznym: nie.

O Polsce piszą...

O sprawach polskich w Niemczech w pierwszym rzędzie piszą systematycznie korespondenci, akredytowani w Warszawie. Jest ich obecnie bodajże 4 lub 5-ciu; kiedyś, w okresie października i w następnych miesiącach było ich nawet więcej. Trzech sprawozdawców, a mianowicie Halperina, Zimmerera i Stehle można zaliczyć dziś do dziesiątki cudzoziemców najlepiej zorientowanych w sprawach polskich. Wszyscy trzej przyjechali mniej więcej w tym samym czasie do Warszawy, choć nie wszyscy z jednakowym bagażem wiadomości i kunsztu analizowania zagadnień komunistycznych. Dr Ernst Halperin miał już za sobą nie byle jaką rutynę. Jako korespondent szwajcarskiej „Neue Zuercher Zeitung" obserwował przez szereg lat walkę stalinizmu z titoizmem na placówce w Belgradzie. Napisał nawet na ten temat książkę, jedną z najlepszych w sprawie konfliktu Moskwa-Belgrad. Dziś, związany zresztą w międzyczasie z Polską węzłami rodzinnymi, reprezentuje cały szereg gazet. (Większość pism niemieckich stosuje metodę angażowania korespondentów zagranicznych dla kilku redakcji, o ile gazety te mają zasięg lokalny i nie kolidują ze sobą). Halperin obsługuje więc „Koelner Stadtanzeiger", „Hannoversche Allgemeine Zeitung", „Muenchener Merkur" i chyba jeszcze z pół tuzina innych gazet, rozsianych po całych Niemczech. Ponadto pisuje również do wiedeńskiej „Die Presse". Hans Jakob Stehle, dziennikarz z pokolenia młodszego niż Halperin, wyszedł bodajże ze środowiska lewicujących katolików — nie znaczy to że Stehle miałby sympatyzować z Paxem. Jeśli ma jakieś wyraźne ciągoty polityczne do ugrupowań w Polsce, to chyba najwyżej do grupy „Znak" — i stara się usilnie utrzymywać linię demokratycznej lewicy z przekonania i z rozsądku. Reprezentuje on najpoważniejsze pismo codzienne w Niemczech Zachodnich: „Frankfur-

ter Allgemeine Zeitung'', która ma ambicję być kontynuatorem liberalnej ,,Frankfurterki''.

Także Ludwig Zimmerer należy do młodego pokolenia niemieckiego. Reprezentuje on najpoważniejszy dziennik ogromnego koncernu prasowego Springera ,,Die Welt'', który stara się dorównać ,,Frankfurter Allgemeine Zeitung'' jeśli chodzi o poziom, choć niezawsze mu się to udaje. Jak słychać Zimmerer też ożenił się z Polką, pochodzącą z rodziny wydawców-Mortkowiczów i odgrywającą pewną rolę w artystycznym życiu młodzieży. W osobach tych trzech dziennikarzy Polska zyskała sobie niewątpliwie nie tylko głębokich znawców problemu ale i szczerych przyjaciół, co jest nie byle jakim kapitałem na przyszłość.

Oprócz wyżej wspomnianych pracują jeszcze mniej znani korespondenci głównej agencji prasowej Niemiec Zachodnich DPA oraz rozgłośni Westdeutscher Rundfunk z Kolonii i Norddeutscher Rundfunk z Hamburga. Przejściowo byli w Warszawie dziennikarze zachodnio-niemieccy: Johannes Maass (obecnie pracuje dla rozmaitych pism i wydawnictw w Bonn), Georg von Huegenett (obecnie ,,Deutsche Zeitung'' w Kolonii), Joachim Stagmeier z ,,Sueddeutsche Zeitung'' (obecnie redaktor naczelny pisma ilustrowanego w Monachium).

O Polsce piszą ponadto rozmaici publicyści i dziennikarze. W hamburskiej ,,Die Welt'' umieszcza artykuły na tematy polskie, Walter Guenzel, dziennikarz pochodzący z mniejszości niemieckiej w Polsce; w ewangelickim tygodniku ,,Sonntagblatt'', również w Hamburgu, pisuje na tematy literackie Marceli Reich-Ranicki, który po październiku wyemigrował z Polski, gdzie dawniej zajmował się popularyzowaniem literatury niemieckiej i jak w Warszawie z przekąsem opowiadają, niestety i socrealizmu wschodnio-niemieckiego. W ,,Sueddeutsche Zeitung'' pracuje stary as spośród przedwojennych korespondentów w Warszawie, Imanuel Birnbaum. Często porusza sprawy polskie w tym samym piśmie Alfred Burmeister, zaś w zachodnio-berlińskim ,,Der Tagesspiegel'' we ,,Frankfurter Neue Presse'' i w ,,Stuttgarter Nachrichten'' odzywa się Alexander Korab.

Niemieccy ,,andersowcy''

W Berlinie odbył się niedawno bardzo ciekawy proces, który jak podano w prasie, będzie precedensem dla około 2 do 3.000 Volksdeutschów z Polski, którzy w latach 1944-45 służyli w 2 korpusie dowodzonym przez gen. Andersa. Chodziło o skargę 37-letniego kupca, który mieszka obecnie w Londynie. W 1942 roku został wraz z rodzicami wciągnięty na niemiecką Volkslistę, później powołany do Wehrmachtu. W 1944 roku dostał się do niewoli angielskiej. W obozie jenieckim — tak przynajmniej twierdził w skardze — zjawili się agenci Armii Andersa, którzy

Volksdeutschów z Polski postawili przed alternatywą: albo wstąpić do armii albo znaleźć się w osławionym specjalnym obozie. Przy wstąpieniu do armii Andersa on i jego koledzy musieli oświadczyć, że przyjęli swego czasu obywatelstwo niemieckie wbrew swojej woli.

Federalny urząd administracji w Kolonii, któremu podlegają sprawy obywatelstwa, odrzucił prośbę o przywrócenie państwowej przynależności niemieckiej, gdyż stanął na stanowisku, że petent zrezygnował dobrowolnie z obywatelstwa niemieckiego. Inaczej ustosunkował się do tego federalny trybunał administracyjny, który mieści się w zachodnim Berlinie. Trybunał orzekł, że petent znalazł się w stosunku do korpusu gen. Andersa w przymusowej sytuacji, wobec czego zrzeczenie się obywatelstwa było aktem, który nie miał mocy prawnej. Petent otrzymał z powrotem obywatelstwo niemieckie. Decyzja trybunału, jak pisały gazety niemieckie, jest decyzją typu generalnego i mogą się na nią powołać wszyscy Volksdeutsche, którzy znaleźli się pod koniec drugiej wojny światowej w podobnej sytuacji jak ów anonimowy ,,Andersowiec mimowoli'' z Londynu. Byłoby dobrze, aby ta sprawa została naświetlona przez polski Londyn.

BERLIŃCZYK

Trudna sztuka nawlekania igły

(FRAGMENTY STENOGRAMU PEWNEJ POGAWĘDKI)

15.1.1961 na marginesie tzw. ,,misji Beitza'' odbyła się w Kolonii nad Renem godzinna dyskusja o stosunkach polsko-niemieckich, transmitowana przez wszystkie rozgłośnie i stacje telewizyjne Niemiec zachodnich. Poniżej zamieszczamy ciekawsze wyjątki z tej debaty, nagranej na taśmę dźwiękową.

O s o b y :

Flora Lewis-Gruson, ,,New York Times'', ,,Washington Post''.

Ernest Halperin z Zurychu, korespondent prasy szwajcarskiej i wiedeńskiej w Warszawie.

Sven Hasselblatt, stały korespondent radiostacji zachodnioniemieckich w Warszawie.

Werner Höfer, redaktor polityczny telewizji kolońskiej.

Henri de Kergorlay, stały korespondent ,,Le Figaro'' w Bonn.

Tadeusz Nowakowski współpracownik ,,Kultury''.



Werner Höfer, gospodarz programu telewizyjnego ,,Internationaler Frühschoppen'', zagaja:

Temat, jaki sobie obraliśmy, jest tematem od pokoleń aktualnym: stosunki polsko-niemieckie. Zechce mi więc Flora Lewis wybaczyć, że na wstępie przywitam naszego polskiego gościa, autora cenionej w Niemczech powieści ,,Polonaise Allerheiligen''. Herr Nowakowski, wiemy że jest Pan emigrantem żyjącym na Zachodzie, a więc poza Polską. Czy taka nieobecność wpływa na stosunek Pana do spraw polskich? Czy to prawda, że Polacy, bez względu na to gdzie przebywają, w Polsce czy poza jej granicami, czują i myślą po polsku?

T. Nowakowski: W Ameryce zwykło się mówić o Irlandczykach: ,,Once an Irish always an Irish''. Myślę, że to samo odnosi się do nas, Polaków. Trawestując Goethego, niewątpliwie istnieje zagadnienie ,,das Ewig-Polnischen''...

Höfer: Tym bardziej się cieszę z Pana obecności przy naszym okrągłym stole, a teraz Flora Lewis! Wiemy, że przez kilka lat była Pani korespondentką w Warszawie, napisała Pani ciekawą książkę o Polsce, a obecnie jest Pani, jeśli się nie mylę, korespondentką ,,Washington Post'' w Bonn i współpracowniczką ,,New York Times''?

Lewis: ...ściślej mówiąc: ,,New York Times Magazine''.

Höfer: Dr Ernest Halperin, podobnie jak Tadeusz Nowakowski i Flora Lewis, pisze książki. Znamy Pana celną książkę o marszałku Tito. Jako Szwajcar, od lat mieszkający w Warszawie, na pewno się nam Pan przyda w dyskusji. Czy to prawda, że siedzi Pan w Warszawie na walizkach, i już wkrótce wyjeżdża Pan na pół roku do Ameryki?

Halperin: Tak jest, na trzy miesiące, w celach naukowych.

Höfer: Na pewno się Pan tam zetknie z Polakami, których w Ameryce jest kilka milionów?

Nowakowski: Sześć milionów Amerykanów polskiego pochodzenia.

Höfer: A ilu Polaków mieszka w Polsce?

Halperin: **Niespełna 30 milionów.**

Höfer: Dobrze, że jest dzisiaj Szwajcar między nami. Obecność neutralnego głosu w dyskusji na tak delikatny temat jest szczególnie pożądana.

Halperin: Postaramy się zachować neutralność.

Höfer: Nam, Niemcom, ta sztuka niestety rzadko się udaje. Drugim Niemcem, poza mną, jest przy tym stole Sven Hasselblatt, korespondent rozgłośni i telewizji zachodnio-niemieckich w Warszawie. Miło mi też powitać w naszym gronie Monsieur Henri de Kergorlay, korespondenta ,,Le Figaro'', znanego naszym telewidzom z dyskusji o sprawach francusko-algierskich. *A propos* Francji. Wyczytałem dzisiaj w prasie, że tak jak de Gaulle, człowiek już raczej niemłody, chciałby doczekać rozwiązania zagadnienia Algerii, podobnie i nasz Herr Bundeskanzler, także mąż stanu nie pierwszej młodości, póki rządzi i cieszy się zdrowiem, chciałby wreszcie jakoś ułożyć stosunki z Polską...

Hasselblatt: (bez entuzjazmu) Możliwe, całkiem możliwe. Coś-niecoś się na ten temat mówi i czyta, ale nie wiadomo jeszcze — w jaki sposób to ma nastąpić, w jakim zakresie, i z jaką szybkością?

Höfer: Przepraszam, już się coś dzieje. Dotychczas tylko się o tym i o owym mówiło i pisało, ale teraz, jak z zadowoleniem spostrzegamy, wraca z Warszawy, pełnomocnik zakładów Kruppa, Berthold Beitz. Był Pan podczas pobytu Beitza w Warszawie, może zechce nam Pan powiedzieć, czy było to tylko prywatne *rendez-vous* między Beitzem a Cyrankiewiczem czy też...

Hasselblatt: W zasadzie spotkanie nosiło charakter prywatny. Obaj panowie znają się od dawna. Beitz przybył do Warszawy, gdyż zaproszono go już przed miesiącami, na Targach Poznańskich. Znamienne, że chociaż Beitza podejmowano w Polsce niczym głowę obcego państwa, prasa polska nie napisała o jego pobycie w Warszawie ani jednego słowa. Beitz wprawdzie mieszkał w domu dla oficjalnych gości rządu i partii, ale wizyta jego nosiła charakter prywatny.

Höfer: Czy prawdą jest, że Beitz w czasie wojny był w Polsce i z tego okresu datują się jego przyjazne kontakty z Polakami?

Hasselblatt: Owszem, był w Polsce, i z wielu stron słyszy się, że jego dobre stosunki z Polakami pochodzą jeszcze z tamtych czasów.

Höfer (do T. Nowakowskiego): A pan się zapewne zetknął z Niemcami w czasie wojny? Domyślam się, że do świadczenia z tego okresu nie należą do najprzyjemniejszych?

T. Nowakowski: W rzeczy samej, Herr Höfer, tak można by to nazwać. Po niemiecku nauczyłem się w czasie wojny. Niestety, mći wychowawcy okazali znakomitymi Germanami, ale za to kiepskimi germanistami. Także ich pozostałe metody wychowawcze, mówiąc delikatnie, pozostawiały wiele do życzenia. Ale nie bardzo wiem, czy właśnie dzisiaj, przy tym stole, należy wracać do tych spraw nie zagojonych? Lata płyną, życie idzie naprzód... Może lepiej będzie, jeśli porozmawiamy sobie o tej ,,odwilży'', jaka się ponoć zaznacza w stosunkach między Bonn a Warszawą?

Höfer: Gdy zaczęliśmy mówić o Beitzu, sądziłem że się Pan ucieszy, iż chociaż jeden Niemiec w czasie okupacji zacho-

wywał się w Polsce po ludzku, podczas gdy nie brak dzisiaj w Bonn ludzi na stanowiskach, i to urzędowo zatroskanych o ułożenie stosunków polsko-niemieckich, którym dość trudno byłoby udowodnić, iż nie grzeszyli nad Wisłą...

T. Nowakowski: Podziwiam ten *understatement*. W uprzejmej formie wyraził Pan pogląd, do którego rad bym chętnie dorzucić kilka słów. Co nas, Polaków, dziwi w dużym stopniu, to smutny fakt, iż tak zwaną ,,politykę wschodnią wobec Polski'' (jeśli o takiej w ogóle mówić można) próbują monopolizować ,,eksperci wschodni'', których metryka polityczna sięga czasów Rosenberga, ci różni — pożal się Boże — fachowcy i rzeczoznawcy z najrozmaitszych instytutów pół i ćwierć naukowych, których aktywność — a co gorsza, zawziętość — datuje się jeszcze z tego ponurego okresu, gdy nasza Gdynia nazywała się Gotenhafen, a Łódź — Litzmannstadt. Kto na serio myśli o przyszłości, o polepszeniu klimatu psychologicznego między naszymi narodami, powinien zastanowić się nad zmianą garnituru personalnego. Na pewno nie brak w Niemczech młodych, zdolnych ludzi, ludzi o znośnym politycznym *curriculum vitae*.

Höfer: Tak, zapewne, ale wracając do ,,misji Beitza'', jeśli tak tę prywatną podróż nazwać wolno, do tego nawlekania pierwszej nici...

Halperin: Boję się, żeby nie zaprzepaszczono sprawy w wyniku jakiejś niezręczności. Znam Polaków nienajgorzej. Urzędnicy polskiej służby zagranicznej należą do dyplomatów starego europejskiego stylu, z dużym poczuciem taktu i niesłychaną wrażliwością. Jeden niezgrabny krok, i po wszystkim. Po obydwu stronach potrzeba roztropnych i utalentowanych dyplomatów...

Höfer: Tak, ale to co obecnie nawleczono, ta cenna pierwsza nić... Nie chcę urażać naszych zawodowych dyplomatów w Bonn, ale jestem pewien, że taktowny i utalentowany mediator jakim jest przemysłowiec Beitz, na pewno poruszał się wśród kosztownej porcelany bardziej niż zgrabnie. Oczywiście, nie obędzie się bez pewnej zawiści w ministerialnych kancelariach, zwłaszcza wśród tych, którzy żyją z tego, żeby się nigdy nic nie udawało...

Halperin: Nie sądzę, żeby mogła istnieć jakaś ,,konkurencja'' między Beitzem a dyplomatami czy politykami. Tym bardziej że przecież nikt z zachodnio-niemieckich dyplomatów jeszcze się do Warszawy nie udawał. Może roztropniej byłoby — Herr Beitz jako nie-polityk chyba nie ma ambicji politycznych — podkreślać na każdym kroku, że to przemysłowiec wyjechał do Warszawy...

Flora Lewis: Myślę, że Polakom w Warszawie wcale nie jest wszystko jedno, czy ich odwiedza ktoś upoważniony przez swój rząd do prowadzenia rozmów czy też tylko osoba prywatna, choćby była nią osobistość odgrywająca dużą rolę w niemieckim życiu gospodarczym.

Höfer: A jednak coś się unosi w powietrzu. W związku z podróżą Beitza wydano w Bonn sporo oświadczeń i komuni-

katów. Gdy kanclerz przyjął Beitza, wydano ostrożny komunikat. Potem Beitz udzielił wywiadu biuletynowi „Ostdienst". Z kolei — mamy oświadczenie kanlerza na posiedzeniu frakcji parlamentarnej CDU-CSU. W jakiś czas później — usłyszeliśmy jakże umiarkowaną wypowiedź urzędu prasowego...

T. Nowakowski: Otóż to, Herr Höfer! Albo-ż to te wszystkie próby zbliżenia i „nawlekania nici" nie przypominają pielgrzymki do Mekki podczas której pobożni pielgrzymi robią trzy kroki naprzód a dwa do tyłu? Jeśli się uważniej przyjrzeć katalogowi tych „zbliżeń" i „gestów", tym oświadczeniom i dementi!

Hasselblatt: Pielgrzymi do Mekki robiąc trzy kroki naprzód a dwa do tyłu, przynajmniej posuwają się o krok. Tymczasem w tym wypadku — drepcze się w miejscu. W ciągu ostatnich czterech lat, odkąd Warszawa wyraziła gotowość nawiązania stosunków dyplomatycznych, nie widzę po naszej, niemieckiej najmniejszego postępu...

Flora Lewis: W latach 1956-57 Polacy niewątpliwie życzyli sobie nawiązania stosunków z Niemiecką Republiką Federalną. Ale nie było po temu politycznych możliwości...

Höfer: Myślę, że na przeszkodzie stoi zagadnienie niemieckich ziem na wschodzie, znajdujących się obecnie pod polskim zarządem. I postawa polska „albo wszystko albo nic"...

T. Nowakowski: Proszę o głos!

Höfer: Może jednak p. Halperin. Mniej uprzedzonemu Szwajcarowi łatwiej będzie nawiązać do mojej myśli.

Halperin: O ile wiem, w r. 1957 Polska nie była zainteresowana utworzeniem misji handlowej z uprawnieniami konsularnymi. Z ogólnopolitycznych względów upierano się przy pełnych dyplomatycznych stosunkach. Nie wiem, może się mylę, ale wydaje mi się, że Beitz wraca z Warszawy ze zgodą polską na jakąś formę pośrednią, na misję handlową...

Hasselblatt: To są domysły. Nie sądzę, by Polacy zadowolili się półśrodkami, które najsłuszniej w świecie mogą odczuć jako niezasłużoną dyskryminację...

Höfer: Chcę przypomnieć, że Finlandia posiada misję handlową i we wschodnim Berlinie i w Bonn...

Flora Lewis: Misja handlowa między Bonn a Warszawą, to stanowczo za mało.

Höfer: Ale czy bez załatwienia problemu granicy na Odrze i Nysie można w ogóle mówić o zbliżeniu między Polską a Niemcami?

Hasselblatt: Utrzymujemy stosunki dyplomatyczne ze Zw. Sowieckim, chociaż północne tereny Prus wschodnich wcielone zostały do Sowietów. Wtedy to właśnie oświadczono w Bonn że nawiązanie stosunków dyplomatycznych bynajmniej nie oznacza rezygnacji z roszczeń do Królewca. Jest więc precedens...

Höfer: Chciałbym tutaj dodać, że stanowisko naszych uchodźczych grup ziomkowskich w sprawie ewentualnego nawiązania stosunków z Polską jest dzisiaj bardziej elastyczne niż

dawniej. Ludzie, którzy dotychczas mówili „nie", mówią dzisiaj „może"...

T. Nowakowski: Poruszono tutaj zagadnienie granicy na Odrze i Nysie. Chciałbym więc przy tej sposobności podkreślić że jeśli w grę wchodzą polskie interesy narodowe, między Polakami w Polsce a Polakami na emigracji nie ma różnic. Mam na myśli nienaruszalność polskich granic zachodnich. Jeśli mam być szczery, trudno mi się również powstrzymać od spostrzeżenia, że polityka gestów uprawiana przez Bonn w stosunku do Warszawy nie wypływa z własnych, szczerych przemyśleń, ale rozwija się w miarę pojawiania się pewnym nacisków, tendencji czy inspiracji z zewnątrz. Tak się dziwnie składa, że o „odprężeniu" niemiecko-polskim mówi się właśnie teraz, kiedy nowy lokator wprowadza się do Białego Domu... Nic dziwnego, że nawet w prasie zachodnio-niemieckiej pojawiło się określenie „polityki o podwójnym dnie"...

Höfer: Ależ Herr Nowakowski! Siedzi tutaj, razem z nami, przy stole, Amerykanka, Flora Lewis, świetnie zorientowana w tendencjach amerykańskiej polityki zagranicznej. Ona nam najlepiej powie, czy kiedykolwiek rząd Eisenhowera lub Kennedy'ego wywierał na Bonn nacisk w kierunku polepszenia stosunków z Polską?

Flora Lewis: Niestety, niestety nie. Byłoby lepiej, gdyby taki nacisk istniał. Od czasu mowy Byrnesa w Stuttgarcie wiele się jednak w nastawieniu zmieniło. Osobiście mogę tylko wyrazić żal, że nasz rząd zagadnienia Odry i Nysy jeszcze nie uregulował jak się należy...

Henri de Kergorlay: Nie sądzę, by można mówić o jakimś wyraźnym nacisku ze strony Francji. Moim zdaniem, problemy takie jak odmrożenie stosunków polsko-niemieckich należy widzieć w szerszym, międzynarodowym kontekście, zacznijmy od daty nieudanego spotkania na szczycie. Wydaje mi się, że alianci zachodni dali Adenauerowi do zrozumienia, iż nie jest rzeczą wskazaną, by odgrywał rolę ostatniego Mohikanina zimnej wojny. Od października ub. roku Adenauer przestawia się na politykę odprężenia, gdyż taka jest teraz nowa tendencja w wielkiej grze Zachód-Wschód...

Höfer: Monsieur de Kergorlay, wybaczy pan otwarte pytanie. Znamy stanowisko Prezydenta de Gaulle'a. Czy gdyby doszło kiedyś do poważnej międzynarodowej dyskusji na temat przyszłości niemieckich ziem wschodnich, Niemcy mogłyby liczyć na dyplomatyczną pomoc Francji?

Henri de Kergorlay: Z pewnością nie. Podobnie jak nie otrzymają jej ze strony amerykańskiej ani brytyjskiej.

Höfer: Zastanawiam się nieraz, co też p. Nowakowski, patriota jak wszyscy Polacy, powiedziałby milionom patriotów niemieckich, którzy również przywiązani są do swojej ojcowizny, czego nie można im chyba mieć za złe. Myślę o tych milionach Niemców ze wschodu, którzy nie bez racji powiadają:

„Ziemie, zajęte dzisiaj przez Polaków, są ziemią naszych ojców"...

T. Nowakowski: Powiedziałbym im: narody powinny nie tylko „odczuwać" politycznie, ale i myśleć politycznie. W miejsce podejrzanych mistyk ojcowizny zalecałbym, w przypadku niemieckim, nieco więcej realizmu i pragmatyzmu, tym bardziej że rozwiązania jakie się niektórym patriotom marzą, właśnie w dzisiejszej epoce, w epoce zaprzątniętej ważniejszymi problemami niż graniczne, skazane są na niepowodzenie. I myśmy ponieśli w tej wojnie straty terytorialne.

Höfer: Ale drogi Panie!...

T. Nowakowski: Sprawa ma wiele aspektów, a już aspekt moralnej odpowiedzialności niemieckiej za przeszłość na pewno nie jest czymś błahym lub godnym pominięcia! Nie do pomyślenia są jakiekolwiek zmiany w Europie, które zamiast służyć pokojowi, miałyby na celu pomnożenie ludzkiego nieszczęścia. A zresztą — czy muszę przypominać, że z sześciu milionów zabitych Polaków tylko 600 tysięcy poległo, resztę zaś zamordowano. Może by i pod tym kątem, kątem zadośćuczynienia, spojrzeć na utraconą ojcowiznę?

Höfer: Naród polski poniósł olbrzymie straty, to fakt, bolesny fakt. Ale chyba nie tylko z winy Niemiec. W imię prawdy historycznej muszę...

Hasselblatt: Nie zwalajmy winy na innych, mówmy o swojej. Ghetto w Warszawie, Oświęcim — to nasze dzieło...

T. Nowakowski: Nie mówmy lepiej o tych sprawach, bo w tym sporze nam, Polakom, na pewno nie zabraknie argumentów.

Höfer: Proszę mnie źle nie rozumieć. Jako Niemiec, który stoi na stanowisku niemieckiej winy i odpowiedzialności moralnej, chcę jednak wyjaśnić, że los narodu niemieckiego nie obciąża jedynie i wyłącznie nas, Niemców.

T. Nowakowski Herr Höfer! Nikt z nas nie widzi historii w postaci książki napisanej techniką biało-czarną. I chociaż niemiecki poeta Schiller powiada: *Die Weltgeschichte ist das Weltgericht* (Historia jest sądem), staramy się bronić przed każdym propagandowym uproszczeniem. Ale nie mogę nie mówić o tych przykrych sprawach, jeśli jednocześnie zabierają głos ci, którzy by chcieli miliony Polaków z ziem zachodnich usunąć nie wiadomo dokąd. W tym właśnie sprawa, że nie brak w Niemczech szlachetnych moralistów, którzy oburzają się na Majdanek i Oświęcim i ghetto w Warszawie, ale jakoś nie mają nic przeciwko utworzeniu jakiegoś nowego „Warthegau" czy *Generalgouvernement*, przeciwko nowemu ghetto dla 30 milionów ludzi...

Hasselblatt: Nowakowski ma rację!

Höfer: Chwileczkę, Herr Hasselblatt. Jest takie państwo, które nazywa się Izrael. Nie mamy z nim oficjalnych stosunków dyplomatycznych, ale mimo to mamy tam świetne kontakty. Czy nie powinniśmy Moskwie powiedzieć: nie miejcie nam za złe bezpośrednich kontaktów z Polską, ten kraj zasługuje, właś-

nie z uwagi na tak silnie poruszony tutaj aspekt moralny, na odmienny *modus vivendi*, na...

Hasselblatt: Nie, to nie jest właściwy przykład. Uważam, że powinno się nawiązać normalne stosunki dyplomatyczne z Warszawą. Leży to w naszym interesie. Choćby i dlatego, aby przedstawiciel Ulbrichta nie był jedynym głosem niemieckim nad Wisłą...

Höfer (do Halperina): Ale co zrobić z doktryną Hallsteina? Czyi pan uważa, że dojrzała ona do rewizji?

Halperin: Nie jestem przeciwnikiem tej doktryny. Uważam, że ma ona swoje poważne uzasadnienie, godna jest rzeczowej dyskusji, i nie widzę potrzeby, by kwestionować jej celowość. Zresztą, w wypadku Polski przedwcześnie jest mówić o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych. W najlepszym razie mówić można o utworzeniu misji handlowej z uprawnieniami konsularnymi, o rozszerzeniu wymiany towarowej.

Höfer: Wiemy wszyscy, że w przypadku Rosji Sowieckiej samiśmy swego czasu doktrynę Hallsteina naruszyli, i słusznie: szło przecież o wydobycie tysięcy ludzi z niewoli. Czy nie sądzi pan, że sam fakt, iż polska wersja komunizmu różni się od tego co widzimy w innych krajach bloku wschodniego, nie powinien nas zachęcić do obejścia doktryny Hallsteina?

Halperin: Wkraczamy w ten sposób w wewnętrzne sprawy Polski, a to, podobnie jak zagłębianie się w sprawy moralne, nie posunie naszej dyskusji naprzód. Wracając do doktryny Hallsteina, trzeba się liczyć z taką możliwością, że jeżeli Bonn nawiąże stosunki dyplomatyczne z Warszawą, Indie lub inne państwo mogą równie dobrze nawiązać je z władzami sowieckiej strefy Niemiec. I dlatego...

Flora Lewis: Egipt, jak wiemy, też w pewnym sensie ,,uszkodził'' doktrynę Hallsteina, traktując obie części Niemiec na równi.

Höfer: Obstaję przy swoim pytaniu: czy dla naszych rozważań nie jest jednak sprawą ważną, iż Polska dzisiejsza nie jest krajem komunistycznym, że komunizm komunizmowi nie jest równy, że — mówiąc obrazowo — ze wschodniego Berlina bliżej jest do Pekinu niż do Warszawy?

Halperin: Nie rozróżniajmy między gatunkami komunizmów, bo to naprawdę do niczego pożytecznego nie doprowadzi. Normalizacja stosunków z Warszawą nie może być jakąś ,,nagrodą'' za liberalniejszy kurs w Polsce. Jeżeli tak właśnie podejdziemy do zagadnienia, Warszawa na pewno powie ,,nie''. Właśnie w tym stałym a niepotrzebnym podkreślaniu ,,inności'' Polski widzę niebezpieczeństwo dla ułożenia stosunków między obu państwami. Tego typu spekulacje wchodzą w zakres polityki światowej, a nie stosunków polsko-niemieckich.

Höfer: Są dwa zagadnienia, które dla nas, Niemców, ważniejsze są dzisiaj od granicy na Odrze i Nysie. A mianowicie: Berlin i zjednoczenie Niemiec. Powstaje pytanie: czy ewentualna

poprawa stosunków między Warszawą a Bonn rozwiązanie tych dwóch kwestii skomplikuje czy też raczej je ułatwi?

Halperin: Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Odprężenie w tym rejonie Europy na pewno jest pożądane...

Flora Lewis: Każde odprężenie posiada swoje skutki polityczne...

Henri de Kergorlay: Marszruta polityki odprężenia, jak mi się wydaje — przyjęta już także i przez Adenauera, jest wyraźnie określona: NRD — Moskwa. Polska właśnie leży na tym trakcie...

T. Nowakowski: ... przy czym kontakty między Bonn a Warszawą nie mogą wywoływać entuzjazmu we wschodnim Berlinie.

Höfer (do de Kergorlay): Mieliśmy jeszcze niedawno spór o Saarę. Wypadł on dla Niemiec korzystnie. Ale nigdyśmy się się nie nosili z zamiarem odebrania Saary. Nikt z nas zresztą nie wie, Herr Nowakowski, jak wypadną w końcu rokowania o traktat pokojowy, ale chyba zauważył Pan, iż nie liczymy zbytnio na poparcie naszych sprzymierzeńców.

Henri de Kergorlay: Nie widzę analogii. Spór o Saarę rozgrywał się między Niemcami a Francją sam na sam. Większość głosów padła za przyłączeniem do Niemiec, i tak się też stało. Natomiast w tej innej sprawie jest jeszcze trzeci partner — Moskwa.

T. Nowakowski: Nie jestem pewien czy istnienie dwóch państw niemieckich, a w tym jednego komunistycznego, leży w interesie polskim. NRD odcina nas od Zachodu, a to jest ważny problem dla narodu, który czerpie swoją siłę z przynależności do Zachodu. Z drugiej jednak strony Niemcy zjednoczone, niezneutralizowane i zbyt silne wywołują w nas wspomnienie Rzeszy Bismarcka, kiedy to np. Poznańskie traktowano na równi z Togo i Kamerunem. Dr Halperin, neutralny Szwajcar, wolał tutaj nie poruszać wewnętrznych spraw polskich, ale i one są ważne. Chcę jednak powiedzieć, że bez względu na to kto dzisiaj rządzi Polską, istnieją zagadnienia ciągłe, obchodzące cały naród. Wiedzą o tym, na przykład, Amerykanie, dający Polsce pożyczkę czy pomoc gospodarczą. Chyba nie dlatego, że, jak ironicznie pisze *l'Humanité,* jest tam jakaś ,,demokracja ludowa rzymsko-katolickiego wyznania''... Poza rządami, ustrojami i partiami, a więc czymś z natury swej zmiennym, są jeszcze miliony ludzi... O ich obecności i nastrojach zapominać nie wolno...

Hasselblatt: Powinniśmy nawiązać kontakty nie tylko z Warszawą, ale i z Pragą, Bukaresztem, Budapesztem, Sofią — ze wszystkimi. Gdy się nawiąże stosunki z Warszawą, trzeba je nawiązać także z Pragą i...

Höfer: Po kolei, po kolei... Może jest jeszcze na to dzisiaj za wcześnie. Niestety, już musimy kończyć naszą rozmowę...

T. Nowakowski: Wiele spraw można załatwić już dzisiaj, już dzisiaj należy myśleć o przyszłości. Na przykład: odszkodowania. Na przykład dezynfekcja podręczników szkolnych...

Höfer: Mówiąc o przyszłości: miło mi donieść słuchaczom, że w tych dniach p. Nowakowskiemu urodził się synek. Niewątpliwie będzie on Polakiem, jak jego ojciec. Nie traćmy jednak nadziei, że kiedy podrośnie i będzie w naszym wieku, wytworzy się wreszcie pojęcie nadrzędne: że będzie obywatelem Europy...

T. Nowakowski: Nie traćmy nadziei. Kto wie czy nie będzie kiedyś brał udziału w podobnych dyskusjach okrągłego stołu, ale już nie jako świadek, tylko jako historyk...

Höfer: Niech mi zatem będzie wolno wznieść toast. Wypijmy jego zdrowie!

Tadeusz NOWAKOWSKI

POSTSCRIPTUM

Niektóre wyjątki z listów i artykułów:

Hamburger Abendblatt: ,,...mimo wszystko z tej dyskusji promieniowała nadzieja. Otwartość polskiego dyskutanta zasługuje na uznanie".

Der Schlesier: ,,...były to wypowiedzi obraźliwe dla niemieckiego słuchacza... Kto, jak kto, ale Polak, wywodzący się z narodu, który się w swej historii nie pogodził z zaborami, nie może Niemcom zalecać ,,polityki realnej".

E.C., Bremen: ,,Brawo! Serdeczny uścisk dłoni".

Dr. R.T., Kilonia: ,,Kto się wypowiada za grabieżą niemieckich ziem na wschodzie, narusza Kartę Narodów Zjednoczonych, co jest jednoznaczne z przestępstwem wojennym".

Ch. Z. Berlin Grünewald: ,,To, cośmy wyrządzili Polsce, nie da się okupić stratą terytoriów. Potrzeba pokoleń, aby to dało się naprawić".

K. R. Wiesbaden: ,,Z Polakami zetknąłem się w więzieniu, kiedy przywieziono transport studentów uniwersytetu warszawskiego, którzy przedarli się do Szwajcarii, ale Szwajcarzy wydali ich w ręce Gestapo. Szli na śmierć (16.5.1942) z dumnie podniesioną głową. Tej krzywdy, jaką wyrządziliśmy Polsce nigdy nie naprawimy. Jako katolik chcę to odpokutować".

Dr. R. Ansbach: ,,Osiedleńcy polscy na naszych ziemiach nie czują się dobrze i chętnie by wrócili do dawnej ojczyzny... Ale T.N. nie ma o tym pojęcia. Inni uczestnicy rozmowy również nie, gdyż przytakiwali głowami!".

A. Sch., Bonn: ,,Gdyby Niemiec miał prawo stanąć w obronie Breslau czy Stettin w warszawskiej telewizji — wówczas nie miałbym nic przeciwko tej prowokacji".

G.K. Bonn: ,,Jest dla mnie zagadką, dlaczego ludzie, którzy wypowiadają się za granicą na Odrze i Nysie, przebywają na emigracji, zamiast uznać Gomułkę i wrócić na stałe do Polski".

Dr J.B., Berlin: ,,O tych sprawach trzeba było otwarcie mówić przed 10-ciu laty, a nie dopiero teraz".

S.V., Lichtenstein: ,,...nic z tego nie będzie. Chruszczow musiałby upaść na głowę, żeby wypuścić kartę z ręki. Rosja Sowiecka nie dopuści do odprężenia między Warszawą a Bonn.

Postęp techniczny a problemy narodowościowe w ZSSR

Od XXI zjazdu KPZS, tj. od początku roku 1959, gdy ogłoszono plan siedmioletni, rozpoczął się w Związku Sowieckim nowy etap rozwojowy. W ciągu najbliższych 15 lat komuniści chcą osiągnąć potrojenie produkcji przemysłowej oraz dwu i półkrotne zwiększenie wydajności pracy. Już w okresie planu siedmioletniego mają być stworzone podstawowe warunki dla realizacji tych celów. Tak wielkie zadanie mogłoby być osiągnięte przez Związek Sowiecki tylko w warunkach radykalnej reorganizacji gospodarki przez wprowadzenie postępu technicznego i automatyzacji. Poniższe cyfry dowodzą, jak konsekwentnie dążą komuniści w Sowietach do tego celu. Cały kapitał produkcyjny zakładów i organizacji (tzn. kapitał zakładowy i obrotowy) wynosił 1 stycznia 1960 roku 2.001.1 miliardów starych rubli. Z ogólnej sumy nakładów kapitałowych w okresie siedmiolatki (1.940-1.970 miliardów) przeznacza się na rozbudowę przemysłu, specjalnie zaś na powiększenie kapitału zakładowego 1.500 miliardów. Główny nacisk kładzie się przy tym na ulepszenie posiadanych maszyn, rekonstrukcję istniejących zakładów oraz instalację nowych maszyn i urządzeń. W okresie planu siedmioletniego nie oczekuje się jeszcze zdecydowanego zwrotu w sensie wprowadzenia postępu technicznego i automatyzacji, wysiłek skierowany jest jedynie na stworzenie podstawowych warunków realizacji tych zadań.

Hasła: ,,Automatyzacja — to technika komunizmu'', ,,Automatyzacja — uskrzydli plan siedmioletni'' wskazują na to, że kurs na postęp techniczny i automatyzację stał się częścią programu KPZS.

W latach 1958-59 teoretycy partyjni, socjologowie i eksperci gospodarczy w Sowietach podkreślali, że ów zwrot stanowiący drugą rewolucję przemysłową w krajach zachodnich spowoduje nieuchronnie poważne zaburzenia socjalne, zaostrzenie walki klasowej oraz nędzę milionów robotników. Natomiast w Sowietach można będzie uniknąć tych zakłóceń. Przedstawiciele nauki sowieckiej uważali, że sowiecki system totalnego planowania pozwoli na przewidzenie tych wszystkich trudności oraz obmyślenie i zastosowanie za wczasu środków zaradczych. Ale już w roku 1959 ukazały się w czasopismach sowieckich — szczególnie w prasie fachowej — głosy bardziej rozsądne i sceptyczne. Okazało się, że postęp techniczny i automatyzacja wyciska głębokie ślady także na życiu sowieckiego społeczeństwa i że nie może być mowy o tym, żeby w nowym etapie rozwo-

jowym dało się uniknąć głębokich wstrząsów społecznych. Społeczne następstwa automatyzacji są w Związku Sowieckim różnorodne. W dalszych rozważaniach pragnę ograniczyć się do omówienia tylko tych następstw, które stwarzają zupełnie nowe tło dla sowieckiej polityki narodowościowej.

Rozmiary bezrobocia

Z wielu przyczyn każda modernizacja sowieckich zakładów produkcyjnych zwalnia większą ilość sił roboczych niż to ma miejsce na Zachodzie. Mimo, że Sowiety osiągnęły dość wysoki stopień uprzemysłowienia udział pracy ręcznej jest bardzo wysoki (w czerwcu 1960 r. wynosił 47% wszystkich przemysłowych robotników). Już przeprowadzona w skromnym zakresie modernizacja sprawia, że setki tysięcy robotników zostaje zastąpionych przez maszyny. Podczas lipcowego plenum KC KPZS w roku 1960 wskazywano na zmiany, które wkrótce nastąpią w przemyśle budowlanym. Wprowadzenie mechanizacji produkcji uczyni zbędną pracę 133 tysięcy kopaczy, ponad stu tysięcy ładowaczy i prawie pół miliona innych robotników, którzy wykonywali różne prace ręczne. Udział pracy ręcznej jest w przemyśle materiałów budowlanych szczególnie wysoki. Poważne zakłócenia są już teraz widoczne na Ukrainie sowieckiej, gdzie udział pracy ręcznej w przemyśle materiałów budowlanych wynosi 70%.

W wywołanych postępem technicznym i automatyzacją zakłóceniach socjalnych decydującą rolę odgrywa nienormalny stosunek liczbowy robotników przemysłowych i rolnych: rolnictwo zatrudnia 52% sowieckich sił roboczych. Należy przy tym pamiętać, że problem postępu technicznego może być w Sowietach rozwiązany tylko wówczas, gdy obejmie zarówno przemysł jak i rolnictwo. Dysponujemy dokładnymi cyframi z Ukrainy, które obrazują rozmiary zwolnienia sił roboczych.

Przewiduje się zwolnienie, do roku 1965, 80 tysięcy robotników zatrudnionych w górnictwie węglowym, 40 tysięcy w przemyśle metalowym i ponad 100 tysięcy w przemyśle cukrowniczym i torfowym. Jeśli przeprowadzi się plany mechanizacji w gospodarce hodowlanej Ukrainy sowieckiej, musimy się wówczas liczyć, zgodnie ze stwierdzeniem przewodniczącego rady ministrów Ukraińskiej Republiki Sowieckiej, Senina, ze zwolnieniem już w roku 1963 — 900 tysięcy sił roboczych. (Senin omawiał te sprawy na wspomnianym już plenum lipcowym KC KPZS). Niektórzy gazety sowieckie z początkiem roku 1961 pisały już o pełnym milionie ludzi zagrożonych utratą pracy.

Zarządzenia zapobiegające bezrobociu

Fachowa prasa sowiecka zamieszcza dostateczną ilość materiału, aby móc się zorientować w jaki sposób reżym zamierza

zapobiec tym zakłóceniom socjalnym. Początkowo próbuje się rozwiązać ten problem na płaszczyźnie *lokalnej*. Zwolnione siły robocze zostają zatrudnione w innych oddziałach zakładu produkcyjnego. Już tutaj pojawiają się trudności, ponieważ przesunięcie takie połączone jest z koniecznością gruntownego przeszkolenia dotkniętych nim sił roboczych. Przy tej okazji pragnę nadmienić marginesowo, że w Sowietach, podobnie jak i na Zachodzie, pojawia się problem ,,bezrobocia technologicznego''. Znika wiele zawodów, których wyuczenie wymagało lat, ponieważ szereg procesów produkcyjnych wykonują już maszyny. Z drugiej zaś strony obsługa tych maszyn wymaga nie tylko specjalnego wyszkolenia, ale i wychowania nowego typu robotnika, posiadającego zarysowaną wyraźnie indywidualność. Robotnik taki musi posiadać nie tylko szersze wykształcenie, trzeba mu także pozostawić swobodę podejmowania samodzielnej decyzji. W warunkach sowieckich stanowi to specjalny problem, którego nie będziemy tu rozstrząsać szczegółowo. W Sowietach odbywa się radykalne przestawienie na odcinku technicznego szkolenia kadr, proces ten jednak nie jest dostatecznie zaawansowany, aby umożliwić przesuwanie bez trudności robotników z jednego działu produkcji do drugiego.

Poprzez zmianę rodzaju pracy w obrębie tego samego przedsiębiorstwa można tylko w niewielkim stopniu rozwiązać problem zwalniania rąk roboczych. Cały szereg innych, podjętych już zarządzeń przewiduje przeniesienie zwolnionych sił roboczych na inne miejsca pracy w obrębie tego samego miasta, tego samego obwodu lub nawet okręgu. Niektóre źródła sowieckie wskazują jednak na to, że nawet w ten sposób nie da się w zadawalający sposób rozwiązać powstałego problemu. W skuteczny sposób można zwalczyć bezrobocie dopiero przez przenoszenie mas ludności poza granice republik, poprzez masowe odkomenderowywanie sił roboczych do pracy przy realizacji inwestycji położonych bardzo daleko od ich miejsca zamieszkania. Pełne rozwiązanie możliwe będzie jedynie przy masowej emigracji ludności z europejskiej części Związku Sowieckiego na wschód.

Przeobrażenia te zarysowują się już dziś wyraźnie. Już w okresie obecnej siedmiolatki następuje przesunięcie punktu ciężkości inwestycji na wschodnie tereny Związku Sowieckiego. Pomiędzy Uralem a Pacyfikiem leży 75% terytorium ZSSR z olbrzymimi bogactwami naturalnymi (w tym 3/4 zasobów węgla, 4/5 sił wodnych i drzewostanu), zamieszkuje tam jednak tylko 22% ogółu ludności państwa.

KPZS podejmuje zdecydowane kroki aby rozwiązać problem zdobycia sił roboczych dla tych obszarów. W latach 1956-57 wysłano do azjatyckiej części ZSSR 400-500 tysięcy młodych ludzi. W następnych latach kontynuowano tę akcję. Doświadczenie pokazało jednak, że w ten sposób nie da się sprawy rozwiązać. Wykorzystując entuzjazm młodzieży, pracującej w najcięższych

warunkach, reżym potrafił jednak przygotować grunt do realizacji swych dalszych planów.

Armia sowiecka dostarczyła drugiego kontyngentu sił roboczych dla terytoriów wschodnich. Jak wiadomo postanowiono w styczniu 1960 roku zmniejszyć siły zbrojne o 1,2 miliona ludzi. Niewielu obserwatorów zachodnich dostrzegło, że komunistom powiodło się przeważającą część zwolnionych żołnierzy osiedlić na wschodzie. Posłużono się w tym celu metodą łagodnego przymusu. Kontrakt pracy w przedsiębiorstwach i organizacjach wschodniej części ZSSR, przedłożony do podpisania zwolnionemu z wojska żołnierzowi, był dla niego najkorzystniejszy, gdy rozciągał się na dłuższy okres czasu. Wschodnie obszary państwa otrzymały jednorazowy potężny zastrzyk techników i inteligentów, podoficerów i oficerów. Poprzednio ludzie ci mieszkali z rodzinami w osiedlach oficerskich lub w specjalnych blokach. Zwolnienie z wojska stawiało ich przed trudnym problemem znalezienia sobie mieszkania. W długoletnich umowach o pracę znajdowała się klauzula, zapewniająca im dobre mieszkanie lub dogodne kredyty, umożliwiające szybką budowę własnego domu.

Ale i to także nie stanowiło rozwiązania na dłuższą metę. Polityka gospodarowania sowieckimi rezerwami sił roboczych stawia sobie wyraźnie za cel przenoszenie coraz większych grup ludności z europejskiej części Związku na wschód. Według oficjalnych danych Państwowego Komitetu Pracy i Płac przy Prezydium Rady Ministrów ZSSR — przewiduje się rychłe przesiedlenie na wschód 2 milionów ludzi. *Rozpoczyna się jedna z największych wędrówek ludów w naszych czasach.*

Masowe przesiedlania narzędziem wynaradawiania

Ten obiektywny fakt stawia w zupełnie nowym świetle problem narodowościowy w Sowietach w obecnym etapie postępu technicznego i automatyzacji. Związek Sowiecki demonstrował szczególnie w okresie stalinowskim, subiektywną wolę wynaradawiania nierosyjskich narodowości państwa. Historia Związku Sowieckiego dostarcza licznych na to przykładów. Jeśli chodzi np. o Ukrainę można by tu przytoczyć fakty tak znane, jak świadomie wywołana katastrofę głodową lat trzydziestych oraz wyniszczenie inteligencji ukraińskiej w okresie ,,Jeżowszczyzny''. Gdy zaś chodzi o inne narody Związku Sowieckiego sięgały te szowinistyczne posunięcia aż do zarządzeń eksterminacji całych ludów. Wystarczy przypomnieć los Tatarów krymskich, Kałmuków, Czeczeńców-Ingusów i innych ludów. Gdy Stalin umarł ukazała się cała krótkowzroczność tego wielkoruskiego i szowinistycznego kursu sowieckich komunistów. Rezultaty polityki wynarodowienia okazały się stosunkowo skromne, przeprowadzono rehabilitację deportowanych ludów i zaczęto mówić o powrocie do ,,leninowskiej polityki narodowościowej''.

Całkowicie inna sytuacja dzisiejsza sprawia, że przyśpieszony proces wynaradawiania uwarunkowany jest nietyle subiektywnym nastawieniem elementów wielkoruskich, ile rozpoczynającym się *procesem wielkich przemian gospodarczych w nowym etapie rozwoju Związku Sowieckiego*. W styczniu 1959 roku przeprowadzono w Sowietach spis ludności, który potwierdził oficjalnie, w jaki sposób np. Ukraińcy muszą ponosić największe ofiary na korzyść narodu rosyjskiego. Kwestię narodowościową rozwiązano w tak ,,genialny sposób'', że konstytucja sowiecka nie przewiduje żadnych gwarancji popierania rozwoju kultury narodowej pośród tych Ukraińców, którzy opuszczali masowo swą ojczyznę. W roku 1926 poza granicami ukraińskiej republiki związkowej żyło w Sowietach prawie 8 milionów Ukraińców. Według spisu ludności z roku 1959 liczba tych Ukraińców stopniała do 5,1 miliona, jakkolwiek w międzyczasie stale trwała dalsza wędrówka Ukraińców na wschód. Co stało się z tymi Ukraińcami łatwo zgadnąć: w nowym miejscu zamieszkania stali się oni ,,Rosjanami''. Także inne oficjalne dane, zaczerpnięte ze źródeł sowieckich, potwierdzają rozmiary procesu denacjonalizacji. W Kirgizji np. tylko 49,3% żyjących tam dziś Ukraińców podaje język ukraiński jako ojczysty (Sowj. Kirg. z 23 lipca 1960) zaś w Uzbekistanie odsetek ten wynosi jeszcze mniej: 40,6% (,,Prawda Wostoka'' z 31 lipca 1960). Brak jest odnośnych danych dotyczących wschodnich obszarów Rosyjskiej SFRS wszystko jednak zdaje się wskazywać na to, że tam sprawa wygląda jeszcze gorzej. A więc spośród 5,1 milionów Ukraińców, żyjących poza granicami ich ściślejszej ojczyzny już ok. 60% zapomniało języka ojczystego i jeszcze tylko z przyzwyczajenia określają się jako Ukraińcy.

Jedynie dla zobrazowania problemu podaliśmy cyfry, odnoszące się do Ukraińców, ale ten sam proces masowej wędrówki ludzi obserwujemy także na Białorusi i w republikach bałtyckich.

Wynaradawianie się nierosyjskich grup ludnościowych, pochodzących z europejskiej części Związku Sowieckiego we wschodnich połaciach tego kraju — to jedna tylko strona tego problemu. Drugą stanowią zmiany składu narodowościowego republik środkowo-azjatyckich. Według oficjalnych danych ostatniego spisu ludności, narodowości takie, jak Kazachowie, Kirgizi, Tadżycy przekształciły się w mniejszości narodowe we własnych ,,republikach''.

W Kazachskiej SSR stanowią Kazachowie już tylko 29,6% ogółu ludności, w Kirgiskiej SSR udział Kirgizów wynosi 40,5%, w Tadżyckiej SSR jest Tadżyków nie więcej jak 53,1%. Także i w Turkmenii obserwujemy podobny proces stałego zmniejszenia się odsetka autochtonnej ludności (1933: 72,0%; 1959: 60.9%).

Nigdy jeszcze w historii Związku Sowieckiego ,,scalenie się narodów'' nie miało tak wielkich widoków na ,,powodzenie'' jak obecnie. Teoretycy partyjni podbudowują w odpowiedni sposób ten proces ideologicznie.

Marzenia biurokratów o stworzeniu ,,narodu sowieckiego'' (tak się dziwnie składa, że ma on być identyczny z rosyjskim i do tego skupiać się głównie na granicy chińskiej) wydają się bliskie urzeczywistnienia. Jak wygląda wykładnia leninowskiej polityki narodowościowej informuje nas organ KPU ,,Komunista Ukrainy'', gdzie czytamy w numerze z marca 1960: ,,Odbywa się spontaniczny proces zbliżania się i wzajemnego wzbogacania kultur poszczególnych narodów Związku Sowieckiego... Ważnym narzędziem zbliżania się socjalistycznych narodów jest język rosyjski''. Zaś ukraiński teoretyk partyjny, Krawcew, wyraził to 13 kwietnia 1960 roku w ,,Radjanskiej Ukrainie'' w sposób następujący: ,,W okresie budowania komunizmu nasila się proces wzajemnego zbliżania się narodów socjalistycznych. Prowadzi to w konsekwencji do tego, że w językach poszczególnych narodów pojawia się coraz więcej wspólnych słów, wymierają lokalne dialekty, rośnie zaś rola języka rosyjskiego, jako narzędzia wzmocnienia przyjaźni narodów sowieckich... Proces bogacenia się i zbliżania języków zakończy się ich całkowitym stopieniem w język światowy, gdy komunizm zatriumfuje na całym świecie. Już w dobie socjalizmu nastąpi stopniowe zlewanie się języków oraz ich wszechstronny rozwój i wzbogacenie się''.

Jest rzeczą doprawdy interesującą dlaczego akurat rusyfikacja stała się ideałem polityki narodowościowej sowieckich komunistów. To co dziś odbywa się na odcinku sowieckiej polityki narodowościowej wyrasta nie tylko z korzeni wielkoruskiego szowinizmu większości komunistów sowieckich. *Tłumaczy się to tym, że sowieccy komuniści nie potrafią rozwiązać problemu narodowościowego w duchu równouprawnienia i wolności.* (Udowodnili to zresztą również przy rozwiązywaniu innych ważnych problemów ludzkich).

Słuszność jest nie po stronie Lenina i Stalina lecz austro-marksistów

Już w przede dniu rewolucji październikowej rozpoczęła się w ówczesnym obozie komunistycznym dyskusja nad kwestiami narodowościowymi. W tej dziedzinie partia bolszewików znajdowała się daleko w tyle w porównaniu z teoretykami europejskiej socjal-demokracji, szczególnie zaś w porównaniu z ,,austro-marksistami'', na czele których stali Otto Bauer i Karl Renner. Pośród bolszewików wyjątek stanowił Lenin, którego strategiczny geniusz uchwycił znaczenie problemu narodowościowego w byłej Rosji carskiej. Wystarczy w tym celu przejrzeć materiały VIII. zjazdu WKP(b), który odbył się w marcu 1919 roku. (Gdyby ktoś chciał być złośliwy, wystarczyłoby mu wybrać kilka cytatów z przemówień tak wybitnych przywódców komunistycznych, jak Bucharin czy Zinowjew. Dziś uznano by je jako oczywistą obrazę narodów Afryki i Azji. Dziś nawet

najbardziej okrzyczany imperialista nie pozwoliłby sobie, na określanie ludności Afryki mianem ,,Hotentotów'').

Ponieważ właśnie Lenin był wielkim strategiem rewolucji październikowej wszystkie jego rozwiązania uwzględniały potrzeby taktyczne, zaś demagogia zastępowała często uzasadnienie teoretyczne. Bezwątpienia dotyczy to w szczególnym stopniu kwestii narodowościowej. W postępowej literaturze politycznej tego okresu tylko dwie koncepcje zasługują na to, aby uznać je za poważną próbę rozwiązania tego problemu.

Przypomnijmy najpierw jak wyglądała odnośna koncepcja austro-marksistów. Pragniemy przy tym uwzględnić jedynie istotę rzeczy, odsuwając na bok wszystkie dodatkowe problemy, uwarunkowane ówczesną sytuacją.

Bauer i Renner rozróżniają ściśle pojęcie państwa i pojęcie narodu. Punktem wyjścia ich rozważań było twierdzenie, że problem narodowościowy w niewielkim stopniu wiąże się z takimi pojęciami jak ,,terytorium'' i ,,państwo''. Już wówczas wskazywali oni na nieuchronne następstwa uprzemysłowienia i związane z nim przewarstwowienia społeczne. Dla austro-marksistów nie było rzeczą podstawowej wagi czy np. Czesi mają swe własne państwo, czy też w inny sposób uczestniczą w rządach. Rozstrzygające było postanowienie konstytucji, że Czech, niezależnie od tego czy żyje w Czechach czy w Wiedniu, w żadnym wypadku nie może podlegać uciskowi kulturalnemu ze strony innego narodu. Powinien on wszędzie posiadać jednakowe możliwości rozwoju własnej narodowości i wychowywania swych dzieci we własnej kulturze narodowej. Istotne w doktrynie austro-marksistów było twierdzenie, że *nie państwo narodowe lecz wielonarodowościowe stanowi wyższą formę społecznego rozwoju ludzkości.*

Ta postępowa walka austro-marksistów przeciwko myśleniu sztywnymi kategoriami państwa narodowego (ponure następstwa tego typu myślenia obserwujemy do dziś dnia nie tylko w Europie, ale i na innych kontynentach) spotkała się ze sprzeciwem nie tylko prawicowych elementów reakcyjnych, ale także ze strony Lenina i jego towarzyszy. Doktrynę Otto Bauera o autonomii kulturalnej określili oni mianem ,,szowinizmu''. Na VI. zjeździe rosyjskiej socjaldemokratycznej partii robotniczej, który odbywał się już w atmosferze dominującego wpływu bolszewików, powzięto w związku z tą dyskusją następującą uchwałę: ,,Partia proletariatu odrzuca zdecydowanie narodowo-kulturalną autonomię, w warunkach której system szkolnictwa nie podlega kompetencji państwa lecz jakichś narodowych sejmików. Na skutek tej narodowo-kulturalnej autonomii robotnicy zostają zamknięci w obrębie określonej ,,kultury narodowej'' i sztucznie izolowani. Oznacza to, że wzmocnione zostają więzy robotników z kulturą mieszczańską poszczególnych grup narodowych podczas gdy zadanie Socjaldemokracji (czytaj bolszewików — p.m.) polega na wzmacnianiu międzynarodowej kultury światowego proletariatu''. Pod wpływem Lenina przy-

jęto zasadę samostanowienia narodów przy tworzeniu Związku Sowieckiego, zaś będący kompletną fikcją frazes o prawie poszczególnych republik do opuszczenia federacji obowiązuje w teorii do dziś dnia.

Przez krótki okres czasu federacyjny ustrój Związku Sowieckiego stanowił pozytywny czynnik w rozwoju narodowych kultur ludów ZSSR. Ten moment trzeba podkreślić szczególnie silnie, gdy uwzględni się rozwój sytuacji w republikach azjatyckich w latach dwudziestych. W każdej z republik związkowych i autonomicznych trwała zażarta walka między przedstawicielami ludności autochtonnej i elementami wielkoruskimi. Mimo tego każda z grup narodowościowych Związku Sowieckiego mogła korzystać z ,,taktycznych przeciwieństw'' doktryny Lenina przy rozwiązywaniu problemu narodowościowego. Jak grzyby po deszczu wyrastały wszędzie szkoły z nauką w języku ojczystym. W szybkim tempie powstawały kadry rodzimej inteligencji. Ponieważ granice jednostek administracyjnych na ogół pokrywały się z granicami etnograficznymi poszczególnych grup ludności zasada autonomii terytorialnej w pozytywny i postępowy sposób kształtowała przez jakiś czas życie kulturalne. Nie trzeba już dokładnie przypominać czytelnikowi, że w miarę biurokratycznej degeneracji systemu sowieckiego pod władzą Stalina, narody ZSSR otrzymywały coraz dotkliwsze ciosy. Leninowska zasada polityki narodowościowej stała się zupełną farsą, zaś pozytywne oddziaływanie administracji lokalnej na odcinku życia kulturalnego ulegało stałemu ograniczaniu.

Znajdujemy się na progu epoki, w której postępowa ludzkość będzie musiała uwzględnić dorobek myślowy austriackich teoretyków. Istnienie republik związkowych i innych wyodrębnionych jednostek terytorialnych w Sowietach, dziś w niewielkim tylko stopniu odgrywa ,,pozytywną rolę'' w rozwijaniu narodowych kultur. Nie można powątpiewać w to, że np. republiki litewska czy białoruska i inne mają do dyspozycji poważne środki na rozwijanie własnego życia kulturalnego. Ale rozwój ten staje się już dziś sprawą drugorzędną w obliczu zadań, które powstaną na odcinku kulturalnym w okresie wielkich ruchów migracyjnych na terenie państwa sowieckiego. Dla egzystencji Ukraińców np. sprawa posiadania własnych szkół, gazet itd. na Ukrainie jest sprawą mniejszej wagi. *Z każdym rokiem i miesiącem staje się coraz ważniejszy problem, jak kształtować się będzie życie kulturalne owych milionów Ukraińców, którzy opuszczają swą ojczyznę.* Problem ten jest tym drażliwszy, że, inaczej niż w przeszłości, opuszczają oni ojczyznę nie pod przymusem, lecz z przyczyn gospodarczych. Równie drażliwa jest odwrotna strona tego problemu. Jakąż wartość posiada dla Kazachów, Turkmenów czy Kirgizów fakt, że konstytucja sowiecka gwarantuje im posiadanie własnej republiki związkowej, jeśli we własnej republice stają się powoli mniejszością narodową, jeśli postulowane przez komunistów stopienie się

narodów, a więc przeprowadzana gwałtem rusyfikacja, prowadzi do kompletnego wynarodowienia?



Pragnęliśmy zwrócić uwagę na nowe tło sowieckiej polityki narodowościowej. W czasach, gdy problem narodowościowy powstaje w całej swojej ostrości w dawnych koloniach, miałoby niewiele sensu operowanie starymi argumentami. W Sowietach rozpoczął się zupełnie nowy proces, który częściowo przypomina rozwój kapitalizmu w Stanach Zjednoczonych, kiedy to rozkwit gospodarczy uniemożliwił rozwiązanie kwestii narodowościowej. Jeśli dziś Polacy, Niemcy, Ukraińcy i Żydzi w USA korzystają z dużej wolności w dziedzinie kulturalnej, jeśli mogą rozwijać własne szkolnictwo, tworzyć instytucje kulturalne i nawet rozwijać narodowe badania naukowe, ocenić to trzeba jako pozytywne następstwo systemu ,,demokracji mieszczańskiej'', która nie jest w stanie zniszczyć odziedziczonych tradycji cwych grup narodowościowych i która stworzyła prawne podstawy do swobodnego życia organizacyjnego. W Sowietach sprawa ta wygląda o wiele gorzej, ponieważ reżym pragnie kształtować życie kulturalne obywateli na zasadzie wyłączności. Obecna zasada autonomii terytorialnej pozbawia wszystkie republiki europejskiej części Związku Sowieckiego prawa roztaczania opieki kulturalnej nad przedstawicielami własnej grupy narodowościowej, którzy znaleźli się poza granicami danej republiki. Jeśli zaś chodzi o republiki środkowo-azjatyckie zasada autonomii terytorialnej prowadzi w etapie postępu technicznego i automatyzacji do obiektywnej rusyfikacji, w sensie ,,scalania'' się autochtonów stanowiących mniejszość ze stanowiąca większość grupą rosyjską. Narody ZSSR znajdują się dziś w trudniejszej sytuacji niż kiedykolwiek przedtem. Powagę sytuacji powiększa fakt, że nie powstała ona na skutek terroru administracji, jak to miało miejsce za czasów Stalina.

Zachód posiada bardzo ograniczone możliwości oddziaływania na ten rozwój sytuacji. Mimo to nie jest ona beznadziejna. Eksperymenty komunistyczne na odcinku kulturalnym i narodowościowym stoją w jaskrawej sprzeczności z tendencjami rozwojowymi naszej epoki na wszystkich kontynentach.

Teza austro-marksistów potwierdza w znakomity sposób, że epokę socjalizmu, postępu i walki o prawdziwą demokrację znamionuje nie scalanie narodów, lecz maksymalny rozwój ich kulturalnej odrębności i osobowości. Należy wszędzie o tym mówić, a szczególnie należy o tym mówić budzącym się do życia narodom, że ,,scalanie narodów'' w Związku Sowieckim nie pozostaje teoretyczną i reakcyjną mrzonką, lecz jest gorzką rzeczywistością, która wielu narodom w Sowietach przynosi poniżenie lub nawet zagładę.

Borys LEWICKYJ

Polski "nowy, wspaniały świat"

I

Scena: Przystanek autobusowy na Chiswicku. Rozmawiam z jednym z moich kolegów, który przybył do naszej odległej dzielnicy z wizytą. O czym rozmawiają dziennikarze? Oczywiście o prasie. W pewnej chwili wyraziłem zdziwienie, że ostatnio w numerze paxowskich ,,Kierunków'' — znalazłem opowiadanie naszego wspólnego londyńskiego kolegi.

Mój rozmówca poprawił gruby szal bo dął lodowaty wiatr i zauważył: ,,Czemu się pan dziwi — przecież X niewątpliwie jest konserwatystą.

Autobus nadjechał i rozmowa się urwała.

W świątecznym numerze ,,Kierunków'' pięć czy sześć bitych kolumn zajmuje referat Bolesława Piaseckiego. Stalinowska drętwa mowa jakby z grobu powstała. Steki ,,socjalistycznych'' frazesów i licytacja wazeliniarstwa pod adresem Sowietów. A na następnych stronach tego najabsurdalniejszego z pism polskich — konserwatyści, prawicowcy i żubry. Artykuł Cata-Mackiewicza o Franz Józefie jakby przedrukowany żywcem z roczników krakowskiego ,,Czasu'', krzepki Wańkowicz na tropie swego ,,Smętka'' — jednym słowem idylliczna synteza: katolicy, komuniści i konserwatyści wszystko za jedne trzy i pół złotego.

,,Przebudowa Socjalistyczna'', ,,Świadomość socjalistyczna'', ,,sojusz z PZPR'', ,,sojusz z Sowietami'', ,,zwycięstwo obozu socjalistycznego'' — a wokół tego stado żubrów, przeżuwające zeszłowieczne siano.

Ale szczytowym osiągnięciem tego polskiego ,,nowego, wspaniałego świata'' jest fakt, że tą absurdalną budowę uznaliśmy za normalne zjawisko. W naszym wspaniałym świecie paxowskie ,,Kierunki'' są czcigodnym organem konserwatystów. Mało — PAX niemal w całości zmonopolizował również tych emigracyjnych pisarzy, którzy wydają i drukują w Kraju.

W połowie grudnia ubiegłego roku odbył się w Warszawie zjazd-akademia w związku z 15-toleciem Stowarzyszenia PAX. Za stołem prezydialnym zasiadło 150 osób, w tym wielu wybitnych pisarzy z Kossak-Szczucką na czele.

W polskim wspaniałym świecie wydaje się rzeczą idealnie naturalną, że referat ekscelencji Piaseckiego oklaskiwała konserwatystka, katoliczka pani Kossak-Szczucka.

Nowy polski wspaniały świat posiada kilka pięter. Naszą podróż rozpocznijmy od piętra emigracyjnego — jako, że koszula bywa zwykłe ciału najbliższa.

Należy unikać szerokich uogólnień, ale przecież trzeba czasem zwrócić uwagę na tendencje charakteryzujące sytuację. To co powiem w odniesieniu do poszczególnych wypadków może jest niesprawiedliwe — w ogólnym jednak sensie jest słuszne i prawdziwe. Ogólnie biorąc tendencje do drukowania na emigracji wykazują ci pisarze krajowi, których książki nie idą w Polsce. Natomiast ci pisarze krajowi, których książki mają powodzenie i mogą się ukazywać nie wykazują żadnych chęci do publikowania swych utworów w prasie emigracyjnej.

Analogiczne zjawisko (w pewnej mierze i w pewnej proporcji) obserwujemy na emigracji. Pomijając krajowe wznowienia przedwojennych książek co stanowi problem odrębny — kontaktu z prasą krajową szukają ci pisarze i dziennikarze, którzy nie zdobyli warsztatu na emigracji. W sumie należy stwierdzić, że ci nieliczni pisarze krajowi, którzy sporadycznie drukują na emigracji są całkowicie nie reprezentatywni dla literatury krajowej. I odwrotnie, ci pisarze i publicyści emigracyjni, którzy drukują w Kraju nie są reprezentatywni dla piśmiennictwa emigracyjnego.

Są wyjątki po obu stronach — i to ważne — ale nie zmienia to ogólnego obrazu sytuacji.

Pozycja i rola polskiej literatury jest zupełnie inna niż literatury sowieckiej. W Sowietach większość pisarzy — w tym większość najwybitniejszych pisarzy — należy do partii. W Polsce odwrotnie — ani jeden wybitny pisarz nie jest członkiem partii. W porównaniu np. z Dąbrowską trudno Kruczkowskiego czy Putramenta uznać za wybitnych pisarzy.

Powyższe fakty są źródłem wielu nieporozumień pomiędzy Krajem a emigracją.

Każdy pisarz ma prawo walczyć o czytelnika krajowego. Każdy pisarz piszący po polsku pragnie być znany w Polsce. To jest zdrowe, naturalne i zrozumiałe. Ale nie wolno płacić absurdalnej ceny za ten przywilej.

Pisarz emigracyjny rozumuje następująco: skoro PAX dobry jest dla Wańkowicza czy Kossak-Szczuckiej, skoro dobry jest dla katolików i konserwatystów — dlaczego nie miałby być dobry dla mnie? Państwowe instytucje wydawnicze robią często trudności. PAX przeciwnie, szuka pisarzy emigracyjnych — proponuje wznowienia — płaci dobre honoraria.

A jednak wszędzie tylko nie w PAX'ie. Drukując w PAX'ie dokonuje się najobrzydliwszego z wszystkich możliwych kompromisów. Drukując w „Kierunkach" zgłasza się akces do polskiego „nowego, wspaniałego świata", który jest gorszy od ustroju komunistycznego. Ów polski wspaniały świat jest najbardziej zakłamaną utopią jaka kiedykolwiek istniała.

Pochodzę ze starej szlacheckiej rodziny i nigdy się tego ani nie wstydziłem, ani nie zapierałem. Ale wydaje mi się, że szlachetczyzna nie mogła sobie wystawić bardziej koszmarnego i upadlającego pomnika jak ów paxowski kabaret historyczny. W tym kabarecie pokazuje się przedwojennych „ludzi z towarzystwa". Wszyscy występują w oryginalnych kostiumach z 1939 roku i wszyscy ucharakteryzowani są w stylu epoki dwudziestolecia. Piszą urocze artykuły i szkice historyczne, jakby w Warszawie nic się nie zmieniło — jak gdyby w Belwederze mieszkał nadal starszy pan w siwym marszałkowskim mundurze.

Ci panowie nie są nawet kolaborantami. Kolaboranctwo to jest rzecz poważna. Oni sprzedają swoje nazwiska i swoją przeszłość licencjonowanemu kabaretowi, którego dyrektorem jest Piasecki. Żaden z tych panów nie akceptuje polityki „Führera". Ale to jest bez znaczenia — bo od kukieł woskowych w gabinecie osobliwości nikt nie wymaga politycznego zaangażowania.

Piasecki swoim PAX'em dokonał zadania, któremu partia by nie sprostała. Spacyfikował sporą grupę pisarzy, dla których w państwie komunistycznym nie byłoby miejsca.

Robienie z pisarzy męczenników jest katastrofalnym błędem. Ludzi nic tak nie denerwuje jak milczenie znanego pisarza. Było również rzeczą oczywistą, że konserwatywni pisarze epoki dwudziestolecia — w większości wypadków nie będą mogli współpracować z prasą komunistyczną. Stworzono im więc licencjonowany „nowy, wspaniały świat", gdzie mogliby pisać swoje nieszkodliwe „dalsze ciągi".

W orwellowskim „Roku 1984" — partia dysponuje fikcyjnym biurem z fikcyjnym urzędowaniem, w którym zatrudnia się wyłącznie „bywszych ludzi". „Kierunki" spełniają podobną rolę. Ale obrzydliwość kompromisu polega na tym, że autorzy, o których mówimy, wypożyczają swe nazwiska dla politycznej maskarady. Celem tej maskarady jest wywołać wrażenie, że w naszym wspaniałym świecie pisywać mogą swobodnie katolicy i konserwatyści, szlachta i hrabiowie — jednym słowem wszyscy ludzie dobrej woli, którzy wyzbyli się uprzedzeń.

Jestem przekonany, że doświadczenia PAX'u są z uwagą śledzone i analizowane przez sowieckich specjalistów. W porównaniu z Piaseckim „spece" z okresu rewolucji październikowej to byli niezdarni, gruboskórni drwale. Przy zastosowaniu metod wypracowanych przez PAX — w Anglii komunistycznej można by zachować nie tylko Kościół Anglikański, ale nawet Izbę Lordów. Znaczny procent ludzi uwierzyłby w tę maskaradę — co ułatwiłoby wybitnie pokonanie trudności w okresie przejściowym. Doświadczenie zdobyte przez PAX wskazuje, że znaczny

procent konserwatystów, wzamian za zorganizowanie im licencjonowanego rezerwatu, gotów jest zaakceptować ustrój. Ci panowie gotowi są zaakceptować rewolucję jutrzejszą wzamian za zezwolenie dokończenia życia w pozorach dnia wczorajszego.

II

KONFLIKT

Wydaje mi się, że w naszym polskim świecie inteligenci i intelektualiści dość często fałszywie rozpoznają sytuację.

Spędziłem niedawno parę godzin z wybitnie inteligentnym starszym panem, który dziś w Polsce nie odgrywa żadnej roli. Jest więc człowiekiem nie zaangażowanym, który jak sam się wyraził — ,,wspomina, obserwuje i medytuje''.

Oto jego pogląd na sytuację:

,,Blok sowiecki z całą pewnością kiedyś zwycięży. Chodzi tylko o to, by zwycięstwo nie nastąpiło zbyt szybko. Za 30 czy 40 lat Rosjanie będą na tym samym poziomie kulturalnym i intelektualnym co Amerykanie. Wówczas zwycięstwo będzie tylko ,,zmianą warty''. Zwycięstwo dziś, oznaczałoby katastrofę. Rosjanie potrzebują jeszcze dwóch pokoleń, by wyrównać poziom. Zachód powinien więc rozbudowywać swój system obronny i grać na zwłokę''.

Według moich obserwacji — to jest pogląd dość szeroko rozpowszechniony wśród inteligencji i intelektualistów w Polsce. Sowietów się nienawidzi ale w ich potęgę i dynamizm nikt nie wątpi.

Stypendyści, którzy wracają do Kraju z Zachodu — przywożą bardzo mieszane oceny i wrażenia. Rozmawiałem z wielu stypendystami, którzy po dłuższym pobycie w Stanach Zjedn. wracali do Polski. Nie spotkałem ani jednego, który by wracał nastawiony wrogo do Ameryki. Ale nie spotkałem również ani jednego, który by nie wyrażał głębokich obaw. Jeden z młodych ludzi, który po rocznym pobycie w Ameryce wracał przez Londyn do Kraju, w rozmowie ze mną wyraził się następująco: ,,jest prawdopdobne, że my, wychowani w zupełnie innych warunkach, nie rozumiemy w pełni Ameryki. Ale to jest bez większego znaczenia. Natomiast groźny wydaje się fakt, że Amerykanie nie rozumieją niczego poza Ameryką. Nie rozumieją Sowietów, nie rozumieją komunizmu, nie rozumieją historycznej sytuacji w jakiej się znaleźli''.

Kluczową frazą w tej wypowiedzi jest ,,historyczna sytuacja''. Czy nam się to podoba czy nie — Historię ,,robi'' Moskwa i kto nie rozumie Sowietów nie rozumie niczego.

Kisiel w ,,Tygodniku Powszechnym'' odparł zarzut wysunięty przez ,,Kulturę'', że jego grupa stara się z geopolityki ukuć ideologię. Kisielewski sądzi, że geopolityka stanowi dostateczny fundament dla ideologicznej nadbudowy.

Można by dziś napisać obszerną książkę na temat wpływu komunizmu na mentalność i poglądy niekomunistycznych Polaków.

W wielu wypadkach owa brutalna konfrontacja z geopolityczną rzeczywistością oddziałała korzystnie, przywracając Polakom trzeźwy sąd i poczucie proporcji. Polacy nauczyli się również rozróżniać pomiędzy stosunkami politycznymi, a sympatiami tradycyjnymi i emocjonalnymi. Możemy kochać Węgrów i wielbić kulturę francuską — ale zabiegać musimy o dobre stosunki z Rosją.

To wszystko jest zrozumiałe. Niepokój budzi natomiast pewna reorientacja, którą łatwiej dostrzec z Londynu niż z kawiarni w Warszawie.

Jeden z publicystów krajowych, bilansując sytuację międzynarodową z okazji Nowego Roku — wysunął jako zarzut skierowany pod adresem polityków Zachodu, że cały świat uważają za swoją sprawę, za sprawę zachodnią.

To jest podstawowy problem. Intelektualista, który przestaje uważać cały świat za sprawę Zachodu — przestaje być człowiekiem Zachodu.

Typowy pogląd większości intelektualistów i inteligentów w Kraju opiera się na sprzecznych przesłankach.

Jeżeli wyłączyć wojnę z naszych rozważań (co nie oznacza, że wojna jest wykluczona) to wówczas wszystkie nasze nadzieje pokładać musimy w ewolucjonizmie, w powolnym przekształcaniu się imperium sowieckiego po liniach rozwoju wielkich mocarstw przemysłowych. Należy podkreślić, że ewolucjonizm jest koncepcją zachodnią. Koncepcja ta jest zwalczana przez stalinowców po tamtej stronie i przez prawicowych ,,niezłomnych'' po tej stronie barykady. Tak stalinowcy jak i nasi ,,niezłomni'' nie mają nic wspólnego z tradycją Zachodu. ,,Niezłomni'' byliby gotowi poświęcić najistotniejsze wartości Zachodu... dla obrony Zachodu. Podobną koncepcję obrony zachodniego świata wysuwał MacCarthy. Jeżeli jednak Zachód przestałby być Zachodem — nie byłoby powodu go bronić. Jeżeli antykomunizm miałby w praktyce oznaczać to samo co komunizm, to znaczy kaganiec nałożony na głowy wolnych do tej pory ludzi — jeżeli miałby oznaczać likwidację prawa do opozycji, prawa do antykonformizmu, prawa do neutralności — to nie byłoby warto przelać kropelki krwi w jego obronie.

Dla człowieka Zachodu — świadomego swego historycznego zaplecza — ewolucjonizm jest oczywistością.

Leży przede mną świetna książka J. Bronowskiego i B. Mazlisha pt. ,,The Western Intellectual Tradition''. Bronowski urodził się w Polsce w roku 1908. Od roku 1920 mieszka stale w Anglii. Studia ukończył w Cambridge i jest wybitnym matematykiem i fizykiem. Bronowski należy do niezmiernie rzadkiego gatunku ludzi, którzy są mistrzami ,,dwóch światów''. Jest bowiem nie tylko wybitnym naukowcem w gałęzi nauk ścisłych — lecz jest również historykiem i pisarzem.

Dr. Bruce Mazlish jest profesorem słynnego *Massachusetts Institute of Technology.*

Gdybym był dyrektorem Fundacji Forda czy Kongresu Wolności Kultury — poleciłbym przełożyć książkę Bronowskiego i rozkolportowałbym to dzieło w Polsce, w Czechosłowacji i na Węgrzech.

Książka Bronowskiego nie ma nic wspólnego ani z propagandą, ani z polityką ani z ,,zimną wojną''. Nie była pisana z myślą o wschodnich Europejczykach. Jest to studium pióra zachodniego Europejczyka przeznaczone dla zachodniego czytelnika.

Bronowski podjął próbę przedstawienia historii Zachodu od Leonardo da Vinci po Hegla jako dziejów idej, które kształtowały naszą intelektualną tradycję. Komunizm jest jedną z tych idej a Marks jednym z naszych myślicieli.

Wszystkie idee ulegały przemianom i nie ma podstaw do wnioskowania, że komunizm stanowić będzie wyjątek od tej reguły.

Nie jest moim zamiarem ani streszczać ani omawiać pracy Bronowskiego w niniejszym artykule. Chciałem tylko zwrócić na nią uwagę polskiego czytelnika. Polacy ciągle powołują się na ,,tradycję Zachodu'', na więzy z kulturą zachodnią — choć nie zawsze i nie w pełni akceptują podstawowe elementy zachodniej tradycji intelektualnej.

Inteligenci i intelektualiści w Kraju, którzy bierną akceptację uwarunkowania geopolitycznego podnoszą do rangi kardynalnej cnoty a równocześnie wierzą w ewolucyjną przemianę komunizmu — odbiegli od intelektualnej tradycji Zachodu. Ci intelektualiści i pisarze, którzy żyją w ,,fool's paradise'' zorganizowanym dla nich przez Piaseckiego — wyemigrowali ze świata zachodniej kultury. Odeszli od nas również i ci, którzy inaczej niż my odczytują historyczną mapę świata. A więc ci, którzy uwierzyli, że dzieje nowoczesne datują się nie od renesansu lecz od rewolucji sowieckiej — nie od Leonardo tylko od Lenina — nie od 400 lat, tylko od czterdziestu.

Inteligent czy intelektualista rosyjski, nawet jeżeli nie jest przekonanym komunistą — lub jeżeli w ogóle nie jest komunistą — jest człowiekiem Wschodu i w Moskwie czy w Leningradzie jest u siebie w domu. Ale inteligent polski jeżeli przestaje być człowiekiem Zachodu — przestaje być w ogóle kimkolwiek.

Można przyjąć pogląd, że inteligencja polska, jako warstwa o strukturze, którą zachowała bez większych zmian do 1945 r., jest anachronizmem. Można dowodzić, że inteligencja jest produktem po-szlacheckiej kultury, typowym dla kraju rolniczego o zapóźnionym rozwoju przemysłowym.

Osobiście nie skazywałbym inteligencji polskiej tak szybko na zagładę. Gdyby uprzemysłowienie odbywało się w innym kontekście społecznym — gdyby inteligencja nie była wyobcowana, lecz przeciwnie, stanowiła dynamo przemian i rozwoju — wówczas rewolucja przemysłowa z całą pewnością by ją wchło-

nęła. Ale w obecnych warunkach inteligencji nie grozi wchłonięcie tylko „frustracja" i „nowe, wspaniałe światy" budowane na fikcyjnym poletku między Wschodem a Zachodem.

Zachodnia teoria ewolucjonizmu nie ma nic wspólnego z biernym wyczekiwanie tzw. „lepszych czasów". Historia idej od renesansu po rok 1960 — uczy nas, że idee kształtowały ludzi i z kolei ludzie kształtowali idee. Istotą ewolucjonizmu jest nie bierna akceptacja lecz konflikt. Dlatego nieodzownym warunkiem ewolucji i postępu jest pewien margines wolności. Historia nie usprawiedliwia poglądu, że zmiany na lepsze następują „same z siebie", w miarę bogacenia się i rozwoju przemysłu. Przeciwnie, historia uczy nas, że wszystkie zmiany na lepsze były wywalczone.

Bronowski oblicza w oparciu o źródłowe dokumenty, że przeciętny roczny dochód głowy rodziny w Wenecji w roku 1500 wynosił około 500 dukatów. W przeliczeniu na dzisiejszą walutę kwota powyższa odpowiada ok. 2000 dolarów rocznie. Gdy Ludwik Sforza wydawał za mąż swoją siostrzenicę Biankę Marię dał jej w posagu 400.000 złotych dukatów — ponad milion dolarów w złocie. Wenecja w początkach 16 wieku była bogatym państwem nie tylko w skali ówczesnej ale w każdej skali nawet w porównaniu z dzisiejszą Ameryką. A działy się tam rzeczy straszne. Wolność, prawo do opozycji i krytyki — to nie są uboczne produkty procesu bogacenia się. Konieczny jest jeszcze wysoki stopień oświaty.

Faktem jest natomiast, że oświecone społeczeństwa o wysokiej stopie życiowej trudniej jest skoszarować w „państwie-fabryce" na wzór Związku Sowieckiego. Ludzie oświeceni pragną udziału w rządach, a ludzie zamożni pragną marginesu indywidualnej wolności, bez czego zamożność traci wszelki sens. Miskę ryżu można zjeść w kołchozowej stołówce — ale gdy się zarabia tyle co robotnik angielski, indywidualne wymagania są bardzo wysokie. Wysoka stopa życiowa to nie tylko statystyczny wskaźnik zarobków, ale jeszcze odpowiedź na zasadnicze pytanie: jakie są możliwości indywidualnej dyspozycji zarobionym pieniądzem, co można za niego kupić i co z nim można zrobić? Dla człowieka, którego jedynym marzeniem jest miska ciepłej strawy każdego dnia w południe — są to zagadnienia teoretyczne, ale dla dobrze płatnych robotników krajów wysoko uprzemysłowionych są to problemy podstawowej wagi.

W sumie zwolennicy ewolucjonizmu sądzą, że wzrost oświaty i wzrost stopy życiowej w konsekwencji uprzemysłowienia — wywrą z czasem liberalizujący wpływ na ustrój Związku Sowieckiego.

Ale liberalizacja oznacza coś innego w Rosji czy w Chinach a zupełnie coś innego w Polsce. Rosja jest krajem, w którym nigdy nie było renesansu, nigdy nie było reformacji, nigdy nie było demokracji. Dla nas liberalizacja oznacza powrót na Zachód w sensie kultury i stylu życia — dla Rosji liberalizacja oznacza złagodzenie jej obecnego rosyjskiego, przez nikogo nie

narzuconego ustroju. Cały dramat stosunków polsko-rosyjskich zawarty jest w powyższej różnicy.

Dla Rosjan Polacy to przede wszystkim Słowianie — nie naród zachodni. W istocie jednak kulturalna zachodniość stanowi kościec naszej narodowej identyczności. Gdybyśmy kiedyś przestali być narodem zachodnim — przestalibyśmy być w ogóle narodem i państwem i przekształcilibyśmy się w jedną z nacji Związku Sowieckiego.

U dna — o czym inteligencja polska winna zawsze pamiętać — konflikt polsko-rosyjski nie jest konfliktem ani politycznym ani geopolitycznym tylko kulturalnym. To są najstraszliwsze konflikty, sięgające imponderabiliów. Nie przyjęliśmy prawosławia — nie przyjęliśmy sowieckiego komunizmu mimo racji politycznych i geopolitycznych — ponieważ zarówno prawosławie jak komunizm w sowieckim wydaniu nie były i nie są do pogodzenia ani z zachodnim chrześcijaństwem ani z zachodnią kulturą.

Racjami geopolitycznymi i politycznymi można uzasadnić konieczność oddania jednej trzeciej terytorium, konieczność sojuszu wojskowego, konieczność współpracy gospodarczej. Ale nie ma na świecie racji geopolitycznych, którymi można uzasadnić konieczność zmiany religii, konieczność zmiany poglądu na świat, poglądu na historię, na filozofię, na literaturę, na rzeźbę, malarstwo i muzykę.

Rosjanie mogą z nas uczynić lojalnych sąsiadów tylko za cenę uznania naszej zachodniości, za cenę uznania naszego naturalnego, przyrodzonego prawa do zachodniej kultury i zachodniej modły życia. Dopóki Rosjanie tego nie zrozumieją — konflikt będzie trwał. Jeżeli jednak kiedyś to zrozumieją, problemy geopolityki ułożą się wówczas harmonijniej i po sąsiedzku.

A teraz chciałbym sformułować tezę tego artykułu. Inteligenci i intelektualiści krajowi są znużeni latami eksperymentowania i gnębieni poczuciem *frustration*. Jeden z zagranicznych korespondentów, który niedawno odwiedził Polskę — ową atmosferę określił przedwojennym wiedeńskim powiedzonkiem: „sytuacja nie jest poważna ale jest beznadziejna".

Polacy odwiedzający Londyn często zadają mi pytanie: „czy jest dla nas jakaś realna nadzieja w odróżnieniu od „pobożnych życzeń?".

Odpowiadam nieodmiennie: „dopóki trwa konflikt — dopóty istnieje nadzieja. Gdy skapitulujecie, gdy wygaśnie konflikt — wygaśnie i nadzieja".

Inteligent w kraju musi akceptować geopolitykę i politykę jeżeli chce być czynny w rozbudowie i industrializacji. A należy być czynnym w tych dziedzinach. Ale „praca organiczna" nie wymaga akceptacji ideologii, filozofii i poglądu historycznego. Polska kultura — jeżeli mamy trwać jako naród — musi być i pozostać narodową w formie i zachodnio-europejską w treści. To nie ma nic wspólnego z socjalizmem. Jako naród zachodni możemy być państwem socjalistycznym od fundamentów po

ostatni szczebel państwowej drabiny. Nie możemy natomiast być państwem totalistycznym i komunistycznym — bo nie ma zachodniego totalizmu ani zachodniego komunizmu.

Komunizm zmieni się tylko pod naporem warunków. Zmienić komunizm to znaczy zmienić otoczenie — to znaczy postawić komunizm *vis à vis* nowej historycznej sytuacji.

Osobiście nie mogę oprzeć się wrażeniu, że inteligencja polska w Kraju choć zachowała poczucie swego znaczenia i ciężaru — zatraciła poczucie misji i kierunku. Zatraciła poczucie misji w okresie niezmiernie ważnym, kiedy mogłaby wywrzeć znaczny wpływ na ewolucję sytuacji w Polsce a pośrednio i w Rosji. Polska Ludowa nie jest krajem totalistycznym (w porównaniu z Sowietami), lecz jest krajem autorytatywnie rządzonym. Sprawa Pasternaka i „Lary"-Iwińskiej w Polsce Gomułki byłaby nie do pomyślenia. W Polsce istnieje margines dla ewolucji i naporu. Ale gdy zniknęli ze sceny rewizjoniści pozostała pustka, której nikt nie wypełnił.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Po konferencji moskiewskiej

Popularna w komunistycznych kołach Europy Wschodniej anegdota, że szczytem asekuracji jest jedzenie rosyjskiej kukurydzy chińskimi pałeczkami pozostaje mimo konferencji moskiewskiej nadal aktualna. Jest to zrozumiałe, bo jak słusznie powiedział Josip Broz-Tito, kompromis który osiągnięto w Moskwie jest „zgniłym kompromisem". Wiedzą o tym zdaje się również dobrze Rosjanie jak i Chińczycy. Inaczej nie byłoby tak hałaśliwej propagandy we wszystkich państwach komunistycznych na temat „niewzruszonej jedności".

W poprzednim artykule na ten temat wspominałem już o traktowaniu obywateli państw komunistycznych podczas narad moskiewskich jako społeczeństw niedorozwiniętych. System ten został zachowany również i po owym rzekomym porozumieniu. We wszystkich partiach informacje o przebiegu dyskusyj moskiewskich zostały ograniczone do członków Komitetów Centralnych. Wszędzie zarządzono jak najostrzejszą dyskrecję zaś protokoły zebrań i wszelkie dokumenty na temat konferencji są ponumerowane i przechowywane pod kluczem. Jest widocznie co ukrywać w tym „zwycięstwie twórczej myśli marksistowskiej" albo „triumfie idei internacjonalizmu proletariackiego".

Rzeczą bardzo znamienną jest fakt, że żadna partia nie opublikowała pełnego tekstu sprawozdań swoich przywódców o konferencji moskiewskiej, które wygłosili oni na plenarnych posiedzeniach Komitetów Centralnych. W Rosji Sowieckiej istnieją w tej sprawie dwa przemówienia. Pierwsze sprawozdanie złożył Chruszczow, który 6 stycznia wystąpił przed aktywem partyjnym w liczbie 1300 osób. Bardzo okrojoną wersję tego przemówienia prasa sowiecka opublikowała dopiero w przeddzień zakończenia obrad Komitetu Centralnego KPZS, tj 18 stycznia. Tegoż dnia złożył sprawozdanie przed Plenum KC Susłow, który przy redagowaniu przenudnej rezolucji 81 partii odegrał rolę głównego mentora. W obydwu enuncjacjach sowieckich na próżno by ktoś szukał choćby najmniejszych akcentów na temat rozbieżności czy ostrych przeciwieństw, które wystąpiły w toku obrad.

Podobnej taktyki trzymają się zresztą i Chińczycy. Gdy się czyta rezolucje ich Komitetu Centralnego, uchwalone na konferencji w Pekinie, w czasie od 14-go do 18-go stycznia, nie znajdzie się również żadnej konkretnej wzmianki o walce, która rozgorzała przed konferencją w Moskwie i która się tam w dalszym ciągu toczyła. Oczywiście, że rezolucje te odbiegają od uchwał frakcji Chruszczowa i dlatego w orbicie wpływów sowieckich nie opublikowano pełnego tekstu chińskiego (z wyjątkiem Albanii).

W innych partiach użyto rozmaitych sztuczek, aby ukryć niebezpieczną prawdę. Czesi, w myśl dawnej dewizy, że się nie warto angażować w niepewnych czasach po żadnej z dwóch skłóconych stron, opublikowali na temat przemówienia Novotnego o naradach moskiewskich 255 słów, na które składają się nic nie znaczące frazesy, za które nikt nigdy nie może w żaden sposób odpowiadać. Również „Nova myśl", teoretyczny organ tej partii, nie ogłosiła nic oprócz tekstu rezolucji moskiewskiej i manifestu o pokój.

Przeostrożny Gomułka, który nota bene odczekał, aż wszystkie partie odbyły posiedzenia, zwołał na ostatku na 20-go stycznia swój Komitet Centralny i złożył również sprawozdanie o przebiegu narady moskiewskiej. Do wiadomości społeczeństwa podano tylko fragmenty mowy i to zupełnie nieciekawe. Zrezygnowano ze względu na maksymalną tajemnicę z radiofonizacji przemówienia, gdyż bano się niedyskrecji techników. Kazano więc speakerowi odczytać z raportu tow. Wiesława jedyne ocenzurowane wyjątki.

Szczegółów na temat dyskusji i uchwał moskiewskich Gomułka również nie ujawnił, choć podobno w przemówieniu na Plenum powiedział kilka ciekawostek. Jak słychać, rozwodził się szeroko o taktyce tow. Chruszczowa, podkreślał swoje i delegacji PZPR zasługi, ale wszystkiego nie powiedział nawet członkom Komitetu Centralnego własnej partii. Prawdopodobnie są to skutki perswazji chińskich i nawet sowieckich o „plotkarstwie towarzyszy polskich".

Nieco rozmowniejszy był dyktator rumuński Gherghiu-Dej, który w swoim sprawozdaniu z Moskwy stwierdził bardzo autorytatywnie, że decyzja o zwołaniu konferencji listopadowej w jak najszerszym gronie partyj komunistycznych zapadła na naradzie w Bukareszcie latem 1960 roku. Wspomniał on również, że Chruszczow podczas obrad moskiewskich kilkakrotnie zabierał głos.

Bodaj że najciekawsze informacje opublikowano we wschodnim Berlinie. Mam na myśli sprawozdanie Waltera Ulbrichta oraz drugiego w hie-

rarchii partyjnej komunisty, Hermanna Materna, którzy przemawiali na posiedzeniu Komitetu Centralnego SED w połowie grudnia 1960 r. Paradoks, że właśnie kierownictwo jednej z najbardziej stalinowskich partii odważyło się na niesłychaną wylewność jest tylko pozorny. Zmusiła ich do tego specyficzna sytuacja SED, która znajdują się na pograniczu obozu socjalistycznego, ma do czynienia z naciskiem kontrofensywy socjaldemokratów zachodnio-niemieckich. Drugą przyczyną dlaczego Ulbricht powiedział więcej, niż Gomułka był fakt, że komuniści niemieccy wiosną i latem ub. r. zaangażowali się bardzo wyraźnie po stronie chińskiej i wobec tego zależało im nie tylko na zatarciu śladów poprzednich pomyłek, ale i na utwierdzeniu swych zwolenników w przekonaniu, że obecnie zasłużyli się względem Chruszczowa i jego taktyki.

Dowiedzieliśmy się więc, że przed zwołaniem obrad w Moskwie utworzono międzynarodową komisję redakcyjną, w skład której weszli przedstawiciele 26 partyj, reprezentujących 12 krajów bloku wschodniego i 14 innych. Ulbricht był jedynym komunistą, który otwarcie przyznał, że zarówno przed konferencją jak też w toku narad moskiewskich wystąpiły rozbieżności w poglądach na szereg spraw. Prawdopodobnie pragnął on w ten sposób podkreślić, że nie tylko SED, ale i inne partie nie miały jasnego stanowiska w odniesieniu do podstawowych zagadnień spornych. Wspomniał on — niestety tylko mimochodem — że w Moskwie wybuchł spór o to, czy należy przyjąć termin ,,linii generalnej'' czy nie. Jako argumentu za ,,linią generalną''użył on nader niejasnego wyjaśnienia, że gdyby odrzucono pojęcie o powszechnie zobowiązującej linii, to ,,w skomplikowanych sytuacjach, jak na przykład w sprawach granic, mogłoby dojść do wahań''. O jakich i czyich granicach myśli towarzysz Ulbricht nie dowiedzieliśmy się.

Odżegnując się od dawnych sympatii chińskich, które o ile mi wiadomo przysporzyły Ulbrichtowi wiele nieprzyjemności w Moskwie w czasie rozmów z Chruszczowem, pierwszy sekretarz SED stwierdził że w komunizmie międzynarodowym nie ma miejsca na frakcje, bo nie może być ani ,,zamerykanizowanego, ani zgermanizowanego ni też schińszczonego marksizmu''. W związku z tym mówca usiłował kilkakrotnie zapewnić komunistów niemieckich, że nadzieje wrogów klasowych na ,,tak zwane rozbieżności pomiędzy bratnimi partiami'' były zbyt pochopne. W innym miejscu Ulbricht wyraził przekonanie, że ,,przyjaźń'' pomiędzy Chinami a Związkiem Sowieckim w przyszłości będzie się umacniała. Odciął się zresztą od rewizjonistów, którzy się sprzeciwiali kolektywizacji i pragnęli utrzymania ,,kapitalistycznych elementów'' w gospodarce rolnej (czyżby to była maleńka wycieczka pod adresem tow. Gomułki?). Z drugiej strony główną winę za dogmatyzm i sekciarstwo Ulbricht zwalił na Albańczyków. Na skutek tego wybuchła zresztą pomiędzy nim a Enverem Hodżą awantura i Ulbricht musiał przeprosić komunistów w Tiranie.

Podobno Hodża wystąpił w Moskwie z propozycją utworzenia zagranicą Jugosławiańskiej Partii Komunistycznej na wzór owego Związku Patriotów Jugosławii, który istniał w Kominformie w latach walki Stalin-Tito. Mało tego, bo zażądał nawet, aby przedstawiciele takiej emigracyjnej, ,,rewolucyjno-marksistowskiej'' partii jugosłowiańskiej zostali natychmiast dokooptowani jako pełnoprawni uczestnicy konferencji moskiewskiej. Projekt ten, godzący frontalnie w politykę Chruszczowa miał wywołać u szefa partii sowieckiej wybuch wściekłości. Wówczas Chińczycy, którzy praw-

dopodobnie zainspirowali całą intrygę, umyli ręce i delegacja albańska znalazła się w odosobnieniu.

Pomijając te i podobne epizody, jakich nawiasem mówiąc było wiele, należy zwrócić uwagę na sprawy o wiele donioślejsze.

Najbardziej charakterystycznym zjawiskiem są metody, użyte w rozmaitych krajach bloku wschodniego, przy interpretacji uchwał moskiewskich. Chruszczow i Susłow uważali za celowe skupić się na sprawach dotyczących wojny i pokoju, przy czym w ich analizie tezy sowieckie o koegzystencji odniosły rzekomo w Moskwie pełne zwycięstwo. Chińczycy natomiast wyłuskali z deklaracji moskiewskiej przede wszystkim te elementy, w których imperializm amerykański zdefiniowany został jako główna przyczyna i główne źródło niebezpieczeństwa nowej wojny. Wreszcie Władysław Gomułka a częściowo i Janos Kadar wyciągnęli z uchwał na pierwszy plan te akcenty, w których zaaprobowano pewne elementy autonomii narodowej w „marszu ku socjalizmowi". W ten sposób w kilka miesięcy po naradzie moskiewskiej sprawdziły się przewidywania sceptycznych analityków deklaracji 81 partyj, a mianowicie, że stanowi ona zlepek *ad hoc* skleconych rozmaitych stanowisk i poglądów. Idąc obecnie o krok dalej możemy stwierdzić, że w międzynarodowej biurokracji komunistycznej nastąpił pewien proces dyferencjacji, spowodowany nie wolą tych czy innych przywódców partyjnych, ale procesami historyczno-społecznymi, które się odbywają wbrew tej woli. Mamy więc dziś do czynienia, mimo zapewnień o jedności ruchu komunistycznego, z podziałem na trzy frakcje: chińską sowiecką i polsko-węgierską, w których można też umiejscowić mniej lub bardziej dokładnie inne partie. W przyszłości proces ten będzie się stale pogłębiał.

Bohdan OSADCZUK

Kronika angielska

DLA KOGO?

W „Kontynentach" (nr 23/24) ukazała się interesująca dyskusja o „Kulturze" i „Wiadomościach". Jeden z uczestników dyskusji Bolesław Taborski powiedział m.in.:

„Jednakże nawet publicystyka Mieroszewskiego do pewnego stopnia jest przykładem w jak beznadziejnej sytuacji znajduje się emigracja. Bo właściwie dla kogo Mieroszewski pisze? Czy studiują go i uwzględniają jego postulaty politycy obcy albo krajowi?".

Tyle p. Taborski.

No, pewien procent polityków krajowych czytuje „Kulturę", a może czasami i obcy. Ale w końcu nie o to chodzi. W publicystyce, jak w każdej dziedzinie sztuki stosowanej, nie istnieje oczywiście pojęcie „sztuki dla

sztuki". Istnieje jednak pojęcie „słusznej sprawy", pojęcie „walki", pojęcie „misji". Dobra publicystyka jest pisana w pierwszej linii „dla czegoś" a nie „dla kogoś". Jako publicysta przede wszystkim służę pismu, które — jak Taborski określił reprezentuje „dobre tradycje polskiego liberalizmu i racjonalizmu mające szacowne korzenie w Oświeceniu". W obecnym okresie historycznym istnienie takiego pisma wydaje mi się rzeczą ogromnej wagi.

Na pytanie postawione przez Taborskiego odpowiedział inny członek dyskutującego zespołu a mianowicie A. Czerniawski: „Mieroszewski odegrał dużą rolę w kształtowaniu naszych poglądów. Musimy się z tym zgodzić".

Publicysta nie jest nigdy suflerem ministrów czy premierów. Rolą publicysty jest wpływać na opinię, wywierać wpływ na kształtowanie się poglądów.

Jeden z naszych Czytelników krytykując niemiłosiernie jakiś mój artykuł — zakończył swój list pytaniem: „Ciekawy jestem czy gdyby pan był ministrem spraw zagranicznych wygłaszałby pan równie niekonformistyczne poglądy z trybuny sejmowej?".

Na pewno — nie. Byłbym gładki, układny i konformistyczny — ponieważ rolą polskiego ministra spraw zagranicznych nie jest sekcjonowanie i nicowanie problemów politycznych, lecz przeciwnie, najczęściej łatanie.

Krytyk teatralny nigdy nie wyskakuje na scenę i nie demonstruje, jak należy grać Hamleta. Bywają jednak publicyści, którzy odstępują od tej zawodowej zasady z żałosnymi skutkami (Cat-Mackiewicz). Publicysta nie powinien nigdy dotykać realnej polityki. To są dwa całkowicie różne powołania i całkowicie inne sfery działalności.

Myślę również, że publicysta inaczej ocenia swoje własne artykuły niż Czytelnicy, a nawet inaczej niż jego redaktor. Bywają artykuły, które „robią szum", które wzbudzają dyskusje, które jedni namiętnie chwalą a inni namiętnie ganią. To mogą być dobre artykuły z punktu widzenia dziennikarskiego — bo artykuł winien skupiać na sobie uwagę i pobudzać do dyskusji. Ale za istotny i za ważny publicysta uważa artykuł, o którym wie, że powiedział w nim to, co należało koniecznie powiedzieć, a czego nikt inny poza nim by nie powiedział. Taki artykuł pisze się raz na dziesięć lat, a gdy ukaże się w druku mija często bez echa i niezauważony.

WĘDRÓWKI NARODU NIEMIECKIEGO

Komunizm przyspieszył i zaakceptował proces przesuwania się narodu niemieckiego ku Zachodowi. NRD traci przeciętnie 10 tysięcy osób miesięcznie. W tym parciu na Zachód jest coś żywiołowego i nieodwracalnego. Jak sobie Niemcy w tych warunkach wyobrażają powrót na europejski Wschód — stanowi ich tajemnicę.

W moim przekonaniu już od bardzo dawna nie istnieje w Niemczech „Drang nach Osten". Istnieje tylko tradycja, która w gruncie rzeczy stanowi historyczną ilustrację prądu od dawna martwego. W każdym narodzie istnieją tradycje, którym nie odpowiada już żadna żywa treść.

Owa tajemnicza re-orientacja kierunku trwa już od kilku dziesiątków lat. Niemcy płyną na Zachód. Z dzisiejszych polskich ziem nad Odrą i Nysą uciekali już przed wojną. Obecnie setkami tysięcy emigrują z wschodnich Niemiec. Nikt mnie nie przekona, że te setki tysięcy uciekające na Zachód to są wszystko polityczni zbiegowie. Większość z tych ludzi nie ma nic wspólnego ani z komunizmem, ani z polityką, ani z Ulbrichtem. Uciekają na Zachód z wielu przyczyn. Zachód jest synonimem wysokiej stopy życiowej i łatwiejszego życia. A poza tym każdy Niemiec ma świadomość faktu, że jego naród zwrócony jest twarzą ku Zachodowi.

Istnieją jeszcze i inne przyczyny tego zjawiska. Prze się zawsze tam, gdzie jest najmniejszy opór — ale o tym za chwilę.

Jeżeli owo falowanie ku Zachodowi utrzyma się np. przez najbliższe dziesięć lat — Niemcy nie tylko nie będą miały żadnych szans odzyskania ziem nad Odrą i Nysą — ale Niemcy wschodnie będzie można utrzymać przy życiu tylko rękami polskich imigrantów. Niemcy wschodnie są małym krajem o nikłej rozrodczości i nie mogą dziesiątkami lat tracić bezkarnie setek tysięcy ludzi. Jeżeli odpływ na Zachód będzie się utrzymywał to przyjdzie moment, że trzeba będzie masowo sprowadzać specjalistów i robotników ,,zza rzeki" by podtrzymać normalne funkcjonowanie gospodarki. W perspektywie najbliższych 20 czy 30 lat — wydaje mi się, że Polacy mają większe szanse ,,skolonizowania" Drezna niż Niemcy Wrocławia.

Ale to nie jest cała ,,story". Kto zaręczy czy owa tendencja nie zamieni się w ,,Drang"? Tym, którzy się w tym miejscu uśmiechną należy przypomnieć, że ,,Drang" przybiera zawsze dwie formy: przyjaznego sojuszu albo naporu.

Osobiście sądzę, że tego typu ruchy determinowane są podobnie jak rozlewiska rzek. Decyduje masa ludnościowa i dynamika rozrodczości. Instynkt dyktuje Niemcom parcie na Zachód — bo Zachód jest miękki, o słabej dynamice ludnościowej, pacyfistyczny i bogaty.

Polityka kanclerza Adenauera — katolika i Europejczyka — stanowi klasyczny przykład pokojowego ,,Drang nach Westen". Ale czy zawsze tak będzie?

Ci politycy europejscy, którzy sądzą, że Rosjanie w gruncie rzeczy nie mają niczego do zaoferowania Niemcom ponieważ nie mogą poświęcić ani Ulbrichta, ani granicy na Odrze i Nysie — winni pamiętać, że treścią nowego Rapallo może być sowieckie poparcie ,,Drang nach Westen". Uzbrojonym Niemcom Rosjanie mogą pewnego dnia powiedzieć: ,,po Stalingradzie na Wschodzie nie macie czego szukać — ale jeżeli żywicie jakieś zachodnie apetyty — my je poprzemy". Cóż mogłoby być korzystniejszego dla polityki sowieckiej jak rozbicie jedności kontynentu niemieckimi rękami? Powiedzmy, na początek można ożywić ideę ,,Anschlussu" z Austrią. Republika austriacka dokonała wielkiego skoku w uprzemysłowieniu i stanowi dziś znacznie bardziej soczysty kąsek niż polskie ziemie nad Odrą i Nysą. I Wiedeń to w znacznie większym stopniu Zachód niż Wrocław.

SZAMBELANOWIE PRL

W polskim ,,nowym wspaniałym świecie" dzieją się rzeczy jakie Huxleyowi nigdy się nie śniły.

„Kościół Polsko-Katolicki" — choć nie proszony, przysyła mi wszystkie swoje wydawnictwa. W ostatnim numerze wychodzącego w Warszawie czasopisma „Rodzina" (nr 4/29) w rubryce zatytułowanej: „Nominacje" — czytam. Okulary przecieram, oczom nie wierzę — znowu okulary przecieram i znowu czytam.

„J.E. Ksiądz Biskup Ordynariusz Dr M. Rode zamianował p. inż. Mgr. Jana Getlera-Girtlera — *szambelanem*".

Jak powszechnie wiadomo można być szambelanem tylko suwerena — innymi słowy głowy panującej. Królowa angielska mianuje lordów szambelanów, ale najwyższy duchowny dostojnik Kościoła Anglikańskiego Arcybiskup Canterbury szambelanów nie mianuje, ponieważ nie jest suwerenem. Papież nadaje tytuły, ordery i mianuje szambelanów, nie jako Biskup Rzymu, lecz jako suweren państwa watykańskiego. Ojciec Św. jest nie tylko głową Rzymskiego Kościoła, ale jest również panującym monarchą.

Lecz na miły Bóg — jakiego suwerena „szambelanem" jest nieszczęsny inżynier-magister — Jan Getler-Girtler?

Jest w pewnym sensie wzruszająca owa chęć imitowania „dawnych dobrych czasów". Mamy już szambelanów — jeszcze trochę cierpliwości i będziemy mieli „hrabiów ludowych".

Oportunistycznym komunistą zostać jest łatwo. Przenieść się na łono narodowego kościoła — jeszcze łatwiej. Ale zamordować w sobie małego snobistycznego, burżuazyjnego durnia jest niepomiernie trudniej. Dureństwo i snobizm mają fantastycznie długą tradycję. Znacznie dłuższą niż socjalizm.

SPROSTOWANIE

Adolf Rudnicki w swoich „Niebieskich Kartach" („Świat" nr 4 — daty 22.1.61.) — pisze między innymi:

„Jeden z najbardziej polskich pisarzy, którzy powinien mieszkać w Radomiu, Witold Gombrowicz, żyje w Buenos Aires, ja zaś siedzę w Warszawie. W Buenos Aires istnieje wydawnictwo, które tylko do roku 1957 (późniejszych katalogów nie miałem w ręce) wydało 150 pozycji na temat życia i zagłady Żydów polskich, o czym nie wiedział nawet Jerzy Giedroyc z „Kultury" paryskiej, który wie wszystko".

Czy Gombrowicz powinien mieszkać w Radomiu — jest rzeczą wątpliwą. Ale natomiast faktem i to niewątpliwym jest, że nie tylko wiedzieliśmy, ale i pisaliśmy o wydawnictwach Centralnego Związku Żydów w Argentynie. Mamy na myśli wydawnictwa, które pod nazwą „Dos Poilisze Judentum" ukazywały się pod redakcją Marka Turkowa, (Turkow jeszcze przed wojną był znanym żydowskim dziennikarzem w Polsce).

Z okazji ukazania się setnego tomu cytowanego powyżej wydawnictwa zamieściliśmy artykuł p. Gliksona pt. „Żydostwo Polskie" („Kultura" nr 1/87 — 2/88 z r. 1955).

LONDYŃCZYK

Wspomnienie

W dzień Wilii zmarł w tragicznych okolicznościach w Szkocji dr Jerzy Cyrankiewicz. Dr Cyrankiewicz, były żołnierz Brygady Karpackiej i weteran walk w Tobruku, odkomenderowany został podczas wojny do Edynburga celem ukończenia tam studiów, zaczętych w Krakowie.

W Edynburgu brał czynny udział w życiu polityczno-społecznym w organizacjach studenckich. Działalność Jego cechowała rozwaga, tolerancja odrębnych przekonań, a przede wszystkim głęboka miłość Ojczyzny i troska o dobre imię Polski wśród obcych. Piszący te słowa dobrze pamięta podróż, jaką odbył ze zmarłym do Londynu do ówczesnego premiera R.P. St. Mikołajczyka, celem zaapelowania imieniem postępowej młodzieży o zaniechanie jego niefortunnego wyjazdu do Moskwy.

Po wojnie i demobilizacji dr Cyrankiewicz borykał się przez dłuższy okres z trudnościami finansowymi i jest miarą siły Jego charakteru, że nie wybrał prawdopodobnie dla siebie życiowo łatwiejszej drogi — powrotu do Kraju.

Z drugiej strony, jako kochający syn i dobry lojalny brat wycofał się z aktywnej pracy politycznej na emigracji i niechętnie dyskutował problemy polityczne nawet w gronie bliskich przyjaciół.

Osiedlił się wreszcie w węglowym ośrodku szkockim i jak prawdziwy lekarz społecznik zaskarbił sobie miłość i wdzięczność swych pacjentów, prostych górników i ich rodzin.

Śmierć dr. Cyrankiewicza jest stratą nie tylko dla rodziny i grona Jego przyjaciół.

Dr. Stefan GRZYBOWSKI

W zasadzie ,,Kultura'' nie zamieszcza wspomnień czy nekrologów. Jeśli tym razem robimy wyjątek to przede wszystkim dlatego, by przełamać postające na emigracji coraz liczniejsze ,,tabu'', obejmujące już nie zagadnienia ale nawet nazwiska. Te ,,tabu'' są tak silne, że nawet ci co się z nimi nie zgadzają nie mają odwagi publicznie z tym walczyć. *Redakcja.*

Konspiracje w lotnictwie polskim (1)

W londyńskim podziemiu

Od kilku lat pracuję w londyńskim podziemiu. Nic romantycznego — po prostu jestem kasjerem na jednej ze stacyj podziemnej kolejki, *London Underground*. Jeden z kolegów spotkawszy mnie po długiej przerwie powitał mnie następująco: ,,Słyszałem że wróciłeś do podziemnej roboty Młody Turku!'' Żart tynfa wart, ale ziarno prawdy w nim było, gdyż i mnie zaliczano do Młodoturków, chociaż nie należałem do naszego londyńskiego podziemia w czasie wojny.

Zamiar napisania zarysu historii konspiracji w lotnictwie polskim powziąłem wkrótce po wojnie, toteż zbierałem i porządkowałem materiały, robiłem wyciągi, uzupełniałem za świeżej pamięci opisy wydarzeń i rozmów spisywane zwyczajem sztabowym niemal co dnia, nie zabierałem się jednak do opracowania tematu, sądząc, że może jeszcze poczekać. Trudno jest pisać o konspiracjach nie popełniając niedyskrecji które mogą sprawić przykrość kolegom-lotnikom; w szczególności odnosi się to do ostatniej konspiracji. Książka Tadeusza Katelbacha wzbudziła pierwsze wątpliwości czy dalsze zwlekanie jest wskazane, ale dopiero artykuł p. Sępa-Szarzyńskiego pt. ,,Trop legendy'' w Nr. 9/143 ,,Kultury'' przekonał mnie, że nadszedł już czas na wykorzystanie wszystkich posiadanych materiałów dla naświetlenia tego ciekawego zjawiska jakim były konspiracje w naszym lotnictwie.

Autor ,,Tropu legendy'' opisał dzieje konspiracji z lat 1940-1945, czyli z okresu pobytu naszego lotnictwa na terenie W. Brytanii, oraz wspomniał o ,,łańcuszkach dobrych przyjaciół'' powstałych w Rumunii, natomiast pominął milczeniem konspiracje

---

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

z okresu pokojowego. Nie przypuszczam aby zrobił to celowo, ale uderzyło mnie to jako bardzo charakterystyczne i przypomniało mi rozmowę z pewnym młodym dowódcą dywizjonu pod koniec 1942 roku. Nie wymienię jego nazwiska, niech mu ta ziemia angielska lekką będzie, nie był bynajmniej jedynym, który tak myślał. Mówił tak mniej więcej do starszego kolegi: ,,Panie, co było w Polsce to nie jest ważne, to nie było żadne latanie. Tu dopiero nauczyli nas latać, to jest prawdziwe lotnictwo. Pan ma duże doświadczenie, owszem, owszem, ale to na tej wojnie nic nie warte. Musi Pan przejść solidne przeszkolenie od początku, w O.T.U., ja na to w dywizjonie nie mam czasu''. Wielu tak myślało, że niby prawdziwe lotnictwo polskie zaczęło się dopiero na Wyspie. Przez analogię pomyślałem sobie czytając ,,Trop legendy'', że konspiratorzy z grupy z Sępa-Szazyńskiego także zapewne sądzili iż oni byli pierwszymi, którzy chcieli uzdrowić lotnictwo i zbudować dla Polski silne skrzydła.

W opisie dziejów konspiracji na Wyspie znalazłem nieściłości i niedomówienia, ale przede wszystkim wyraźne dążenie do pomniejszenia roli jaką konspiracja odegrała, i to właśnie było głównym bodźcem do opracowania niniejszego szkicu.

Cztery konspiracje

Na przestrzeni dwudziestu pięciu lat, od zakończenia wojny polsko-rosyjskiej w 1920 roku do końca wojny światowej w 1945 roku, były w lotnictwie polskim cztery konspiracje:

— pierwsza w roku 1925/26
— druga w latach 1936-1939
— trzecia w roku 1939/40
— czwarta w latach 1940-1945.

Cel wszystkich konspiracyj był ten sam: uzdrowienie lotnictwa dla dobra Polski. Drogi do celu, a stąd środki i metody działania, były różne.

Pierwsza i czwarta konspiracja, które powstały w okresach krytycznych, wybrały pod naciskiem okoliczności i częściowo pod wpływem dynamizmu przywódców, drogę krótszą — drogę rewolucji. Druga konspiracja, która po pewnym czasie ujawniła się i miała ciche poparcie oficjalnych czynników, wybrała drogę ewolucji. Trzecia była w rzeczywistości kontynuacją drugiej, a w czasie krótkiego swego istnienia nie przejawiła większej działalności, ale obrała w założeniu swoim również drogę ewolucji.

Konspiracje które wybrały drogę rewolucji widziały jako jedyny środek prowadzący do celu radykalną zmianę dowództwa przez obsadzenie go swoim ludźmi. Metody działania tych dwóch konspiracji były podobne: raporty, protesty, współpraca z ugrupowaniami politycznymi, anonimowe artykuły, własne lub inspirowane. Zasadnicza różnica między tymi konspiracjami była ta, że pierwsza zadowoliła się skupieniem małego zespołu, co w rezultacie ułatwiło zachowanie tajemnicy, natomiast czwarta sięg-

nęła niemal do wszystkich jednostek lotniczych dla zwerbowania członków, co wkrótce zrodziło plotki, domysły i podejrzenia, ze szkodą nie tylko dla konspiracji, ale również dla Sprawy.

Druga konspiracja widziała przed sobą długą drogę do celu, obliczaną na pięć do dziesięciu lat, a jako środek dla uzdrowienia lotnictwa (w rzeczywistości stawiała sobie ambitny plan uzdrowienia całego życia społecznego w Polsce) uważała skupienie jak największej ilości ideowych ludzi, wierząc, że ci z nich którzy po kilku latach dojdą do wyższych stanowisk dzięki swoim zaletom charakteru i umysłu, wprowadzą pożądane zmiany. Metody działania tej konspiracji obejmowały samokształcenie się członków, dyskusje zbiorowe, odczyty, artykuły w prasie i czasopismach, wzajemną pomoc moralną i materialną, praktyki religijne, świecenie dobrym przykładem w służbie i w życiu prywatnym.

Trzecia konspiracja była w dużej mierze, jak już wspomniałem, kontynuacją drugiej, stawiała sobie jednak skromniejsze zadanie do spełnienia, to jest wyłącznie w ramach sił zbrojnych, a jej metody działania ograniczały się praktycznie do zebrań dyskusyjnych małych zespołów i propagandy żywym słowem prowadzonej.



Zdaje sobie sprawę, że niniejszy zarys historii konspiracyj w lotnictwie polskim może być dla niejednego Czytelnika rewelacją, a w związku z tym zrodzić pytanie na jakich materiałach źródłowych opierałem się pisząc go. Czuję się więc w obowiązku dać wyjaśnienie.

Wiadomości o pierwszej konspiracji czerpałem głównie z dwóch źródeł drukowanych, które podaję niżej, częściowo z rozmów ze starszymi lotnikami. Drugą konspirację znam dobrze dlatego, że byłem przy jej narodzinach i przyjaźniłem się z jej przywódcami do września 1939 r.; o trzeciej wiem mało, ale z pierwszej ręki, a że nie przejawiła ona większej działalności, więc nie przypuszczam aby miało to większe znaczenie. Wiadomości o czwartej konspiracji pochodzą z różnych źródeł, głównie jednak z osobistych zetknięć z członkami konspiracji oraz z obserwacji działalności całej organizacji, tj. obejmującej wszystkie trzy części sił zbrojnych. Poświęcam jej najwięcej miejsca, raz dlatego że istniała najdłużej, po drugie dlatego, że celem sprostowania pewnych twierdzeń autora „Tropu legendy" muszę przytoczyć wydarzenia i rozmowy, które w syntetycznym przedstawieniu konspiracji byłyby zbędne.

Lotnictwo polskie od 1919 do 1925 r.

Dla należytego zrozumienia okoliczności w jakich powstała pierwsza konspiracja podaję skrót historii lotnictwa; opiera się on na „Księdze ku czci poległych lotników", wydanej w War-

szawie w 1933 roku; naczelnym redaktorem księgi był mjr. szt. gen. pil. Marian Romeyko.

W każdym z trzech zaborów powstały samorzutnie jednostki lotnicze z inicjatywy lotników-Polaków; ponadto w różnych częściach Rosji były próby organizowania lotnictwa. W ciągu 1919 roku ten okres samopowstawania ustąpił okresowi celowej i wnet scentralizowanej organizacji kierowanej przez utworzone władze. W maju 1919 r. przybyło do Polski 7 eskadr francuskich które podlegały dowództwu Armii gen. Hallera. W dniu 25 września 1919 r. odrębne dotychczas lotnictwa dzielnicowe zostały złączone w jedną całość pod dowództwem gen. pil. Gustawa Macewicza, dowódcy Wielkopolskich Wojsk Lotniczych.

Pułkownik Macewicz, dowódca rosyjskiego lotnictwa frontu zachodniego, był jednym z najstarszych pilotów świata, skończył bowiem pilotaż w 1911 roku. Wezwany przez gen. Dowbora-Muśnickiego przybył do Poznania 15 stycznia 1919 i rozpoczął organizowanie wielkopolskiego lotnictwa. W chwili zjednoczenia całego lotnictwa bilans jego pracy był następujący: inspektorat wojsk lotniczych w Poznaniu, 4 wielkopolskie eskadry bojowe, wielkopolska grupa lotnicza przy dowództwie Frontu Wielkopolskiego, stacja lotnicza w Ławicy ze szkołą pilotów, warsztatami i składami. Wielkopolska dostarczała przez dłuższy czas sprzęt dla lotnictwa innych dzielnic. Gen. Macewicz jako dowódca lotnictwa i później szef departamentu lotnictwa do końca 1922 r. — nie latał; nie pozwalało mu latać od dawna nadwyrężone zdrowie; dokuczała mu astma i miał uszkodzony kręgosłup wskutek wypadku lotniczego. Na ogół nikt się nie dziwił że dowódca lotnictwa nie latał, rozumiano oczywiście, że miał poważniejsze i bardziej odpowiedzialne zadania; podobnie jak nie oczekiwano od dowódców dywizyj aby brali udział w zaprawie marszowej i w walce na bagnety, a od dowódców pułków artylerii bicia rekordów w obsłudze dział, tak też nie oczekiwano od dowódcy lotnictwa latania na zadania bojowe lub loty okrężne.

Piszę o tych szczegółach dlatego, aby wykazać, że brak samokrytycyzmu i poczucia odpowiedzialności jest wspólną cechą przywódców konspiracji pierwszej i czwartej. Gen. bryg. pil. inż. L. Rayski w swej książce „Słowa prawdy o lotnictwie polskim 1919-1939" wydanej w Londynie w 1948 r. tak pisze o gen. Macewiczu (str. 13): „Nad tym wszystkim — szef departamentu lotnictwa, gen. Macewicz. Rotmistrz kawalerii rosyjskiej, lat około 40, który przesłużywszy w eskadrach rosyjskich ze cztery lata, hołdował przekonaniu, rozpowszechnionemu do dnia dzisiejszego, że to wystarczy by się 'znać na lotnictwie'. Człowiek uczciwy, gentleman i zupełnie pewien — jak większość ludzi w jego wieku — że tyle się już w życiu nalatał, iż nawet nie wypada mu siąść do samolotu".

Lekceważący zwrot „ze cztery lata" traci jednak na zamierzonej ironii, gdy się czyta własny życiorys autora na stronie

14, dowiadujemy się bowiem, że autor na jesieni 1915 roku wstąpił do armii tureckiej, w której otrzymał przeszkolenie pilockie i obserwatorskie, a ponieważ wiadomo iż przeszkolenie pilockie samo trwa około jednego roku, to w połączeniu z obserwatorskim nie mogło trwać mniej niż rok, nawet przy zdolnościach niemieckich instruktorów, z czego wynika, że sierżant a później podporucznik Rayski mógł służyć w eskadrach najwyżej ,,ze dwa lata''. A przecież wtedy gdy stawiał pierwsze kroki jako pilot bojowy — Macewicz był podpułkownikiem i dowódcą dywizjonu lub już dowódcą lotnictwa frontu. Kto więc znał się z tych dwóch panów lepiej na lotnictwie? Nie trudno chyba zgadnąć.

Po tej dygresji wracam do historii lotnictwa. W czasie wojny 1919-1920 mieliśmy 20 eskadr, jednak ich siła bojowa odpowiadała w rzeczywistości zaledwie 8 lub 9 eskadrom, gdyż stan sprzętu i personelu latającego był w większości eskadr opłakany. Tak na przykład 19 eskadra myśliwska wyruszając na front 25 kwietnia 1920 r. miała trzech pilotów: dowódca — por. Antoni Mroczkowski, ppor. Stefan Pawlikowski i pchor. Władysław Turowski. Działalność bojowa lotnictwa była ofiarna i skuteczna, zarówno w zakresie rozpoznania jak i działań szturmowych, natomiast natężenie działań było przeciętnie bardzo małe. Wspomniana 19 eskadra wykonała 121 lotów bojowych, sławna 7 Kościuszkowska 462; 21 niszczycielska, która pod dowództwem por. Rayskiego wyszła na front w początku maja 1920 r. wykonała 117 lotów bojowych, 17 wywiadowcza 58, 18-ta tylko 38. Największą ilość lotów bojowych zapisała w swej historii 6 eskadra, mianowicie 670, ale działała ona od 5 listopada 1918 roku. W sumie lotnictwo polskie wykonało 4852 loty bojowe w czasie 9464 godzin. Dla porównania z wysiłkiem bojowym naszego lotnictwa w czasie drugiej wojny światowej wystarczy może stwierdzić, że jeden tylko dywizjon, 304, w jednym roku 1944 wykonał 1010 lotów bojowych w czasie 9295 godzin, a 8 dywizjonów myśliwskich które pod względem ilości samolotów były odpowiednikiem całego naszego lotnictwa w 1920 r., miały bowiem 96 samolotów, wykonały w 1941 roku 12982 loty bojowe w czasie 16721 godzin.

Po zakończeniu wojny przystąpiono do reorganizacji lotnictwa i jednocześnie zmniejszono ilość eskadr do 13. W sierpniu 1921 r. powstały trzy pułki lotnicze, a w latach 1923-1925 jeszcze trzy.

Na początku 1923 r. minister spraw wojskowych gen. Sosnkowski powołał na dowódcę lotnictwa generała francuskiego Leveque. Obowiązki zastępcy szefa departamentu pełnił podpułkownik Rayski, szef wydziału zakupów departamentu.

W czerwcu 1924 r. nowy minister, gen. Sikorski, powołał na szefa departamentu lotnictwa pułkownika Włodzimierza Zagórskiego, b. szefa departamentu przemysłu wojennego.

Konspiracja przedmajowa

Wiadomości o pierwszej konspiracji w lotnictwie pochodzą z dwóch źródeł. Pierwszym jest opracowanie Komisji, powołanej w związku z wynikiem Kampanii Wrześniowej, część pt. Lotnictwo Polskie, której redaktorem był kapitan obserwator rezerwy dr. Tadeusz Cyprian, sędzia powołany. Opracowanie opiera się na protokołach zeznań i raportach 120 osób, w tej liczbie czterech generałów (Kalkus, Krzemieński, Litwinowicz, Rayski), 85 oficerów lotnictwa, oraz 31 oficerów wojska i cywilnych inżynierów. Drugim źródłem jest książka — biały kruk — jednego z członków konspiracji, ppłk. Januarego Grzędzińskiego, legionisty i lotnika, wydana w Warszawie w 1936 roku, pt. „Maj 1926, kartki z pamiętnika".

Charakterystykę okresu urzędowania gen. Zagórskiego przytaczam z dwóch źródeł. W „Księdze ku czci poległych lotników" na str. 241 znajduje się następująca opinia, zapewne urzędowa, skoro księga była wydana za wiedzą szefa lotnictwa — gen. Rayskiego.

„Dalsze wysiłki, które nastąpiły w 1924-26 r. doprowadziły do utworzenia dalszych pułków: 4-go w Toruniu, 6-go we Lwowie i 11-go w Lidzie. Nowe wytyczne organizacyjne przewidywały utworzenie jednolitych pułków lotniczych, a więc specjalnie wywiadowczych, bombardujących lub myśliwskich. W tym przeświadczeniu sformowano 11-ty pułk myśliwski.

Słuszne i pożądane zwiększenie lotnictwa było zarządzone nieco przedwcześnie, ponieważ brak było jeszcze wówczas naturalnych podstaw rozwojowych. Przemysł krajowy nie był zorganizowany, budownictwo lotnicze nie istniało niemal zupełnie, a szkoły nie miały racjonalnych podstaw. Nowopowstałe pułki już na początku istnienia walczyły z niesłychanymi trudnościami, dającymi się porównać tylko z wojennymi warunkami organizacji. Stare formacje, uszczuplone wskutek wydzielenia z nich personelu i sprzętu, wegetowały bez nadziei poprawy. Lata 1924-1926 stanowią tedy dla lotnictwa przełomowy okres, wywołany zbyt szybkim rozwojem, bez zapewnienia mu poprzednio podstaw personalnych i materiałowych".

W opracowaniu dr. Cypriana na str. 10 znajduje się następująca charakterystyka tego okresu:

„Okres rządów gen. Zagórskiego można by nazwać okresem radosnej twórczości przy małej znajomości przedmiotu. Gen. Zagórski przy swej niespożytej energii chciał tworzyć wielkie lotnictwo, dążył do stworzenia kadr ludzi, a przede wszystkim chciał im dać sprzęt, którego było bardzo mało. Że zaś fabryki krajowe były bardzo słabe, opierał się w dużej mierze na zakupach zagranicznych, nie zawsze szczęśliwych, bo za mało się znał na rzeczy".

Tutaj następuje kilka przykładów zakupów gen. Zagórskiego, po czym opinia:

„Zakupów tych było więcej w tym okresie i wywołały one reakcję w postaci ataków prasy i Sejmu, zarzucających gen. Zagórskiemu, że fawory

zuje dostawy zagraniczne z zaniedbaniem przemysłu krajowego i pominięciem potencjału przemysłowego własnego. Ataki te były stałe, dość głośne, podsycali je zaś przemysłowcy krajowi oraz te odłamy prasy i nawet lotnictwa samego, które były niechętne gen. Zagórskiemu".

W okresie zmiany szefa departamentu lotnictwa ppłk. Rayski był poważnie chory. W sierpniu 1924 r. został odkomenderowany na roczny kurs wyższej szkoły wojennej, a gen. Zagórski podał go do awansu na pełnego pułkownika, którym został mianowany w grudniu 1924 r. Dodać należy, że już w 1922 r. otrzymał dyplom inżyniera na wydziale inżynierii lądowej politechniki we Lwowie. Po ukończeniu więc kursu W.S.Woj. miał wybitne kwalifikacje na wysokie stanowisko: był oficerem dyplomowanym, inżynierem, pilotem i obserwatorem o dużym doświadczeniu bojowym, miał za sobą praktykę sztabową. Brak mu było jedynie stażu dowodzenia na wyższym szczeblu, dowodził bowiem tylko dywizjonem przez kilka miesięcy. Nie został jednak dowódcą pułku, lecz otrzymał przydział do biura ścisłej rady wojennej.

Zrozumiałe jest, że fachowcy, zwłaszcza ci którzy byli najbliżej centrali, a więc w Warszawie, pierwsi ustosunkowali się krytycznie do gospodarki gen. Zagórskiego. W opracowaniu dr. Cypriana czytamy na str. 8 co następuje:

,,Grono oficerów niezadowolonych z gen. Zagórskiego zaczęło planową akcję, mającą na celu spowodowanie zmiany na stanowisku szefa departamentu. Zebrania tych oficerów odbywały się w mieszkaniu kpt. Mrówki, razem z którym mieszkał ówczesny płk. Rayski i ponieważ brali w nich udział zawsze ci sami ludzie, zespół ten nazwano ,,Klubem Mrówczym". Klub ten odegrał potem poważną rolę w polskim lotnictwie, a to z uwagi na wchodzące w jego skład osobistości".

Jak wynika z podanych powyżej dwóch źródeł, do Klubu Mrówczego należeli: płk. de Beaurain, płk. Rayski, ppłk. Grzędziński, ppłk. Zych-Płodowski, mjr. Filipowicz, mjr. Kalkus, mjr Makowski, mjr. Kwieciński, kpt. Piątkowski, kpt. Mrówka i kilku innych. Na dobro tej pierwszej konspiracji należy zapisać fakt, że nie szerzyła ona propagandy przeciw gen. Zagórskiemu w pułkach i właściwie członkowie jej byli wyłącznie niemal oficerami centralnych instytucyj. Miała jednak konspiracja poparcie wybitnych legionistów, którzy z innego powodu zamierzali ,,wykończyć" gen. Zagórskiego.

Pod koniec 1925 r. płk. Rayski złożył drogą służbową przez szefa sztabu generalnego, gen. Kesslera, raport do ministra spraw wojskowych gen. Żeligowskiego, w którym przedstawił braki i niedomagania lotnictwa. Oddaję teraz głos dr. Cyprianowi:

Str. 9: ,,Na początku 1926 roku zaczęły się ukazywać w 'Robotniku' ostre artykuły krytykujące stosunki w lotnictwie i politykę Zagórskiego, z ich treści zaś wynikało że pisał je fachowiec. Przez przypadek wykryło

się, że autorem ich jest kpt. Mrówka, którego Zagórski usunął z referatu budowlanego Departamentu Aeronautyki za jakieś niewyraźne kontakty z firmami budowlanymi, prowadzącymi budowy dla Departamentu. Mrówka został aresztowany, znaleziono w jego mieszkaniu rękopisy artykułów (razem z kpt. Mrówka mieszkał wówczas płk. Rayski), sprawa narobiła hałasu...".

Dodać tu należy szczegół, który później miał swoje echo. Mianowicie, gen. Zagórski zlecił aresztowanie i nadzór nad kpt. Mrówką ówczesnemu majorowi Sznukowi.

Tymczasem jednak szła akcja przeciw gen. Zagórskiemu na drodze politycznej. Cytuję z książki Januarego Grzędzińskiego ze strony 21:

„Zaatakowałem Miedzińskiego za losy interpelacji sejmowej w sprawie lotnictwa. Była ona tak rzetelnie opracowana, że gen. Zagorski powinien był się położyć ostatecznie.

Owoc naszej wspólnej z Rayskim, iście mrówczej (bo robionej w mieszkaniu kpt. Mrówki) pracy — interpelacja dawała rzetelny, pełny obraz bluffu lotniczego, już poza skandalem Frankopolu — demaskowała cały ten kostium poliszynela przeróżnych typów według gustu gen. Zagórskiego: samoloty bez hangarów, raidy bez sensu i przedstawiała całe niebezpieczeństwo takiej reklamiarskiej polityki w lotnictwie. U Miedzińskiego w mieszkaniu kilkakrotnie omawiałem różne dodatkowe argumenty. Kościałkowski miał w tej sprawie przemawiać.

W rezultacie Zagórski ocalał, a co najważniejsze, że gospodarki w lotnictwie z ramienia rządu bronił gen. Norwid. Zgadnij Jezu, kto Cię bije...".

Gen. Zagórski został usunięty wskutek innej akcji; mianowicie, 17 marca 1926 r. redaktor Stpiczyński wygrał proces, wytoczony mu z ramienia ministra spraw wojskowych o obrazę gen. Zagórskiego; zarzut postawiony gen. Zagórskiemu polegał na tym, że w Legionach prowadził wywiad austriacki przeciwko legionistom. Gen. Zagórski został zawieszony w czynnościach, a w kwietniu minister gen. Żeligowski powierzył kierownictwo departamentu aeronautyki płk. Rayskiemu.

Jak wiadomo, legioniści robili już przygotowania do zamachu stanu. Wypadki majowe zastały jednak lotnictwo prawie zupełnie niezorientowane i nieprzygotowane. Właściwie można powiedzieć, że poza konspiracją, czyli Klubem Mrówczym, nikt nie stanął po stronie Marszałka Piłsudskiego. Oto co pisze ppłk. Grzędziński — legionista i lotnik: (str. 37).

„Przy telefonie siedzi ppłk. Kwiatek i zdaje się zbiera sytuacyjne meldunki. Woła mnie do telefonu, bym zbierał wiadomości z lotnictwa. Według dotychczasowych relacyj jest źle. Rayski został zaskoczony przybyciem w ciągu dnia gen. Zagórskiego na lotnisko i objęciem przez niego władzy. Nic nie udało się utrzymać. Znajduję Rayskiego pod numerem telefonu kpt. Mrówki. Jest u niego w mieszkaniu na lotnisku".

Dalej na stronie 107 autor pisze tak:

„Gen. Zagórski opanował lotnictwo w Warszawie i ściągał lotników z innych garnizonów, jak Kraków, Poznań itp. Po stronie Marszałka zgło-

sił się jeden tylko lotnik, por. Sadowski, który przyleciał ze szkoły w Grudziądzu, nie mówiąc o tych kilku którzy, jak płk. Rayski i Płodowski, zgłosili się do naszych oddziałów lądowych".

Dr Cyprian dodaje do liczby lotników, którzy opowiedzieli się po stronie Marszałka, jeszcze majorów Makowskiego i Kwiecińskiego oraz kpt. Piątkowskiego. Jest więc cały Klub Mrówczy.

Gen. Zagórski, mianowany przez rząd Prezydenta Wojciechowskiego dowódcą lotnictwa, został po zamachu aresztowany; przesiedział szereg miesięcy w więzieniu na Antokolu, następnie przywieziony do Warszawy, po czym rzekomo zwolniony i odstawiony na dworzec — zaginął bez śladu. Dr Cyprian pisze: „....w tajemniczych okolicznościach został zabity". Natomiast gen. Rayski w swej książce na str. 23 nadal ironizuje:

„Gen. Zagórski zginął w okolicznościach tajemniczych. Szkoda. W dodatku bardzo szkodliwa szkoda. Czyjaś wola, ustawiwszy sztafaż nie wyjaśnionych, a więc 'romantycznych' okoliczności śmierci, dała niepotrzebny asumpt do plotek o bohaterstwie i męczeństwie".

Tak o zabójstwie jednego dowódcy lotnictwa pisze drugi dowódca lotnictwa! I jak tu się dziwić argumentacji i językowi autora „Tropu legendy" skoro ma tak budujący przykład.

Jak wynika z podanych faktów, konspiracja jako taka nie osiągnęła niczego — obalenie gen. Zagórskiego było fragmentem zamachu majowego. Natomiast konspiracja zebrała niewątpliwie owoce swej mrówczej pracy. Płk. Rayski został mianowany p.o. szefa departamentu lotnictwa, później na tym stanowisku został zatwierdzony i był na nim do marca 1939 r. Droga do uzdrowienia lotnictwa była więc otwarta.

W latach 1927-1930 przeprowadzono tak zwane odmłodzenie lotnictwa. Miało ono ciekawy rezultat, o ile do tego czasu dowódcy pułków byli w wieku 35 do 40 lat, o tyle po odmłodzeniu lotnictwo miało kapitanów i majorów w tym wieku. Czystka bowiem objęła w pierwszy rzędzie dowódców pułków i szkół. Poszli na emeryturę pułkownicy: Abżółtowski (lat 39), Borejsza (40), Buckiewicz (41), Kossowski (37), Florer (40), Malczewski (41), Perini (41); z młodszych stopniem wymienić można mjr. pil. inż. Wereszczyńskiego, zastępcę dowódcy pułku; resztę stanowiło kilkunastu majorów, kapitanów i poruczników. Ale jednocześnie nie skończono z przenoszeniem do lotnictwa oficerów z innych broni w stopniu i w wieku sprzecznym z zasadą odmłodzenia; kurs w Dęblinie w 1928 r. skończyło między innymi kilku znanych mi osobiście starszych oficerów, jak mjr. dypl. Rastawiecki, mjr. dypl. Wojciechowski, kpt. Jungrav i inni. Gdy pierwsi wychowankowie Dęblina awansowali na kapitanów w 1936 roku wielu z nich dawno już przekroczyło 30 lat, że wymienię dla przykładu poruczników Leję (37), Michowskiego (36), Ścibiora (34), Skibińskiego (35), a wśród nich nie było ani jednego poniżej 29 lat.

Emerytowanie pułkowników tłumaczono w różny sposób: jeden nie chciał latać, drugi lubił grać w karty, trzeci lubił popijać, a wszyscy nie nadawali się do nowoczesnego lotnictwa (ten zwłaszcza argument stosowaliśmy później do wielu starszych oficerów w W. Brytanii!) Zapożyczę tutaj określenie z ,,Tropu legendy'' i powiem, że największym grzechem owych pułkowników nie było to, że umieli samodzielnie myśleć (płk. dypl. Abżółkowski był autorem pierwszego podręcznika taktyki lotnictwa), ale zdaje się to, że za wcześnie zaczęli służbę w lotnictwie; mianowicie, byli majorami i dowódcami lotnictwa frontu wtedy gdy nowy szef departamentu był jeszcze porucznikiem. Bo inne argumenty w świetle późniejszej historii słabo wyglądają. W porównaniu z tym morzem alkoholu, które przepływało na stacjach naszych na tej Wyspie i tą zarazą kartograjstwa, która szalała tutaj — picie i karciarstwo Abżółtowskich i Kossowskich można by określić bez przesady jako *Kinderstube*. Zresztą, prawdę mówiąc, nie wiele zmieniło się po czystce. Byłem w pułku za Abżółtowskiego, ale takich bibek, awantur, strzelania pod oknami dowódcy okręgu korpusu i szaleństw na balach akademickich jakie lotnicy urządzali za płk. Kalkusa, który był szefem personalnym poprzednio w departamencie, nie było za dawnych czasów. Inaczej mówiąc, gdy pierwsi Dęblinacy dosłużyli się w czasie wojny stopni majorów czy podpułkowników, byli już starsi wiekiem od owych ośmiu pułkowników spławionych po wypadkach majowych. W czasie pokoju nie potrafiono odmłodzić lotnictwa, zdobyć dla lotnictwa specjalnej pragmatyki pozwalającej na szybsze awansowanie. Późniejsi dowódcy pułków oczywiście też nie latali na zadania, a tylko na służbowe przeloty, jako pasażerowie, z wyjątkiem płk. Pawlikowskiego, który utrzymywał się w formie, będąc świetnym myśliwcem i stosunkowo młodym. Ale nieliczne wyjątki, do których należał przede wszystkim sam gen. Rayski, potwierdzają tylko regułę — że lotnictwo jest bronią ludzi młodych.

Przy przenoszeniu w stan spoczynku oficerów w sędziwym wieku między 35 a 40 lat stosowano różne metody; w szczególności specjalna komisja lekarska przeprowadzała badania kandydatów na emeryturę w swoisty sposób, aby wykonać otrzymany rozkaz. Pisze o tym obszernie dr Cyprian, ale nie będę się tym zajmował. Przytoczę natomiast sprawę przeniesienia w stan spoczynku, która była bez precedensu w historii naszych sił zbrojnych i nigdy się też nie powtórzyła.

Razem z płk. Kossowskim, nazywanym ojcem polskiego lotnictwa myśliwskiego, został przeniesiony w stan spoczynku mjr. Stefan Sznuk, który właśnie co ukończył z wybitnym wynikiem kurs dla sztabowych oficerów lotnictwa przy wyższej szkole wojennej. Oto co pisze dr Cyprian:

,,Sprawę jego poruszył w Sejmie poseł Stroński i gdy Klub BBWR zaprzeczył jakoby motywy zwolnienia obu tych oficerów nosiły charakt

polityczny, wyłoniono specjalną komisję sejmową pod przewodnictwem posła Polakiewicza dla zbadania sprawy. Poseł Polakiewicz przeprowadził dochodzenia sumiennie i w efekcie mjr. Sznuk został powołany z powrotem do czynnej służby i otrzymał od Marszałka Piłsudskiego pismo, zaliczające mu przebyty w stanie nieczynnym okres do wysługi lat. Nie ulega wątpliwości, że sprawa mjr. Sznuka była epilogiem porachunków Klubu Mrówczego z jednym z domniemanych lub rzeczywistych przeciwników, a fakt, że płk. Rayski jej się nie przeciwstawił i dopiero gdy się wdała w to Komisja Sejmowa, oświadczył Sznukowi, że on ze swej strony starał się go poprzeć, wskazuje jak bardzo były zabagnione stosunki personalne w lotnictwie za czasów polityki personalnej de Beauraina".

Inny przykład: majorowi Józefowi Hendricksowi, pilotowi z armii niemieckiej i mającemu piękną kartę bojową z lat 1919/20 gdy był wykładowcą w Dęblinie, kazano złożyć prośbę o dymisję. Pisze dr Cyprian, że „kazał mu to zrobić płk. Rayski osobiście". Opinia wydana przez płk. de Beauraina o Hendricksie była następująca:

„Twardy, nieugięty charakter, z uporem narzucający swą wolę przełożonym, duża rutyna i doświadczenie, umiejętność do syntetycznej analizy naukowej".

Przytaczam sprawę mjr. Hendricksa dlatego, że zgadzam się z komentarzem dr. Cypriana dotyczącym stosunków personalnych w lotnictwie. Pisze on tak:

„Nie przesądzając wartości tego młodego oficera, należy stwierdzić, że metody używane do usuwania ludzi niewygodnych, zbyt mało uległych, były niewłaściwe".

Franciszek KALINOWSKI

Dalszy ciąg będzie zawierał następujące rozdziały:

DRUGA KONSPIRACJA — TRZECIA KONSPIRACJA — POCZĄTKI CZWARTEJ KONSPIRACJI. OSTATECZNE REZULTATY KONSPIRACJI — POMOC LOTNICZA DLA KRAJU — KATASTROFA GIBRALTARSKA.

Książki

Komunizm i trzeci świat

O ZAPOMNIANYM PREKURSORZE

Wydaje mi się, że najpilniejszym dziś zadaniem jest studiowanie ustroju socjalistycznego w tej postaci, w jakiej się zrealizował, badanie jego siły i słabości. Jest to sprawa najbardziej żywotna dla myśli socjalistycznej, która po omacku szuka dróg przyszłości. Ale jednocześnie nic bardziej trudnego do wykonania.

Oskarżenia spadają jak lawina na nieostrożnych, którzy ośmielają się gwałcić różne tabu. Analizować — to znaczy podejrzewać; opisywać — to znaczy spotwarzać; krytykować — to znaczy zwalczać. Będą się grzebać w twojej przeszłości, w twoim pochodzeniu, w twoim prywatnym życiu, co pozwoli zdyskredytować cię nie próbując ani zrozumieć ani rzeczowo skrytykować twoich poglądów. Rzuci się podejrzenie na wartość twoich źródeł. Cytujesz na przykład książkę — napisana przez kogo? przez trockistę, zwolennika Bucharina, burżuja? Wydana przez kogo? Za jakie pieniądze? Dlaczego właśnie w tym czasie? W połączeniu z jakimi kombinacjami?

Należy jednak odpowiadać ze spokojem i pogodnie prowadzić dalej poszukiwania. Odpowiadać jedynie na płaszczyźnie idej. Stosować stare metody pracy naukowej. Zbierać wszystkie możliwe informacje i rozpatrywać wszystkie w ten sam sposób. Osądzać daną myśl czy dany fakt jedynie pod kątem istotnej wartości, bez względu na to skąd się bierze.

A teraz, żeby odpowiedzieć purystom socjalizmu. Główne studia dotyczące wewnętrznego mechanizmu ustroju socjalistycznego zostały przeprowadzone przez instytucje amerykańskie. Niewątpliwie wiele z nich było finansowanych ze źródeł kapitalistycznych, albo rządowych, albo nawet przez instytucje przeznaczone do walki z komunizmem. Trzeba je wszystkie zbadać i zużytkować to, co zawierają wartościowego. Tak samo postępowali Marks i Lenin — dlaczego więc my mielibyśmy robić inaczej? Żaden sztab główny nie odmówi, w danym wypadku, wykorzystania planów ustalonych przez służby wroga.

Sułtan Galiew

To co piszę nie ma na celu rzucenia podejrzenia na książkę której analiza poparła moje spostrzeżenia; jest to przede wszystkim próba przełamania tradycyjnego sekciarstwa, specjalnie dlatego, że znam podejrzenia jakie tego rodzaju studia wywołują a priori o komunistów i nie tylko u nich.

Książka, która ukazała się pod auspicjami 6 sekcji L'Ecole Pratique des Hautes Etudes (1) jest pracą sumienną i bardzo dobrze udokumentowaną. Dotyczy ona całości zagadnień, które są przedmiotem poważnych studiów w krajach anglosaskich, a bardzo znikomych we Francji, gdzie bezpodstawne przepowiednie polityczne zastępują często naukowe opracowania.

Sułtan Galiew jest osobistością, która odegrała wielką rolę w początkach komunistycznej Międzynarodówki i Związku Sowieckiego. Większość aktywistów widziała jak sylwetka jego wyłoniła się na marginesie jednego z określeń Stalina (*Le marxisme et la question nationale et coloniale,* Paris, 1949, strona 163 i nast.). Kiedyś wydawało mi się, że wykrywam w nim pewne wzruszenie (*Pensée,* N⁰ 33, 1950, str. 107 i nast.). Być może, że nie było to zupełnie fałszywe. Umieć wzruszyć Stalina — to jest już prawie tytuł do chwały.

Mir Sayit Sułtan Galiew, urodzony około r. 1880, był synem nauczyciela tatarskiego. Tatarzy w Imperium carskim byli mniejszością muzułmańską o bardzo specjalnym charakterze. Było ich około 3 i pół miliona, rozproszonych po całym Imperium z pewnym skupiskiem w gubernii Kazańskiej, która była ich centrum politycznym i kulturalnym. Byli to przede wszystkim chłopi i nieliczni robotnicy, w owym czasie silnie jeszcze związani z życiem wiejskim. Było wśród nich także trochę mieszczan: kilku przemysłowców a głównie kupcy, z których wywodziło się duchowieństwo muzułmańskie i inteligencja. Ci mieszczanie i ci intelektualiści byli aktywni, dynamiczni i ambitni. Wielu z nich od dawna przyjęło postawę ,,modernistyczną'' w stosunku do dogmatu muzułmańskiego i ,,postępową'' w stosunku do tradycyjnego życia muzułmańskiego. Wśród o wiele mniej rozwiniętych współwyznawców, zamieszkałych przeważnie w Centralnej Azji, na Syberii i na Kaukazie — dokąd docierali w sprawach handlowych i gdzie się nawet osiedlali — odgrywali rolę fermentu, przynosili nowe idee, wprowadzali nowoczesne obyczaje. Byli oni masowymi ofiarami podejrzliwości reakcyjnych chanów. Można to stwierdzić na przykład w serii tłumaczeń powieści kazachskich i tadżyckich, które wydał Aragon (2).

---

(1) Alexandre Bennigsen et Chantal Quelquejay, *Les mouvements nationaux chez les Musulmans de Russie,* Le ,,sultangalievisme'' au Tatarstan, Paris, La Haye, Mouton & Cie, 1960, 285 stron. (Ecole Pratique des Hautes Etudes, Sorbonne, 6-e section. Société et Idéologie, 2-e serie. Documents et témoignages, 3).

(2) Na przykład w książkach Sadriddin Aini i Moukhtar Aouezov (Gallimard et Editions Sociales).

Przyszła Rewolucja Październikowa. Dołączyła do niej znaczna część inteligencji tatarskiej. Większość jej sądziła, że socjalizm wprowadzony przez nowy ustrój zrealizuje i pogłębi program ruchu reformistycznego. Naturalnie wszyscy oni byli bardzo czuli na międzynarodową koncepcję bolszewizmu. Miała ona przynieść równość narodowościową, zniszczyć panowanie elementu wielkorosyjskiego, to panowanie, które wprowadziliby na nowo „Biali", gdyby zwyciężyli.

Sułtan Galiew wstąpił do partii bolszewickiej w listopadzie 1917 roku i dzięki swoim talentom mówcy i organizatora szybko stał się ważną osobistością, jako przedstawiciel tej „kolonialnej" inteligencji. Został członkiem, a potem przewodniczącym „Centralnego Komitetu Muzułmańskiego", nowego ciała stworzonego przy Narkomnacie (Ludowy Komisariat Narodowościowy), na którego czele stał bolszewik, w owym czasie mało jeszcze znany, Józef Stalin. Galiew stworzył wraz ze swymi przyjaciółmi muzułmańską partię komunistyczną i zorganizował wojskowe oddziały tatarskie, które odegrały pierwszorzędną rolę w walce przeciwko Kołczakowi. Pomimo opozycji rad robotniczych i lokalnych komunistów rosyjskich, udało mu się uzyskać od rządu centralnego obietnicę utworzenia wielkiego Państwa z przewagą muzułmańską, to jest Republiki tataro-baszkirskiej, która obejmowałaby olbrzymie obszary średniej Wołgi i środkowego Uralu wraz z 5 do 6 milionami mieszkańców.

W tym czasie Galiew zaczął rozwijać szereg pomysłów, których postanowił bronić i wprowadzić je w czyn. Jego zdaniem społeczeństwo muzułmańskie (z wyjątkiem paru możnych mieszczan i posiadaczy ziemskich) było, jako całość, zbiorowo uciskane przez Rosjan za czasów caryzmu. Nie jest potrzebne sztuczne stwarzanie różnic i walki klas. Na razie ubodzy muzułmanie są zbyt nieszczęśni i stoją na zbyt niskim szczeblu rozwoju, by móc dostarczyć kadr. Należy więc bez wahania wciągnąć tych, którzy o to zabiegają: intelektualistów drobnomieszczańskich, a nawet postępowe duchowieństwo, które dało dowody wierności rewolucji. Zresztą rewolucja socjalistyczna powinna przystosować się do społeczeństwa przesiąkniętego tradycjami muzułmańskimi. Sułtan Galiew — mimo że sam ateusz — radzi obchodzić się z islamem delikatnie, po trochu go „odfanatyczniać" i laicyzować. W ten sposób muzułmani rosyjscy (a przede wszystkim najbardziej uświadomieni spośród nich, Tatarzy) będą mogli odegrać ogromną rolę historyczną. W rzeczywistości rewolucja w skali światowej powinna w pierwszym rzędzie uwolnić narody kolonialne. Należy więc zmienić tendencje Kominternu, interesującego się przede wszystkim Zachodem. Rewolucja socjalistyczna zacznie się na Wschodzie. A któż mógłby być lepszym jej wysłannikiem, kto lepiej mógłby nieść do Azji pochodnię zarazem kultury i socjalizmu — jeśli nie muzułmańscy bolszewicy rosyjscy?

Zanotujmy od razu, aby uniknąć nieporozumień, że nie idzie tutaj o rewindykacje religijne czy klerykalne. W Rosji

było wiele grup narodowościowych wyznania muzułmańskiego. Islam dał im wspólną kulturę, wspólne tradycje i równolegle narzucił im pewne istotne normy życia. Ponad odrębnościami narodowymi, często słabo zaznaczonymi i mało świadomymi, była więc pewna niezaprzeczona jedność kulturalna. Wzmocniła ją wspólna walka przeciwko wysiłkom narzucenia wiary chrześcijańskiej, którym towarzyszyły usiłowania rusyfikacji. Odczuwano to nie jako walkę ideologiczną, ale jako kolonialne zamachy na wspólną spuściznę kulturalną.

Te idee niepokoiły kierowników bolszewickich. Stalin podtrzymywał Galiewa przeciwko tym, którzy chcieli rozpętać walkę klas wśród muzumanów i zerwać z elementami nieproletariackimi. Ale Stalin — w przeciwieństwie do Tatara — uważał ten sojusz za czasowy. Po klęsce Kołczaka i Czechów poparcie Muzułmanów znad Wołgi i z Uralu (których kadry uległy w czasie walki rozbiciu) stawało się mniej niezbędne. Komunistyczna Partia muzułmańska straciła swoją autonomię. Kongres Narodów Wschodu, który odbył się w Baku (we wrześniu 1920 roku) odrzucił tezy o trwałych związkach pomiędzy drobnomieszczaństwem i proletariatem na Wschodzie. Jak oświadczył Pawłowicz, wielki specjalista od tych spraw, rewolucja narodowa winna rozegrać się pod przewodnictwem proletariatu a „wyzwolenie Wschodu może nastąpić *jedynie* w wyniku zwycięstwa proletariatu zachodniego". Wreszcie zarzucono projekt wielkiego Państwa muzułmańskiego. Na jego miejsce stworzono dwie małe republiki: baszkirską i tatarską. Ponieważ większość Tatarów mieszkała poza nimi stanowili więc jedynie 51,6% ludności. W miastach Rosjanie stanowili 80%. Kazań, stolica, był centrum rosyjskim.

Sułtan Galiew, który ciągle zajmuje wysokie stanowisko, staje się przeciwnikiem. Usiłuje zwalczać objawy tego co nazywa „szowinizmem wielkorosyjskim" i wiązać organizacje Partii i Sowietów ze swymi zwolennikami tatarskimi. Chce uczynić z Kazania centrum narodowej kultury tatarskiej i ognisko rewolucyjne, z którego promieniowałby „komunizm muzułmański" na wszystkie narody muzułmańskie Związku Sowieckiego i nawet dalej, na cały Wschód muzułmański. Walczy przeciwko popieranej przez elementy rosyjskie „lewicy", która domaga się polityki bardziej anty-burżuazyjnej. Stara się zastępować w administracji Rosjan przez Tatarów, itd.

Napotkawszy na niewzruszoną opozycję rządu centralnego i rosyjskich komunistów po wyraźnej rezolucji X. Kongresu Partii (1921) przeciwko „odchyleniu nacjonalistycznemu", Sułtan Galiew wszedł w mniej lub bardziej jawny kontakt z pewną liczbą niezadowolonych. Chciał utworzyć wspólny front przeciwko Rosjanom, oskarżanym o kontynuowanie kolonialnej polityki carów. Jak daleko zaszedł on w kontaktach z szerokim wachlarzem frontu niezadowolonych? Stalin oskarżył go o kontakty nawet z basmaczami, to jest zrewoltowanymi bandami

muzułmańskimi, które z bronią w ręku walczyły przeciw bolszewikom w Turkiestanie. Trudno jednak uwierzyć w te gołosłowne oskarżenia. W każdym razie Stalin kazał Galiewa aresztować w roku 1923 i wykluczyć z Partii. Potem Galiew został uwolniony, ale Kamieniew i Zinowjew mieli później pożałować, że wyrazili zgodę na to „pierwsze aresztowanie wybitnego członka partii, dokonane z inicjatywy Stalina".

Mało się wie o życiu Sułtana Galiewa po roku 1923. Być może że był wygnany, na nowo aresztowany i znowu zwolniony. Pracował w Moskwie w wydawnictwach państwowych i dalej prowadził swoją walkę, tym razem konspiracyjną. Utworzył całą organizację podziemną, gromadzącą wielką ilość komunistów muzułmańskich, przeważnie Tatarów. Rozwijał swoje idee w miarę rozwoju sytuacji. Rewolucja socjalistyczna — myślał obecnie, nie rozwiązuje problemu nierówności narodów. Program bolszewicki sprowadza się do zastąpienia ucisku europejskiej burżuazji przez ucisk europejskiego proletariatu. Zresztą, ustrój sowiecki (było to w okresie NEP'u) chyli się do upadku. Zostanie albo zwyciężony przez burżuazję zachodnią, albo będzie ewoluował w kierunku kapitalizmu państwowego i demokracji burżuazyjnej. W każdym razie Rosjanie staną się na nowo narodem panującym i oprymującym. Jedynym środkiem zaradczym byłoby zapewnienie hegemonii narodów kolonialnych, gospodarczo zacofanych, nad mocarstwami europejskimi. W tym celu należy stworzyć *Międzynarodówkę Kolonialną*, komunistyczną, ale niezależną od III Międzynarodówki, a nawet będącą w stosunku do niej w opozycji. Rosja, mocarstwo przemysłowe, powinna być z niej wykluczona. Ekspansja komunizmu na Wschód, która będzie dziełem nowej Międzynarodówki, winna dopomóc do zrzucenia jarzma panowania rosyjskiego nad światem komunistycznym.

Ustrój, który się dopiero umacniał, nie mógł pozwolić sobie na tego rodzaju opozycję. Wielokrotnie Rosjanie stwierdzili, że mają do czynienia ze zorganizowaną opozycją tatarską. Stalin się wściekł. W listopadzie 1928 Galiew został aresztowany. Odsiedział dziesięć lat ciężkich robót na Sołówkach, skąd został zwolniony w roku 1939. W roku 1940 ślad po nim zaginął...

Nauki z zapomnianej historii

Należy podziękować A. Bennigsen i Ch. Quelquejay, że za ich przyczyną odżyła dla nas ta zapomniana historia. Ich praca, na którą złożyło się przejrzenie, zbadanie i ułożenie obszernej dokumentacji w językach rosyjskim i tatarskim, była ważna i skomplikowana. Przeczytawszy tę książkę powinniśmy skorzystać z tego, czegośmy się dowiedzieli, aby wyciągnąć kilka wniosków.

Przede wszystkim analiza walki politycznej, toczącej się wokół zagadnienia mniejszości muzułmańskich w Związku Sowieckim, nawet ślepemu winna pokazać, że w ustroju komunistycznym istnieją sprzeczności. Można zauważyć, że jest to rzecz znana, że mówił o tym Mao Tse-tung — zapewniając jednocześnie (w sposób zupełnie nieprzekonywujący), że te sprzeczności nie są antagonistyczne. Dobrze, ale to nie przeszkadza, że za każdym razem gdy ktoś konkretnie wyciąga na jaw jakąś z tych sprzeczności, natychmiast usiłuje się temu zaprzeczyć lub zbagatelizować. Naturalnie, dogmatycy nie usiłują jej zanalizować, wytłumaczyć i dotrzeć do jej przyczyn i skutków. Oni reprezentują wyłącznie politykę, którą kroczą kierownicy komunistyczni, jako nakazaną przez wyższą rozwagę ściśle związaną ze zmianami w narodowej i światowej koniunkturze, która to polityka uzbrojona jest w niezawodną ,,busolę'' doktryny marksistowskiej. W rzeczywistości obrana polityka była rezultatem nieprzerwanych walk pomiędzy zwalczającymi się grupami, krzyżującymi się naciskami i stosunkiem siły. Głębsze podłoże socjalne tych walk jest bez wątpienia zupełnie inne niż w ustroju klasowym, ale mechanizm nie wiele co się różni. Inaczej mówiąc, historia idzie naprzód a błogostanu rajskiego jak nie było, tak nie ma. Oczywiście, myśli wielu. Ale wcale nie jest pewne czy uchwycą oni wszystkie sprzeczności.

Polityka sowiecka mogła być zupełnie inna, na przykład bardziej zwrócona w stronę Azji. Być może, że pewne idee Sułtana Galiewa mogłyby być zastosowane. Ale przeciwko temu przemawiały bardzo poważne trudności: brak kadr muzułmańskich oraz sytuacja Wschodu w owym czasie. Na wewnątrz groziło także niebezpieczeństwo nacjonalistycznego odchylenia Tatarów oraz szkodliwy tatarski szownizm. Na zewnątrz, nawet jeżeli idee Sułtana Galiewa (podzielane w części przez hinduskiego komunistę Manabendra Nath Roy'a i kilku innych, którzy bronili ich w czasie pierwszych kongresów Kominternu) byłyby zastosowane, korzyść z nich byłaby bez wątpienia niewielka. Tak sądzi Walter Z. Laqueur, którego nikt nie może podejrzewać o pobłażanie dla kierowników bolszewickich (3). Ale należy uznać, że wybrana orientacja, poza wymienionymi realnymi podstawami, wynikała także i z innych przyczyn, a mianowicie z dogmatyzmu kierowników oraz z mechanicznie stosowanej w pewnych okresach czasu, często nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi, zasadzie przewagi proletariatu (nawet jeżeli go nie było) w rewolucji. Jeśli idzie o budzenie się narodów kolonialnych to na ogół, aż do ostatnich czasów, naturalnie gęsto się tłumacząc, kierownicy komunistyczni byli tak samo mało przewidujący jak i świat kapitalistyczny. To zaś miało zgubne skutki dla ich własnego punktu widzenia.

---

(3) *The Soviet and the Middle East*, London, Routledge and Kegan, Paul, 1959, str. 22.

Socjalizm i problem narodowościowy

Jasne jest, że socjalizm, to znaczy upaństwowienie środków produkcji, nie rozwiązuje automatycznie wszystkich spraw. Stalinizm wykazał nam, że w ustroju komunistycznym była możliwość despotyzmu, a więc zagadnienia władzy politycznej. Inne wypadki dowodzą, że problem narodowy nie znika pod przymusem. ,,Sam fakt, że proletariat dokonał rewolucji społecznej nie robi z niego świętego'', pisał Lenin w 1916 roku. Ale możliwe pomyłki (oraz brudne interesy, które pchają jednych, aby sadowili się na plecach drugich) nieuniknienie doprowadzą do zrozumienia tej prawdy... Zmieniając kapitalizm na socjalizm proletariat stworzył *możliwość* całkowitego obalenia gwałtu narodowego; ta możliwość stanie się rzeczywistością ,,jedynie'' — ,,jedynie'' — po całkowitym wprowadzeniu demokracji do wszystkich dziedzin (4).

W latach od 1920 do 1928, na przykładzie Sułtana Galiewa, widzimy wielką nieufność Tatarów do rosyjskich komunistów, oraz obawę przed rosyjskim, komunistycznym neokolonializmem. Kierownicy bolszewiccy dowodzili, że ta obawa była nieuzasadniona. ,,Jeżeli Turkiestan jest naprawdę kolonią, jak za czasów caryzmu, to basmacze mają rację i to nie my winniśmy sądzić Sułtana Galiewa, ale on nas, jako ludzi tolerujących istnienie kolonii w ramach władzy sowieckiej'' (5). Tak mówił sam Stalin w roku 1923. Sprawy nie są znowu tak proste. Polityka sowiecka w stosunku do muzułmańskich mniejszości Związku była niezmiernie ostrożna. Muzułmanie uzyskali zadośćuczynienie — ich okręgi zostały uprzemysłowione. Zaznaczył się powolny wzrost miejscowych kadr, ten wzrost istnieje nadal i będzie istniał. Pod względem prawnym włączenie było całkowite, a nawet w praktyce pewne przywileje otrzymała ,,mniejszość narodowa'' nie Rosjanie. Ale ten rozwój wypadków był bardzo pilnie kontrolowany. Kluczowe stanowiska zatrzymano w swoim ręku. Ponadto ogólna tendencja stalinowskich obyczajów nie dopuszczała do wzajemnego przenikania grup narodowych. Sytuacja w niczym nie jest podobna do sytuacji kolonialnych, spotykanych, gdzie indziej. Ale pozostają problemy narodowościowe, jak to wykazało w sposób jaskrawy zachowanie się wielu mniejszości w czasie ostatniej wojny i jak to wykazują obecnie różne drobne fakty. Należy zaznaczyć nawiasem, że te fakty byłyby o wiele mniej podkreślane i być może mniej deformowane zagranicą, gdyby Sowiety nie zadawały sobie tyle trudu, aby je ukrywać i aby ścinać głowy ,,oszczercom'', którzy ośmielają się dawać do zrozumienia, że w tych okręgach Związku nie zawsze wszystko jest doskonałe.

---

(4) *Notes critiques sur la question nationale,* Moskwa, Wydawnictwa w językach obcych, bez daty, str. 171 i nast., 138. Uwypuklenia w druku zrobił Lenin.

(5) Staline, *Le Marxisme et la question nationale et coloniale,* Paris, Ed. Sociales, 1949, str. 168.

Prekursor

Sułtan Galiew nie pozostawił prawdziwej duchowej spuścizny w muzułmańskich okręgach ZSSR. Trudno przewidzieć co by się stało, gdyby mogły tam powstać rewindykacyjne partie polityczne. To co się przypuszcza odnośnie aspiracji narodów tych okręgów, jest dalekie od Sułtana Galiewa. Rewindykatorzy byliby — jak się wydaje — bardziej ,,reformistyczni'' a o wiele mniej rewolucyjni. Bez wątpienia nie narzuciliby na nowo tego samego ustroju, ale żądaliby poprawy. Nie chcieliby odgrywać roli propagatorów Rewolucji na Wschodzie. Ale, być może, pod pokrywą oficjalnego konformizmu istnieją o wiele bardziej palące zagadnienia...

A tymczasem poza ZSSR, w krajach, które obecnie nazywa się ,,gospodarczo zacofanymi'', sytuacja w ostatnich czasach niezbicie i bez przerwy przywołuje na pamięć idee Sułtana Galiewa. W jakiej mierze jest on prekursorem przyjętej przez ZSSR, począwszy od roku 1954, nowej linii pomocy dla neutralistycznej burżuazji afro-azjatyckiej? W jakiej mierze jest on prekursorem komunizmu maoistycznego, mającego przede wszystkim na celu natychmiastową walkę o Rewolucję socjalistyczną wśród ludów dawniej kolonialnych?

Postawa Sułtana Galiewa i komunistów tatarskich z roku 1918 wypływała z odmowy. Oni nie chcieli być przedmiotem przetargu dla proletariackiego ruchu europejskiego, nawet najbardziej słusznego. Rewolucja winna była się dokonać także i dla nich i oni powinni byli zebrać jej owoce w takiej formie, w jakiej by sami wybrali, a nie w takiej jaką zadecydowałby wielki brat, trochę za bardzo ojcowski, którym był proletariat rosyjski. Należy zaznaczyć, że jedną z form interwencji rosyjskiej (stosowanej następnie i gdzie indziej) było usiłowanie opierania się wśród tubylców jedynie na proletariacie. W krajach, gdzie proletariat był w powijakach, sprowadzało się to do arbitralnego wybierania kilku ,,reprezentacyjnych rozmówców''.

To zasadnicze żądanie ,,prowadzenia swojej własnej rewolucji'' przyszło w najbardziej złym momencie. Kierunek jaki przybierała już władza bolszewicka, był zupełnie inny: przezorna biurokratyczna kontrola nad ruchem mas we wszystkich jego aspektach. Rady Robotnicze z syndykatami na wewnątrz, a partiami komunistycznymi czy sprzymierzonymi na zewnątrz były troskliwie trzymane na pasku. Znamienne, była to godzina Stalina, człowieka o podejrzliwości drobiazgowej i wszechstronnej, która miała wkrótce stać się patalogiczną. Zlekceważono przestrogi chorego Lenina:

,,Zło, które może wyniknąć dla naszego Państwa z braku łączności aparatów narodowościowych z aparatem rosyjskim będzie nieporównanie i nieskończenie mniejsze od tego, które wyniknie z przerostu centralizacji nie tylko dla nas, ale dla całe

Międzynarodówki, dla setek milionów Azjatów, którzy idąc za nami krok w krok, ukażą się niedługo na scenie historii" (6).

Najważniejszym zadaniem Międzynarodówki — jeżeli się ustawić w najszerszej perspektywie światowego marszu do socjalizmu, który w zasadzie jest jej zadaniem — wydaje się być rozwój krajów zależnych od *nacjonalizmu marksistowskiego* z programem niezależności narodowej i socjalizacji. Ówczesny stan rozwoju Wschodu nie pozwalał iść dalej. I to było podstawowym wyczuciem Sułtana Galiewa, pomimo wszystkich jego niezręczności i błędów. System stalinowski uniemożliwił kolonialnym Partiom Komunistycznym wypełnienie tego zadania. Ich sztywne posłuszeństwo światowej strategii Międzynarodówki, skoncentrowanej na świecie białych, a często nawet ich ścisła zależność od jednej z europejskich partii komunistycznych, były głównie powodem tego niepowodzenia. Kiedy czasy dojrzały, ukazał się mimo wszystko pewien *nacjonalizm marksistowski*, który wyłonił wiatr historii. Nie stało się to w ramach partii komunistycznych i trzeba było idiotycznego antykomunizmu amerykańskiego, aby pchnąć Castro, Sekou Touré, Modibo Keita i skrajną lewicę marokańską czy algierską w stronę ex-Trzeciej Międzynarodówki, ledwie istniejącej.

Międzynarodówka Kolonialna, którą zalecał Sułtan Galiew, obecnie istnieje. Widzimy ją jako blok afro-azjatycki, który zaczyna rozpościerać się w stronę Nowego Świata, złączony przeciwko panowaniu białych, tak jak marzył o tym tatarski komisarz. Ale posiada ona już pewne zróżnicowanie, które nie jest jeszcze wszędzie rozłamem, pomiędzy skrzydłem marksisowskim, zdecydowanym dążyć wielkimi krokami do komunizmu, a skrzydłem burżuazyjnym, które zaleca zmiany powolne — to jest zachowanie przeszłości — oprócz pewnej liczby wypadków dwuznacznych, które są niemniej interesujące.

Od roku 1954 Związek Sowiecki popiera tę Międzynarodówkę Kolonialną. Ale Chruszczow jedynie pozornie i częściowo kroczy drogą Sułtana Galiewa. Narody kolonialne są zawsze przedmiotem szantażu dla wywierania presji na białych przeciwnikach Związku Sowieckiego w celu uzyskania ustępstw a nie w celu ich zniszczenia. Ich socjalizacja nie jest prowokowana i na pewno nie jest pożądana. W tej sprawie przyznaje się rację Galiewowi, ale nie dlatego aby dodać sił Rewolucji, a jedynie w celach bardziej egoistycznych. Poza tym światowy triumf socjalizmu ukazuje się przede wszystkim jako rezultat ewolucji, bardziej czy mniej rewolucyjnej, świata wysoko uprzemysłowionego.

(6) Nota o „narodowościach i autonomii" (31 grudzień 1922) była opublikowana w „Komuniście", 1956, Nr 9, str. 25-26 i przetłumaczona np. przez „Marxist Quarterly", Październik, 1956, str. 255. Przez „aparaty narodowościowe" należy rozumieć aparaty partii komunistycznych narodów nierosyjskich Związku Sowieckiego.

Nacjonalizm marksistowski w ramach tradycyjnej partii komunistycznej, mógł zatriumfować tylko w Chinach, gdyż tam oddalenie i po przodkach odziedziczona przebiegłość chińska pozwoliły nie krępować się międzynarodową taktyką stalinowską. Mao Tse-tung zresztą, stosował jedynie idee bronione przez Komintern w okresie frontu narodowego czy ludowego. Ale stosował je systematycznie i trwale. Jego zwycięstwo i okoliczności, które potem nastąpiły, wojownicza wrogość białych społeczeństw i socjalizacja społeczeństwa pozwoliły mu stanąć na czele *komunizmu kolonialnego* nowego typu, proponowanego od 1949 roku jako model dla świata niedorozwiniętego gospodarczo. Od tego czasu ewolucja chińska zbliżyła idee nowych szefów Państwa Środka do niektórych idej dawniej propagowanych przez Sułtana Galiewa. Przodownictwo rewolucji kolonialnej i nieufność do ewentualnego neo-kolonializmu, albo co najmniej neo-paternalizmu w łonie tego samego świata socjalistycznego, ukazują się jako zagadnienia bieżące.

W ten sposób idee Sułtana Galiewa odnajdujemy dzisiaj w dwóch głównych prądach światowego komunizmu. Naturalnie nikt obecnie nie wymienia tego skazańca dawnych nieznanych walk. Ale dla niektórych będzie on pierwszym prorokiem walki kolonialnej w łonie komunizmu przeciwko białemu panowaniu, tym, który pierwszy przewidział rozłam pomiędzy komunizmem europejskim Rosjan i komunizmem kolonialnym. Inni mogą uczcić w nim tego który zalecał nacjonalizm marksizujący na terytoriach kolonii oraz wykorzystanie w skali międzynarodowej ruchów narodowościowych, nie przewidując natychmiastowego rozpętania się walki klasowej i socjalizacji — co było stanowiskiem Mao jeszcze w Yenanie. Przyszłość bez wątpienia ustawi inaczej niż my w ramach ruchu komunistycznego pierwszego przedstawiciela Trzeciego Świata. Ale nie wydaje się, aby mogła pomniejszyć rolę tego potępionego prekursora.

Maxime RODINSON

(*Z upoważnienia autora przełożyła Zofia HERTZ*)

Spiżowa brama i parafialne wrota

Nie wydaje się, aby ryzyko samodzielnego myślenia pociągało Polaków silniej od innych gier hazardowych. Istnieje jednak polska tradycja nonkonformizmu i przekory. Sprzyjała jej

dawniej republikańska forma rządów, wolna od autorytetów instytucyjnych, potem konieczność szukania własnych dróg wbrew powszechnie przyjętym mniemaniom („choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania", jak mówi poeta). Rezerwa wobec autorytetów i dogmatów jest u nas spadkiem po kilku wiekach historii i kultury. Dzisiejsi sceptycy, racjonaliści i rewizjoniści są mniej lub więcej prawowitymi dziedzicami humanistów, reformatów, dysydentów, wolterianów i wolnomularzy.

Nigdy bodaj warunki nie były dla nich równie niepomyślne jak w chwili obecnej, gdy znaleźli się między dogmatyczną i nie znającą żartów „nową wiarą" i potężniejszym niż kiedykolwiek kościołem katolickim. Podjęta przez rewizjonistów próba zyskania trochę luzu od strony marksistów spełzła na niczym, przyszła więc kolej na mniej ryzykowne próby stworzenia pewnego luzu od strony autorytetu kościoła.

Okoliczności te tłumaczą być może najlepiej niezwykły rozgłos, jaki zdobyła w Warszawie „Spiżowa brama" Tadeusza Brezy. „Polityka" z 31 grudnia 1960 informuje, że w przeprowadzonej przez nią wśród literatów ankiecie książka Brezy uznana została za najwybitniejszy utwór tego roku przez 51% głosujących, gdy żaden inny utwór nie zyskał więcej niż 5% głosów. W „Argumentach" (tygodnik ten nosi podtytuł: „humanizm, racjonalizm, kultura laicka") z 13 listopada czytamy na pierwszej stronicy: „Jest bezspornym triumfem autora, że książka mówiąca o polityce Watykanu stała się już natychmiast po ukazaniu bestselerem roku. Jest to również dowodem, jak bardzo była potrzebna, jak skutecznie potrafił Breza zaspokoić społeczne zapotrzebowanie". W słowach tych łatwo dostrzec aluzję do naszkicowanej wyżej sytuacji.

W latach 1955-1958 Tadeusz Breza pełnił w ambasadzie polskiej w Rzymie funkcje radcy do spraw kultury i z pobytu we Włoszech przywiózł dwie książki: dziennik pt. „Spiżowa brama" i powieść pt. „Urząd". Pierwsza ukazała się nakładem „Czytelnika" wiosną 1960, druga nakładem PIW'u w końcu tegoż roku. Obie dotyczą tegoż przedmiotu, czerpią z tego samego materiału obserwacyjnego. Z niezliczonych przedmiotów, z jakimi można zapoznać się w Rzymie, autor wybrał sobie jeden, mianowicie Watykan lub raczej jego część najmniej efektowną, bo przybudówki gospodarsko-administracyjne z krzątającym się w nich ludem prawników, administratorów, ekonomów, karbowych i gorzelanych.

Dzięki jednostronności tych zainteresowań książki Brezy pod wielu względami przypominają równie sławną powieść Roger Peyrefitte'a, *Les clés du Vatican*. Dzielą je wszakże pewne różnice. Autor francuski czerpie z fantastycznie bogatego zapasu anegdot i plotek, zebranego jak gdyby przez jakiegoś gallikańskiego prałata, którego skusiły laury Saint-Simona i Chamforta. Wesołek i wiercipięta, Peyrefite opowiada je z największą werwą i przyjemnością, taką samą z jaką Lechoń notował je w swoim dzienniku. Pełna paradoksów i fajerwerków, powieść jego

nie pretenduje do wiarygodności. Czytelnik słyszy w niej intymne zwierzenia kardynałów, czyta protokoły ich tajnych posiedzeń i widzi od razu, że są to żarty. Breza bynajmniej nie żartuje. Technika jego opowiadania dąży do stworzenia złudzenia rzeczywistości, ogranicza się więc do szczegółów, jakie zebrać mógł rzeczywiście skromny petent, reporter gazety lub przypadkowy przechodzień. Dzięki temu ograniczeniu zamknięty jest, bardziej niż jego francuski kolega, w kręgu spraw należących do schodów kuchennych Watykanu. Mówi przy tym tonem przyciszonym, przewielebnie zgnębionym, jakim mógłby mówić wierzący katolik pozbawiony łaski i wątpiący o możliwości zbawienia, i miarkuje się w słowach jak człowiek, któremu dobre wychowanie nie pozwala wyrażać głośno uczuć zawodu i zgorszenia.

Nie byłem nigdy w Rzymie w charakterze pobożnego pielgrzyma, mogę sobie jednak wyobrazić, że wierzący katolik, przybywający zwłaszcza z dalekich stron, może tam doznać uczucia niepokoju i nawet rozczarowania. Rzym nie posiadał nigdy głębokiego życia religijnego. Już w chwili przybycia tam św. Piotra był miastem starym i sceptycznym. Praktykowano w nim koło pięćdziesięciu różnych religii i nie wierzono niczemu. Watykan był tylko ośrodkiem administracyjnym kościoła. Sam nawet San Pietro budzi podejrzenie, że w tym gigantycznym kościele modlono się rzadko. Będąc tam w różnych porach dnia, nigdy nie widziałem modlących się lub spowiadających, mimo że napisy na konfesjonałach zachęcały do spowiedzi w niezliczonych językach, od łotewskiego do koreańskiego. Wnętrze kościoła, wyłożone czekoladowo-kremowym marmurem, stało się w XIX wieku wzorem dla architektów budujących siedziby wielkich banków. Nieuniknione w ośrodku administracyjnym kościoła pomieszanie elementów duchownych i świeckich może u głęboko wierzących wywoływać różne uczucia i refleksje.

Trudno jednak uwierzyć, aby Breza był istotnie pobożnym pielgrzymem który, nie znalazłszy w niższych kondygnacjach administracji kościelnej prawdziwego ducha Ewangelii, wpadł w rozterkę i z trudem powstrzymuje się od dania wyrazu swemu zgorszeniu. Zarówno jego dziennik jak powieść — wzorem modnych obecnie powieści — pisane są w pierwszej osobie, są to jednak dzieła wyobraźni, w których osoba opowiadającego jest także fikcją. Korzystając z uprawnień powieściopisarza, Breza zdaje się znajdować przyjemność w patrzeniu na Watykan oczami suspendowanego księdza, mającego wrażenie, że spotkała go krzywda, lecz nie decydującego się na zrzucenie sutanny.

Jest rzeczą oczywistą, że wybór takiego punktu obserwacyjnego nie może mieć nic wspólnego z *libre examen,* i z daleka trudno jest zrozumieć, w jaki sposób książki Brezy mogły wywołać entuzjazm warszawskich racjonalistów i zwolenników kultury laickiej. Zresztą zebrany przez Brezę materiał obserwacyjny jest zbyt drobnicowy, błahy, nieistotny, aby stać się przedmiotem jakiegoś *libre examen.*

Breza jest powieściopisarzem, przyjrzyjmy się więc naprzód jego powieści. Temat jej jest następujący. Adwokat do spraw rozwodowych, pracujący przy prowincjonalnej kurii biskupiej w Polsce, utracił zaufanie swego biskupa, który uniemożliwił mu wykonywanie praktyki zawodowej. Autor daje do zrozumienia, że adwokat zachowywał się zbyt kompromisowo wobec władz Rzplitej ludowej, co źle usposobiło dlań nieprzejednanego biskupa. Szukając sprawiedliwości w Rzymie, gdzie kształcił się w prawie kanonicznym i ma licznych kolegów i przyjaciół, wysyła tam syna, którego wędrówki po kancelariach watykańskich są głównym wątkiem powieści. Starania młodego petenta ulegają niezrozumiałym dla niego fluktuacjom. Zdają się już być na najlepszej drodze, gdy niechętny adwokatowi biskup umiera, i w kancelariach brana jest w rachubę jego ewentualna beatyfikacja. W tej koniunkturze papiery adwokata i jego syna spadają bardzo nisko, potem dla niezrozumiałych powodów podnoszą się znów, nikt jednak nie chce się angażować w tę sprawę. Wreszcie wszystko załatwia się po myśli petenta. Ostatniego dnia przed zamknięciem kancelarii na okres wakacyjny otrzymuje żądany dokument, lecz czytając go spostrzega, że mimowolna czy umyślna omyłka w nazwie miejscowości pozbawia ten papier wszelkiego znaczenia. Petenta nie opuszcza przez cały czas wrażenie, że nikt nie chce brać na serio krzywdy jego ojca, i że sprawa utyka co chwila na jakichś subtelnych i niezrozumiałych konwenansach, hamowana przez zakulisową grę tajemniczych sił, wobec których czuje się całkowicie bezbronny.

Stefan Żółkiewski w swej bardzo pochlebnej ocenie ,,Urzędu'' (*Nowa Kultura* z 22 stycznia) porównuje tę powieść z ,,Zamkiem'' Kafki. Porównaniu temu i samej powieści brak wszakże zmysłu proporcji. Motyw bezsilności wobec tajemniczych reguł gry urzędu i krzywdy adwokata nie stoi w żadnym stosunku do błahego meritum sprawy. Kto bowiem chciałby się angażować osobiście w niejasną historię adwokata do spraw rozwodowych, który mimo biegłości w prawie kanonicznym nie umiał zachować zaufania swego biskupa ?

W dzienniku rzymskim Brezy uderza przede wszystkim wybór komentowanego przez autora materiału. Dla czytelnika na emigracji ciekawy jest tylko rozdział o teologach polskich studiujących na Universitas Gregoriana, zawierający mało znane poza Rzymem szczegóły. Poza tym znajdujemy w dzienniku samą tylko kronikę wydarzeń, które dla tych czy innych przyczyn mogły wprawić w zakłopotanie sfery watykańskie. Omawia więc szeroko i proces florenckiego biskupa Fiordellego, i nietakty lekarza papieskiego dra Galeazzi-Lisi, i spory między Watykanem i Zakonem Maltańskim i inne, drobniejsze *historiettes*. Wszystkie te sprawy znane mi były przedtem z *Corriere della sera*, którego rzymski korespondent znał je na wylot i omawiał z umiarem i kompetencją.

Przezierająca przez wybór tematów intencja ,,Spiżowej bramy'' ujawnia się już na pierwszej stronicy książki. Poświęcony

Watykanowi dziennik autor rozpoczyna w Fiuggi, miejscowości znanej z moczopędnych wód, od opisu tzw. *edicoli,* to jest budyneczków czyli po prostu mówiąc pisuarów, koło których tłoczą się niecierpliwi kuracjusze. Błyskotliwy efekt kompozycyjny tego wstępu przypomina podróż za granicę Sałtykowa-Szczedrina (*,,Za rubieżom''*), którego towarzyszami w pociągu byli dwaj senatorzy delegowani urzędowo dla zbadania *pisuarnogo dieła* w Paryżu. Jeden z nich pieczętował się herbem wyobrażającym rękę trzymającą złotą urnę w czerwonym polu i napis: ,,Nie wylej'', drugi zaś miał w herbie rękę ze srebrną urną w sinym polu i napis: ,,Utrzymuj w czystości''. Wstęp ten zdaje się być zarazem programem, zapowiedzią, że autor nie zamierza szybować nad wiecznym miastem, lecz zajmie się obserwacją szczegółów bliższych ziemi. skromniejszych może i nie związanych syntezą, lecz dostępniejszych dla oka i wyobraźni.

Milczenie jest bardzo mocną pozycją. Nie można krytykować autora za to, czego nie zamierzał napisać. Ale i zbytnie ograniczenie programu może stać się grzechem przeciw zmysłowi proporcji. Z punktu widzenia, który sobie wybrał Breza, widać tylko tyle, że Pius XII ,,dłubał tak, jak gdyby nie chciał podnieść oczu i popatrzeć powyżej tego dłubania. Pracował w ten sposób nie uznając wolnych dni ani wakacji, tak jakby bał się takiego czasu, w którym myśl człowieka odrywa się od określonego, konkretnego zadania'' (,,Spiżowa brama'', str. 482). Wszystko to może być prawda, ale prawdą jest również, że w tych samych latach, w których Breza pisał swój rzymski dziennik, Watykan urósł do rozmiarów wielkiej potęgi moralnej.

Za pontyfikatu Piusa XII świat katolicki uległ wielkim przemianom. Istniejące w nim przedtem ambicje totalitarne znikły z pola widzenia. Rządząca Włochami chrześcijańska demokracja weszła na drogę współpracy z stronnictwami laickimi. Stronnictwa katolickie odrzucają wszędzie swe tradycje konserwatywne i uczulają się na zagadnienia społeczne. W aktualnych dziś sprawach kolonialnych katolicy zajęli niedwuznaczne stanowisko; dziesiątki księży stanęło przed sądami za ukrywanie algierskich powstańców. W innych okolicznościach przemiany te mogłyby uchodzić za nieunikniony proces modernizacji, unowocześniania się kościoła i ugrupowań katolickich. W warunkach obecnych zjawiska te mają szerszy zasięg. Rzecz w tym, że stara Europa wciąż nie może się pozbyć spadku po wielkich dyktatorach, po ich metodach rządzenia i towarzyszącym im zamęcie pojęć. Zamachy, egzekucje i tortury trwają nadal wśród dziwnej obojętności współczesnych. Sumienia laickie nie zamilkły wprawdzie, lecz tam nawet, gdzie przemawiały niegdyś z największym autorytetem, głos ich odzywa się słaby i niejasny. Na tym tle zwłaszcza kościół katolicki stał się siłą moralną, widoczną także dla obcych.

Można oczywiście ignorować te aspekty Watykanu i jego polityki, ale pominięcie ich daje obraz szary, mętny, bez świa-

tłocienia, bez reliefu, i zawarte w nim informacje spadają łatwo do rzędu tych, z którymi prałaci rzymscy załatwiają się lekceważącym ruchem ręki: *Sono pettegolezzi.*

Paweł HOSTOWIEC

O Chinach prawdziwie

Po niezliczonych relacjach, o wątpliwej wartości, kolportowanych na rynku zachodnim przez osoby, które odwiedzały Chiny w celach rozrywkowych — nareszcie dokument o współczesnych Chinach (1) — książka, która nie jest ani panegirykiem, ani oskarżeniem. Przetłumaczona na język angielski i wydana w New Yorku (oryginał w języku chińskim ukazał się w Hong Kongu) kilka miesięcy temu — praca ta ma kapitalne znaczenie dla tych wszystkich, którzy pragną wiedzieć co się dzieje w Chinach. Niestety ukazanie się tej książki przeszło prawie niepostrzeżenie; zna ją jedynie kilku sinologów — a przecież jest ona prawdziwym wydarzeniem, zdolnym rozwiać mgłę złudzeń i ignoranctwa, która pokrywa rzeczywistość komunistycznych Chin.

Autor — Chow Ching-Wen — był czołowym działaczem Demokratycznej Ligi Chińskiej, jednej z tych partyj liberalnych i demokratycznych, złożonych głównie z postępowych intelektualistów, prześladowanych przez Kuomintang, którzy mogliby stworzyć trzecią siłę, zdolną ustalić rząd demokratycznej koalicji, czego żądała opinia chińska w roku 1945. Ustalenie się takiego rządu jako klucza Chin mocnych, ustabilizowanych i przyjaznych Stanom Zjednoczonym było również pragnieniem rządu amerykańskiego w końcowym okresie wojny z Japonią. Niestety, zamiast wywrzeć skuteczną presję na Czang Kai-Szeka, która by go skłoniła do ustąpienia i położyła kres jego monopartyjnej dyktaturze — Departament Stanu podtrzymywał finansowo i wojskowo skorumpowaną klikę z Whampoa i „cztery rodziny", które grawitowały wokół generalissimusa. W roku 1947 Liga Demokratyczna została rozwiązana przez rząd nacjonalistyczny, a jej leaderzy, wśród nich Chow Ching-Wen — uciekli do Hong Kongu; część z nich przyjęła ofertę komunistów, przyłączyła się do nich i przybyła w roku 1949 do Pekinu, by uczestniczyć w Konstytuancie. Wielu z nich (m.in. pięciu ministrów, objętych w r. 1957 czystką — pod zarzutem „odchylenia prawicowego") zostało włączonych — w charakterze figurantów — do Centralnego Rządu Ludowego. Chow Ching-Wen został członkiem jednego z komitetów rządowych i rektorem uniwersytetu północno-wschodniego w Mukdenie. Łącząc te dwa stanowiska znalazł się jednocześnie wśród dygnitarzy reżymowych i wśród intelektualistów — a więc w samym centrum zachodzących wydarzeń. Rozgoryczony i oburzony tym, czego był świadkiem, uciekł do Hong Kongu w końcu r. 1957.

(1) CHOW CHING-WEN (Czou Tzing-Wen). Ten years of Storm. The True Story of the Communist Regime in China. Foreward by Lin Yu-Tang. Trans. and edit. by Lai Ming, Holt, Rinehart and Winston, New York 1960.

Na wstępie swojej pracy autor opisuje krótko okoliczności, które działały na korzyść komunistów i doprowadziły do ich zwycięstwa wcześniej, aniżeli mogli przypuszczać w najśmielszych swoich nadziejach. W roku 1946, w chwili wybuchu wojny domowej, komuniści przypuszczali, że walka będzie trwała wiele lat i że jej wynik jest niepewny. W listopadzie 1948, po zajęciu Mukdenu, Mao Tse-Tung — pewny już zwycięstwa — przewidywał jej koniec w ciągu czterech-pięciu lat: w dziesięć miesięcy później na T'ien-An-Men w Pekinie proklamował powstanie Chińskiej Republiki Ludowej! Szybkość z jaką załamał się ustrój nacjonalistyczny, była niespodzianką dla całego świata. Nikt jednak wówczas nie zdawał sobie sprawy z ważności tego, co się odbywało, że złożoności współczynników gry i z jej końcowych wyników. Powtarzające się od roku 1931 najazdy japońskie pociągnęły za sobą konieczność utworzenia Zjednoczonego Frontu przeciwko najeźdźcy, co uratowało komunistów od zagłady ze strony Czang Kai-Szeka. Wojna, która trwała nieprzerwanie od roku 1937 do 1945 pozwoliła komunistom na znaczne powiększenie ich sił i na zajęcie — poza liniami japońskimi — ogromnych terytoriów; było to zgodne z tajnym poleceniem Mao Tse-Tunga, przewidującym poświęcenie 70% sił na powiększenie własnego potencjału, 20% na szachowanie sił rządowych, a tylko 10% na zwalczanie Japończyków — wszystko to zresztą z całkowitym pogwałceniem umów, podpisanych przez Partię Komunistyczną z rządem Narodowym w roku 1937. Pod koniec wojny komuniści utworzyli z zachodnich Chin własną twierdzę, a przychylność wojsk sowieckich w Mandżurii pozwoliła im zdobyć wielką ilość sprzętu wojennego. Kuomitang ze swej strony nie tylko nie umiał wykorzystać wojny w celu usanowania się i odzyskania na nowo zapału rewolucyjnego, ale, niestety, coraz bardziej pogrążał asię w korupcję i nepotyzm — te konie trojańskie, które miały go w latach 1945-1949 jeszcze bardziej osłabić niż ciosy zadane przez komunistów. W przeciwieństwie do przeciwników zjednoczonych pod jednym i niesłychanie wydajnym kierownictwem — armii nacjonalistycznej brakło spoistości i chęci walki. Była ona przy tym podminowana wewnętrznymi współzawodnictwami i popełniała błąd za błędem. Co więcej, naród chiński był zmęczony nieustającymi wojnami a inflacja czyniła życie coraz trudniejszym. Zniechęceni intelektualiści zrezygnowali z jakiegokolwiek wpływania na bieg spraw.

Autor, nakreślając wewnętrzną historię ustroju komunistycznego w Chinach, od chwili jego ustalenia się aż po komuny ludowe, opisując wypadki w których brał udział i fakty, których był świadkiem — przedstawia analizę charakteru i rozwoju chińskiego komunizmu oraz ocenę powodów i przebiegu tych „ruchów", które go wsławiły („Likwidacja kontrrewolucjonistów", itd., itd.). Autor wykazuje jak ryzykowna gospodarka rządzących i wzrastająca nędza ludności oraz nieunikniony w tych warunkach terror, wyobcowywały coraz bardziej komunistów z narodu chińskiego i coraz silniej pchały ich do szukania wojennych awantur na zewnątrz. Mimo wiarygodności faktów, które wymienia — wnioski autora są niekiedy wątpliwe. Pewna przesada i raczej nieszczęśliwie pomyślana przedmowa Lin Yu Tang'a (który, na przykład, zapewnia, że Chińczycy w ustroju komunistycznym żyją tak jak Polacy, Rosjanie czy Węgrzy — co jest niewątpliwie fałszywe) — rzucają cień na powagę jego książki. Ale to nie ujmuje zasadniczej wartości tego dzieła, z którym jak najszybciej powinni zapoznać się ci wszyscy, którzy naprawdę interesują się zagadnieniem chińskim.

Noel N. MADGER

(Przełożyła Zofia HERTZ)

Historia Sowieckiej Partii Komunistycznej

Podobnie jak za czasów carskich, prawdziwa historia Rosji i jej władców pisana wciąż być może tylko poza jej granicami. Choć są niewątpliwe trudności z uzyskiwaniem niezbędnych materiałów, materiały te raz zdobyte, tam tylko mogą być naprawdę naukowo i obiektywnie opracowywane i przedstawiane bez oglądania się na takie czy inne polityczne wymogi i racje, czy to stalinowskie, czy chruszczewowskie. Niestety „żelazna kurtyna", którą Stalin przez lata odgradzał swoje imperium od Zachodu przez czas dłuższy uniemożliwiała wykonanie tego zadania w sposób właściwy. Dopiero ostatnio dostęp do Rosji stał się nieco łatwiejszy, a rewelacje z okresu „odwilży" uchyliły rąbki niektórych, dotąd pilnie strzeżonych, tajemnic oraz oficjalnie potwierdziły wiele wiadomości, którym ultra ostrożni i bezstronni badacze zachodni nie zawsze chcieli całkowicie wierzyć. Dzięki tym zmianom powstać mogła omawiana książka (1). Jej autor, korzystając z finansowej pomocy fundacji Forda, w ciągu przeszło trzech lat pilnie studiował wszelkie dostępne w wolnym świecie materiały. Pracował w bibliotekach i instytucjach po obu stronach Atlantyku; zbadał złożone w uniwersytecie Harward archiwum Trockiego; zasięgał informacji od wielu przebywających na Zachodzie świadków, czy nawet niekiedy w pewnym co najmniej stopniu aktorów, historycznych wydarzeń. Ilość przejrzanych przez niego druków, maszynopisów i rękopisów była olbrzymia: można mu wierzyć, gdy pisze, że samo tylko ich wyliczenie zajęłoby więcej niż 600 stron, jakie liczy jego książka. Szczęśliwie jednak nie utonął on w szczegółach, potrafił ograniczyć się do podawania najistotniejszych faktów, podkreślania ich wzajemnego związku oraz zarysowywania tendencji rozwojowych, przy dużej ostrożności sądów własnych i powściągliwości języka. Wiele mówiąc o czołowych przywódcach i ich wzajemnych stosunkach, nie pomijał i masy partyjnej, przytaczając o niej dobrze wybrane i często bardzo wymowne dane liczbowe. Zajmując się w pierwszym rzędzie partią, nie cofał przed dotykaniem stosunków w wojsku, w służbie bezpieczeństwa, w życiu gospodarczym i kulturalnym, we wszystkich dziedzinach, na które w totalnym ustroju sowieckim partia wywiera wpływ przemożny. W rezultacie powstała bardzo interesująca książka, w całości bodaj zasługująca na jej streszczenie po polsku. Ponieważ jednak jest to tutaj niemożliwe, ograniczę się tylko do omówienia kilku fragmentów najbardziej interesujących polskiego czytelnika.

Oficjalni historycy bolszewizmu zazwyczaj wstydliwie pomijają lub prześlizgują się przez okres pomiędzy 1906-1917 latami. Toteż możemy być szczególnie wdzięczni profesorowi Schapiro za wypełnienie tej luki, gdyż w owym okresie rola tak zwanych „polskich esdeków" z SDKPiL była szczególnie istotna i ważna. Oficjalnie wchodzili oni wówczas w skład ogólno-rosyjskiej partii socjaldemokratycznej i przez pewien czas stanowili decydujący języczek u wagi w sporach pomiędzy jej bolszewickim a mienszewickim skrzydłami. Spory zaś te dotyczyły nie tylko zagadnień ideologicznych czy politycznych: poważne miejsce zajmowała w nich również sprawa tak zwanych „brudnych pieniędzy", uzyskiwanych przez bolszewików drogą zbrojnych ekspropriacji lub uwodzenia moskiewskich kupcowien.

---

(1) Leonard Schapiro, *The Communist Party of the Soviet Union*, London & New York, Random House, 1960.

Przez pewien czas „polscy esdecy" zajmowali w tej sprawie stanowisko rzeczowe i neutralne, następnie jednak je zmienili — jak pisze prof. Schapiro — „w sposób dramatyczny". Pomimo iż Róża Luksemburg w prywatnym liście do swego faktycznego małżonka, Jogichesa-Tyszko, wyrażała się w owym okresie o bolszewikach jako o „tatarsko-mongolskiej dziczy", oboje ci ówcześni naczelni przywódcy SDKPiLu wypowiedzieli się nagle po stronie Lenina. Zdecydowały, zdaniem prof. Schapiro, dwa względy. Z jednej strony pomoc finansowa, jaką zaczęli otrzymywać z zasobnego skarbca Bolszewickiego Centrum, z drugiej — potrzeba sojusznika do walki ze znienawidzonymi Pepesowcami, mile — rzekomo — widzianymi przez mienszewików. W rezultacie — pisze profesor Schapiro — w ciągu następnych trzech lat usługi Tyszki, którego nienawidzący go Plechanow scharakteryzował kiedyś Engelsowi jako 'kieszonkowe wydanie Nieczajewa', posiadały dla Lenina niezmiernie wielkie znaczenie. Dopiero gdy na jesieni 1911 r. leninowcy z kolei wystrychnęli Tyszkę na dudka i przekreślili wszystkie jego plany i nadzieje, zerwał on z Leninem i w szeregu gorzkich broszur i artykułów oskarżał o postępowanie, które przez uprzednie trzy lata nie tylko tolerował, ale i całkowicie aprobował. Również i Róża Luksemburg, odczuwszy na własnej skórze leninowskie metody, namiętnie je potępiała w 1913 r. w przemówieniu w Socjalistycznej Międzynarodówce w Brukseli.

Niestety, i w innym, późniejszym, wypadku, gdy chodziło o „brudne pieniądze", dawni esdekapeelowcy odegrywali rolę kluczową. Aczkolwiek Schapiro obiektywnie stwierdza, że ogłoszone przez rosyjski Rząd Tymczasowy w 1917 r. dowody otrzymywania przez bolszewików niemieckich pieniędzy same przez się nie były przekonywujące, podkreśla przy tym notoryczną kłamliwość tłumaczeń się i usprawiedliwiań Lenina. Wówczas gdy Lenin publicznie kategorycznie zapewniał, że ani on, ani jego partia nigdy nie mieli żadnych pieniężnych ani handlowych stosunków z Haneckim czy Kozłowskim, w prywatnych listach do tegoż Haneckiego i Radka w Sztokholmie Lenin najprzód się użalał, że dotychczas nie otrzymał od nich pieniędzy oraz zalecał im największą ostrożność w stosunkach i kontaktach, następnie zaś... kwitował otrzymanie pieniędzy przez Kozłowskiego.

Brak moralnych skrupułów oraz niezwykła siła charakteru umożliwiły Leninowi nie tylko zdobycie władzy w Rosji, lecz również zawsze zwycięskie wychodzenie ze wszelkich konfliktów ze swymi najbliższymi współpracownikami. Dopiero na jesieni 1922 r. poniósł on pierwszą i decydującą klęskę: nie zdołał przeprowadzić swego punktu widzenia ani w sprawie stosunków z nie-rosyjskimi narodowościami i partiami, ani w sprawie organizacji i składu naczelnego kierownictwa partyjnego. Pozbawiony wkrótce możności wyrażania swych myśli, Lenin musiał mniej lub więcej świadomie znosić, jak wychowani przez niego zdolni uczniowie stosowali podobne do jego metody we własnym już imieniu i na własny rachunek. Zresztą, jak stwierdza prof. Schapiro, decydujące sukcesy Stalina w walce o sukcesję po Leninie były przede wszystkim skutkiem kapitalnych i często wręcz niezrozumiałych błędów jego rywali. Trocki, na przykład, w decydujących momentach wydawał się być jakby w stanach prostracji, niezdolny do jakiejkolwiek decyzji i akcji. Na zjeździe partyjnym bezpośrednio po śmierci Lenina, Trocki publicznie deklamował, że „partia ma zawsze rację" i „nikt nie może mieć racji przeciwko partii". Następnie, aby nie być pomawianym o 'bonapartyzm', dobrowolnie usunął się z kierownictwa sowieckich sił zbrojnych. Gdy politycznie mu bliski Max Eastman ogłosił na Zachodzie otrzymany nieoficjalnie z Rosji tekst tzw. „testamentu Lenina", Trocki — wbrew prawdzie — publicznie zaprzeczył istnieniu takiego dokumentu. Podobne publiczne oświadczenia złożyła wówczas również i wdowa po Leninie, Krupska. W innym układzie politycznym, Bucharin sam w swoim czasie zgłosił projekt uchwały przeciwko prawicowemu odchyleniu,

które reprezentował. Wszystko to umiejętnie wykorzystywał Stalin. Gdy potrafił on całkowicie utożsamić partię z własną polityką i osobą, nikt z partyjnych nie mógł występować przeciwko Stalinowi, nie występując jednocześnie przeciwko samemu sobie. Również i sam Stalin, raz wszedłszy na określoną drogę, nie mógł już z niej zawrócić, gdyż równałoby się to jego samobójstwu. Dbając o własne życie, Stalin musiał zabijać innych.

W ostatecznym rezultacie, po okresie straszliwej 'jeżowszczyzny' w partii pozostali sami 'starsi' i 'nowsi' stalinowcy, pomiędzy którymi, zdaniem prof. Schapiro, toczyła się w dalszym ciągu zaciekła walka o wpływy i władzę, zarówno w ostatnich latach życia Stalina, jak i po jego śmierci. W epilogu książki Schapiro omawia sytuację i stosunki w partii do końca 1958 roku włącznie, twierdząc, że wciąż znajduje się ona w stanie kryzysu, z którego nie może znaleźć wyjścia.

Wiktor SUKIENNICKI

Nadesłane nowości wydawnicze

GROSSMAN (Moshe). *In the Enchanted Land*. My seven years in Soviet Russia. Tłumaczył z yiddish I.M. Lask. Str. 384. (Wyd. Rachel, Tel-Aviv, Israel, 1960).

MICHALSKI (Stanisław) *Czarna maligna*, str. 54. (Nakładem Zrzeszenia Poetów Prześladowanych im. Borysa Pasternaka, Montreal, 1960).

GUARESCHI (Jan). *Mały świat Don Camilla*. Wydanie drugie. Str. 236 i 6 nlb. Tom L. Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej". (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", październik 1960. Cena 18 sh.).

CASTEX (P.) i SURER (P.). *Wypisy i studia z literatury francuskiej XX wieku*. Str. 191 i 1 nlb. (Wyd. Libella, Paryż, listopad 1960. Cena 10 NF.).

TABORSKI (Bolesław). *Ziarna nocy*. Wiersze. Str. 100 i 2 nlb. (Wyd. Państwowy Inst. Wyd., Warszawa, 1958, cena 10 zł.).

KOCZY (Leon). *Grunwald*. Dzień chwały polskiego oręża. Str. 40. Millenium Polski 966-1966. Wykonano w Oficynie Poetów i Malarzy. Szkocja 1960. (Nakł. Twa Społ. Ośw. im. Gen. Wł. Sikorskiego w Glasgowie, Rady Polonii w Szkocji, Rady Stow. Pol. w Edynburgu, Twa Przyrodników im. M. Kopernika w Edynburgu, Domu Polskiego w Falkirk i Zw. Ziem Wsch. w Edynburgu.

BOGUSŁAWSKI (Antoni). *I znowu styczeń*. Powieść. Str. 314 i 2 nlb. (Skład Główny B. Świderski, Londyn. 1961).

ŁYSEK (Paweł). *Z Istebnej w świat*. Wspomnienia. Str. 203 i 5 nlb. 3 ilustracje. Tom IX Londyńskiej Biblioteki Literackiej. (Wyd. B. Świderski, Londyn 1960.

CHOJNACKI (W.) i KOWALIK (J.). *Bibliografia niemieckich bibliografii dotyczących Polski 1900-1958*. Str. 252. (Nakł. Instytutu Zachodniego w Poznaniu, 1960, cena 50 zł.).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Na emigracji zostaliśmy — jak zapewniają mali i wielcy jej rzecznicy — by walczyć o wolność, by protestować przeciwko totalistycznemu systemowi, który knebluje naród, Głosimy, że jesteśmy żywym wcieleniem demokracji, bez wszelkich przymiotników.

O ile się nie mylę najistotniejszym, najbardziej podstawowym czynnikiem demokracji jest wolność słowa, prasy, wypowiadania swojej oceny. Wystarczy jednak być nawet powierzchownym czytelnikiem prasy emigracyjnej, by narosła góra wątpliwości.

Ilekroć jakiś pisarz, publicysta, czy zwykły człek, wypowie coś co nie mieści się w naszych szablonach natychmiast sypią się protesty. Te ogłaszane w prasie są tylko cząstką, gdyż mało osób chwyta za pióro.

Bez trudności można ułożyć listę postaci i problemów nietykalnych, nad którą widnieje napis ,,świętości nie szargać''. Znajdą się na niej Piłsudski, Dmowski, Witos, Daszyński, Sikorski, Sosnkowski, Haller, Anders, Śmigły-Rydz i wielu innych. Można by tę listę z powodzeniem przedłużać, nie zabraknie kandydatów; zmarłych i żywych.

Naturalnie nie należy wyciągać pospiesznego wniosku, że wszystkich zgodnie broni społeczność emigracyjna i naruszenie ,,czci'' któregokolwiek spotyka się z jednym, donośnym głosem: ,,nie wolno, nie pozwalamy''. Co to, to nie. Protestują w zasadzie zwolennicy ,,wodzów'', ale czasami łączą się w zespoły, gdy jakaś zasada została rzekomo skalana. I to wszystko na emigracji, gdzie zasada wolności prasy, krytyki jest kanonem.

Nie jestem w stanie zrozumieć dlaczego np. Zbyszewskiemu, Mieroszewskiemu czy innym nie wolno oceniać skrajnie i odmiennie większych czy mniejszych postaci historycznych, wydarzeń, problemów. Przecież żaden z nich nie pisze podręcznika szkolnego, nie zwraca się do osób nieprzygotowanych, nieobeznanych z zagadnieniami. Przecież W.A. Zbyszewski nie usiłuje nigdy być obiektywnym chłodnym informatorem, sprawozdawcą, ale zawsze jest indywidualnym, prowokującym, wnikliwym, dociekliwym — i jakże bystrym — obserwatorem.

Naturalnie mnóstwo u niego uproszczeń, nieścisłości, sympatii, antypatii. Dlatego gen. Hallera potrafi niemiłosiernie rozłożyć a Henrykowi Łubieńskiemu przygotować cokół pod pomnik. Ale w jednym i drugim wypadku — jak zresztą w każdym innym — prezentuje wysoko klasę pisarską, dostarcza Czytelnikom mnóstwo interesujących, często nieznanych szczegółów, anegdot. Dlaczegoż więc od razu rozrywać szaty?

Zgodnym chórem protestujemy przeciwko cenzurze w Polsce, głosimy iż nikt nie może tam wypowiadać swojej opinii — oczywiście nikt poza rzecznikami partii. A tymczasem aż nazbyt wiele wskazuje na to, że właśnie nam na emigracji najbardziej brak jest cenzury, chociażby tej sławojowej.

Mam wrażenie — na podstawie prasy i publikacji krajowych — iż mimo istnienia tam cenzury, mimo „iż naród jęczy w niewoli" — jak to pięknie głosimy — można tam znaleźć wcale pokaźną ilość śmiałych wypowiedzi, tak bardzo odbiegających od naszego tradycyjnego rytuału. Aby tylko wymienić Jacka Woźniakowskiego, St. Kisielewskiego, Juliusza Eskę, Tadeusza Mazowieckiego, Tadeusza Żychiewicza, Leszka Kołakowskiego, Jana Szczepańskiego. Można sobie wyobrazić tylko jakie rozmiary przybrałaby ta odwaga wypowiadania indywidualnych, odmiennych, nonkonformistycznych poglądów, gdyby nie istniała cenzura w Polsce!

Tutaj zmumifikowani strzegą mumii tam, w ciężkich doświadczeniach i w stałej walce, formuje się przyszłość.

Łączę wyrazy poważania.

Stefan MICHALAK



Nowy Jork, 14 stycznia 1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Na marginesie uwag p. Witolda Gombrowicza o muzyce, zawartych we „Fragmencie z dziennika" (Kultura nr 7/8, 1960) pragnę zaznaczyć, że niezwykłość tych uwag robi chwilami wrażenie wywodzenia się ich nietyle z kultu muzyki ile z kultu paradoksów. Uderzają zwłaszcza niezwykłe wnioski, wysnuwane z przesłanek, zasadniczo trafnych.

Dwa przykłady: Autor cytuje sąd o Bachu, zaznaczając, że sąd ten uchodzi za herezję. Z dalszych jednak zdań autora wynika, że bierze on tę herezję pośrednio w obronę. Należy się więc z nią zaznajomić. Wśród wszystkich przymiotników, jakimi ta „herezja" obdarza Bacha, podstawowym wydaje się przymiotnik „matematyczny". Z niego wywodzą się inne zwłaszcza najbardziej jaskrawe jak nudny, monotonny, obiektywny, abstrakcyjny.

Stwierdzenie cechy matematyczności u Bacha nie jest odkryciem nowym. Podkreślił tę cechę dawno temu inny znawca muzyki, gorący Bacha wielbiciel. Pisał on tak: „Bach nie zestarzeje się nigdy. Konstrukcja jego dzieł jest jak owe figury geometryczne, idealne zbudowane, gdzie wszystko jest na miejscu i nie ma jednej linii zbytecznej". Dostrzegł on więc u Bacha geometryczną dokładność.

Porównanie owych sądów, wysnutych z tej samej przesłanki, wykazuje dzielącą je przepaść, dokładnie odpowiadającą tej jaka istnieje, mimo pozornego pokrewieństwa pojęć, między pedanterią a precyzją. Ten zaś drugi sąd, stwierdzający u Bacha geometryczną dokładność, o tyle trudno przemilczeć, że wypowiedział go człowiek, muzycznie dość wyrobiony. Był nim Fryderyk Szopen.

Jakże więc wielką bywa rozpiętość konkluzji wywodzących się z tego samego pojęcia matematyczności. Bo też matematyka — to nie tylko suchość cyfr, to także koncepcja ładu a zarazem astronomicznie zawrotne wyżyny, które dopuszczają porównanie z najwznioślejszymi wyżynami sztuki.

Nie wiadomo co prawda, w jakiej mierze sądy Szopena o muzyce są miarodajne, skoro kompozytor ten — zdaniem p. Gombrowicza — „wykorzystując do maksimum swój wynalazek — odmienne potraktowanie fortepianu — wynalazł sobie własną grządkę, z której nosa nie wychylał, rad że chociaż taki folwark posiada".

Naśladując mnogość przymiotników zawartych w podanym przez p. Gombrowicza, a wspomnianym poprzednio określeniu muzyki Bacha, można by tu sformułować sąd np. taki:

,,Szopen jest ciasny. Zasklepiony. Prowincjonalny. Zaściankowy. Regionalny" etc. etc.

Od stwierdzenia pianistycznej jednokierunkowości geniuszu Szopena do kojarzenia jego muzyki z pojęciami grządki i folwarku, przywodzącymi na pamięć zbyt, powiedzmy, prostolinijną mickiewiczowską radę napisania opery narodowej, daleka jest droga.

Koncepcja dotycząca *sui generis* ograniczenia, jako cechy Szopena, znana jest ogólnie. Wierzyński uwypukla tę cechę w zakończeniu jego biografii, stwierdzając, iż Szopen ,,znał mądrość zasady, że mistrzostwo wynika z samoograniczenia".

Znowuż więc jedna i ta sama przesłanka — fakt istnienia ograniczenia i jego świadomości u Szopena — umożliwia konkluzje zgoła różne, w szczególności wnioski inne niż te jakie wysnuł autor ,,Fragmentu z dziennika"; wnioski upatrujące w tych właśnie faktach jeden z czynników składających się na klasyczną doskonałość szopenowskiego geniuszu.

Jan MORELOWSKI

◆

New York 20.11.60. r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Od kilku lat prenumeruję ,,Kulturę" i zawsze uważałem to pismo za jedno o najwyższym poziomie na emigracji. Ostatnie artykuły p. Mieroszewskiego tyczące się naszych Ziem Wschodnich zmusiły mnie do napisania kilku słów. Chciałbym wiedzieć kto upoważnił p. Mieroszewskiego do wypowiadania się w sprawie naszych Ziem Wschodnich. Czy p. Mieroszewski przeprowadził referendum wśród Polaków, aby wyrażać się, że większość Polaków nie ma pretensji do Lwowa i Wilna? Podczas gdy Zachód odwleka uznanie naszych granic na Odrze i Nysie to p. Mieroszewski pośpieszył się, aby zrzec się naszych Ziem Wschodnich. Wystąpienie p. Mieroszewskiego na łamach ,,Kultury" porównuję do roli nowego" Reytana. Nie będę więcej pisał w tej sprawie, ale oświadczam, że jeżeli p. Mieroszewski wystąpi ponownie w tej sprawie to nie tylko, że przestanę prenumeratę ,,Kultury", ale zwrócę się do wszystkich pism polskich w Ameryce z apelem do czytelników ,,Kultury" o zbojkotowaniu tego pisma.

Proszę przyjąć wyrazy poważania.

NOWOJORCZAN

P.S.: — Nazwiska swego nie podaję, gdyż mam rodzinę w Kraju.

◆

Berlin, 7 lutego 1961 r.

Drogi Panie Redaktorze!

Do p. Stefana Korbońskiego jako czytelnika nie mam jakoś szczęścia i nic już na to nie poradzę. Pamiętam, że przed laty obruszył się na mnie ponieważ zarzuciłem politykom ,,Zgromadzenia Narodów Ujarzmionych"

— zdaje się, że tak ta instytucja amerykańska się nazywa po polsku — krótkowzroczność. Wówczas p. Korboński powołał się na statuty. Nie polemizowałem, bo polityk, który powołuje się na statuty uchwalone przez obcych urzędników przestaje, w moim przynajmniej mniemaniu, być politykiem, a staje się czymś podobnym do agenta firmy ubezpieczeniowej. Machnąłem ręką, choć mi niektórzy bardziej krewcy Polacy obiecywali sukurs...

Po ostatnim liście p. Korbońskiego („Kultura" Nr 1/159-2/160) milczeć nie będę. W pierwszej chwili po jego przeczytaniu, zdębiałem, nie mogłem zrozumieć jak to się stało, że napisałem podobne głupstwo, które zarzuca mi p. Korboński. Zajrzałem do tekstu i stwierdziłem, że przypisuje mi on słowa których *nie napisałem*. P. Korboński z mego artykułu wyczytał (jak pisze w swoim liście) że „Osadczuk określa dotychczasowy system funkcjonowania ONZ jako oparty o 'zasadę rozmów Wielkiej Czwórki', którą Chruszczow pragnie zastąpić zasadą uniwersalności tej organizacji". Tymczasem — jak można przeczytać w listopadowym numerze „Kultury" (157, 1960) napisałem, że: *przebieg sesji ONZ wskazuje, iż Chruszczow odchodzi od koncepcji „rozmów Wielkiej Czwórki" i dokonuje wielkiego manewru dyplomatycznego celem przesunięcia aktywności dyplomacji sowieckiej z płaszczyzny czterech mocarstw na platformę ONZ*". Czyli że napisałem akurat na odwrót to co przeczytał p. Korboński. O takich nieporozumieniach mówi się po ukraińsku „de kum, a de korowaj" po polsku zdaje się: „gdzie Rzym a gdzie Krym". Zaznaczam, że w przysłowiach nie jestem mocny i gdybym tu coś pokręcił będę wdzięczny p. Korbońskiemu ze sprostowanie.

Z najlepszymi pozdrowieniami.

Bohdan OSADCZUK



Londyn, 28.12.1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W doskonałym artykule p. W.A. Zbyszewskiego (z nru listopadowego „Kultury") charakteryzującym osobę i pracę Henryka Łubieńskiego, stwierdziłem kilka nieścisłości, które jak przypuszczam powstały nie z winy autora artykułu.

P. W.A. Zbyszewski, przybywszy do Anglii zaraz po upadku Francji w czerwcu 1940 r., nie mógł wiedzieć co się na tym terenie działo.

By uniknąć w przyszłości powstawania różnych legend, o które tak łatwo w naszym społeczeństwie, uprzejmie proszę Pana Redaktora o zamieszczenie w „Kulturze" niniejszego wyjaśnienia.

Henryk Łubieński skończył wojnę polsko-bolszewicką 1920 r. w stopniu podporucznika rezerwy, a nie porucznika jak podaje autor artykułu. Porucznikiem został bowiem mianowany dopiero w listopadzie 1942 r. rozkazem Naczelnego Wodza za L. dz. 2500/V, przysłanym do wiadomości do Algieru przez Oddział Informacyjno-Wywiadowczy Sztabu Naczelnego Wodza depeszą radiową za nr. 9311.

Ppor. rez. Henryk Łubieński, po upadku Francji w czerwcu 1940 r. przybył do Tuluzy, dokąd przybywała większość żołnierzy armii polskiej, przedzierając się poprzez oddziały niemieckie.

W tym czasie, Ambasada Polska wraz z całym personelem, a więc i gen. J. Kleebergiem jako attaché wojskowym, przebywała w Hiszpanii.

Będąc raz zmobilizowany ppor. Łubieński nie potrzebował był mobilizowanym potwórnie, i to przez nieobecnego w tym czasie we Francji gen. Kleeberga.

W pierwszych dniach lipca 1940 r. gdy zaczynała organizować się w Tuluzie tajna organizacja polska mająca za cel: ewakuację żołnierzy polskich do Anglii, oraz wywiad przeciwniemiecki, ppor. Łubieński, przedstawiony szefowi tej organizacji przez dziennikarza Józefa Radzymińskiego, został do niej przyjęty i już w dniu 5 lipca 1940 r. zaczął pracować na placówce ewakuacyjnej na granicy francusko-hiszpańskiej. W końcu sierpnia tegoż roku, objął on kierownictwo pododcinka ewakuacyjnego z siedzibą w m. Perpignan, a od połowy września 1940 r. ewakuację na całej granicy hiszpańskiej.

Na placówkach tych mając do pomocy innych współpracowników, Henryk Łubieński pracował z nadzwyczajnym sukcesem z całym oddaniem się sprawie. Jego też niezmordowanej pracy i zapałowi, zawdzięcza wiele setek naszych żołnierzy swój wyjazd z Francji do Anglii.

Po przeniesieniu nielegalnej ewakuacji lądowej na drogę morską, ppor. Henryk Łubieński został przez Szefa Kierownictwa Ewakuacji przeniesiony na kierownika specjalnej placówki w Vichy, na której to właśnie mógł wykorzystać wszystkie cechy i zalety swego charakteru, które tak pięknie opisał p. W.A. Zbyszewski.

W tym czasie, Ambasada Polska w Vichy już była zlikwidowana, a gen. Kleeberg przestawszy być attaché wojskowym, mieszkał i ukrywał się w Marsylii jako dowódca tajny żołnierzy polskich we Francji.

Ppor. Henryk Łubieński, nie pracował w wywiadzie na terenie Francji. Gen. J. Kleeberg nigdy tymi sprawami na terenie Francji, a tym bardziej Afryki Półn. nie zajmował się.

Wyjazd Henryka Łubieńskiego na teren Afryki Półn. do Algieru, nastąpił za zgodą Szefa Ekspozytury Wywiadowczej Afryki Półn. w dniu 19 lipca 1941 roku. Jechał on wraz ze swoją żoną (p. Martą Biskupską) nie jako Francuz i kupiec z Lille, lecz jako Polak, dziennikarz, pod swoim własnym nazwiskiem i za paszportem polskim. Celem jego podróży, miało być zebranie materiału do napisania książki o francuskiej Afryce Półn. Była to dla niego doskonała ,,pokrywka osobista'', jako dla oficera wywiadowczego Ekspozytury, a nie oficera informacyjnego, jak podano w artykule.

W charakterze oficera wywiadowczego Henryk Łubieński pracował w Algierze od 21 lipca 1941 r., aż do lądowania alianckiego w dniu 8 listopada 1942 r. Samo lądowanie wojsk alianckich zastało go ukrytego od połowy października 1942 r. w melinie w Oranie.

Odwołany do Centrali do Londynu, wyjechał z Algieru w dniu 23 grudnia 1942 r. statkiem ,,Arundel Castle'' wraz z Szefem Ekspozytury wzywanym do Londynu przez Szefa Brytyjskiego Intel. Serv. celem złożenia meldunku sytuacyjnego o Afryce Półn., potrzebnego premierowi Churchillowi do konferencji w Casablance w styczniu 1943 r. Nie był więc odesłany pierwszym krążownikiem brytyjskim do Anglii, do dyspozycji Naczelnego Wodza Jeśli się nie mylę nasz Naczelny Wódz nic o polskiej pracy wywiadowczej na terenie Afryki Półn. nie wiedział.

Przez cały czas swojej pracy na terenie Afryki Półn. Henryk Łubieński wykazał wszystkie swoje osobiste walory, będąc przy tym karnym i wybitnie posłusznym oficerem, spełniającym bez żadnych zastrzeżeń otrzymywane zlecenia, co właśnie w służbie wywiadowczej ma ogromne znaczenie. Za swoją pracę właśnie został awansowany i odznaczony srebrnym Krzyżem Zasługi z mieczami.

Że praca wywiadowcza na terenie Afryki Półn. nie była ,,wielką bujdą'', Henryk Łubieński widział to sam na jej rezultatach, lądowania alianckiego, a ocenę tej pracy dały sztaby, brytyjski i amerykański.

Po rocznej pracy w Rubensie w dwójce, z której por. Łubieński nie był zadowolony, został on wysłany do Madrytu, nie jako attaché wojskowy, ale jako oficer wywiadowczy do działającej tam Ekspozytury Wywiadowczej. Stanowisko attaché prasowego było jego „pokrywką" oficjalną.

Z Amerykanami na terenie Afryki Półn. nie miał i nie mógł mieć Henryk Łubieński kontaktów, a nie był do nich używany, ze względu na dekonspirację jego osoby.

Mam wrażenie, że podane przeze mnie fakty, uzupełnią świetną biografię Henryka Łubieńskiego tą częścią jego pracy z czasu drugiej wojny światowej, która dotąd nie jest znaną polskiemu społeczeństwu tak w kraju jak i na emigracji.

Raczy przyjąć WPan Redaktor wyrazy prawdziwego poważania.

M.Z. RYGOR-SŁOWIKOWSKI



Londyn, 25 stycznia 1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zwracam się do Pana z uprzejmą prośbą o umieszczenie w „Kulturze" poniższej notatki.

W pośmiertnym wspomnieniu o gen. Józefie Hallerze, p. W.A. Zbyszewski nie ma niemal innych określeń dla niego, jak tylko „poczciwa generalska mumia", „nicość", „staruszek, który robił wrażenie notariusza z Płocka" itp.

Nie mam przygotowania do tego, aby należycie ocenić działalność śp. Generała na różnych jej odcinkach. Muszę jednak stanąć w obronie przed tak niewłaściwą i wysoce krzywdzącą charakterystyką śp. Zmarłego, który był jedną z czołowych postaci historycznych Polski 20-go wieku.

P. Zbyszewski wspomina, że nazwisko śp. gen. J. Hallera „zelektryzowało młodzież warszawską w obronie stolicy". Trudno przypuścić, aby młodzież szła za nim, gdyby, jak przedstawia to p. Zbyszewski, „nie miał on żadnych danych ani na wodza, ani polityka ani na działacza społecznego".

Ze śp. gen. J. Hallerem współpracowałem bardzo blisko przez przeszło dwa lata w 1941-1943 r., gdy jako minister był on kierownikiem Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych w Londynie. Na podstawie codziennego z nim kontaktu inny wyrobiłem sobie sąd o nim, aniżeli p. W.A. Zbyszewski na podstawie jednorazowego, krótkiego z nim zetknięcia się w roli petenta. Śp. gen. J. Hallerowi brakowało tej błyskotliwej inteligencji, która by mogła imponować ludziom przygodnie stykającym się z nim. Z okresu stałego z nim obcowania wyniosłem jednak nie tylko osobiste przywiązanie do śp. Generała, ale równie wielki szacunek dla jego charakteru, rozwagi i rozsądku, doświadczenia życiowego i zdrowego sądu o ludziach. Nieraz zdarzało mi się przekonać o słuszności jego rozstrzygnięć, mimo iż nie szły one po linii proponowanej przeze mnie, lub którego z mych kolegów, w referatach przedkładanych do decyzji.

Bardzo charakterystyczny dla p. W.A. Zbyszewskiego jest ustęp artykułu dotyczący jego audiencji u śp. gen. J. Hallera. P. Zbyszewski ma pretensję do śp. Zmarłego, że nie znał jego sprawy i „do końca nie orientował się o co chodzi". Ale czy jest rzeczą ministra znać i załatwiać drobne sprawy wszystkich petentów? Od tego ma on swój urząd i na to są „radcy i referenci", o których p. Zbyszewski wyraża się z przekąsem. Minister wi-

nien rozstrzygać tylko w sprawach ważnych i o bardziej ogólnym charakterze. Ale była u nas niestety osobna kategoria ludzi, którzy uważali, że normalna procedura w załatwianiu spraw nie może ich dotyczyć. Starali się zawsze, z jej pominięciem, docierać do osób stojących o ile możności najwyżej w hierarchii urzędniczej, a jeśli się dało to do samego ministra, żądając tym samym dla siebie specjalnego traktowania.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Tadeusz SULIMIRSKI

◆

Londyn, 27.1.1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Doszedł do moich rąk trzeci odcinek wrażeń londyńskich Romana Karpińskiego, drukowanych we wrocławskiej ,,Odrze'' (nr 2 z 15.1.61), zatytułowany *Dola ,,wściekłych''*. W artykule tym jest kilka nieścisłości, z których w tej chwili obchodzi mnie jedna, odnosząca się do mojej współpracy z ,,Kulturą''. Dlatego właśnie kieruję ten list na ręce Pana, a jednocześnie poruszam tę sprawę w liście do redakcji ,,Odry''.

Pisząc o atakach na mnie niektórych kół na emigracji po polskim ,,Październiku'', spowodowanych moją ,,pro-krajową'' publicystyką, Karpiński stwierdza: ,,...kolejno zamknęły się dla jego pióra łamy *Dziennika Polskiego* i *Kultury* Paryskiej'' Przykro mi, że tak jednym tchem zestawiono pismo Pana na wspólnej płaszczyźnie z ,,Dziennikiem Polskim''. Ze swej strony pragnę wyjaśnić (nie Panu, bo Pan dobrze wie jak sprawa wygląda, ale czytelnikom), że: łamy ,,Dziennika'' nie mogły się przede mną ,,zamknąć'', choćby dlatego, że nigdy z tym pismem nie współpracowałem. Owszem, zamknęły się przede mną rozmaite łamy, w szczególności londyńskiego tygodnika ,,Życie'', z którym współpracowałem przedtem przez 9 lat i w którym m.in. prowadziłem kolumnę młodej poezji. (Mój list na ten temat wydrukował Pan w nrze 3 z r. 1957, jednocześnie z listem Jerzego S. Sito, dotyczącym likwidacji prowadzonej przez niego analogicznej kolumny w tygodniku ,,Orzeł Biały''. Ale jeśli chodzi o moją współpracę z ,,Kulturą'', stwierdzam, że nigdy mi Pan swoich łamów nie zamykał (nawet gdy obaj świadomi byliśmy rozbieżności w poglądach politycznych), żadnego artykułu mi Pan nie odrzucił; czasem jakiś wiersz, ale nie wierzę, by powodem tego była inna polityka niż... redakcyjna.

Łączę pozdrowienia i wyrazy szacunku.

Bolesław TABORSKI

◆

Australia, grudzień 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

,,Plujcie, plujcie zawsze coś z tego zostanie''
w parafrazie z Woltera.

P. Sęp-Szarzyński w nr. 9/155 ,,Kultury'' pisze o moich ,,wycieczkach przeciwko niemu''. Broniłem w ,,Konspiracjach na Wyspach'' gen. Wł. Sikorskiego, bowiem w ,,Tropie Legendy'' p. S.S. nie daje przyczynku histo-

rycznego *sine ira*, a dochodzi swej prywaty na poległym Generale, że jego decyzją skierowano p. S.S. na wyspę Bute. Polityka Generała w stosunku do Rosji może być poważnie osądzana *pro* i *contra*. W „Tropie Legendy" tego osądu nie ma. Są rzeczy anegdotyczne: jakim krokiem Generał przechadzał się po chodnikach przed rosyjską ambasadą, demonstrując a nie uczestnicząc w bankiecie. Sednem artykułu jest nakaz Generała rozpuszczania wiadomości, że p. S.S. jest konfidentem niemieckim. To byłoby podłe i jego oburzenie słuszne. Ale należy znać wojsko i ciężar *manu militare*, którą można skruszyć młodszego oficera bez pomocy metod dziecinnie przypisywanych Generałowi przez p. S.S. — Jeśli coś podobnego miało miejsce nie musiało być czynem Generała, a kogoś z podskakiewiczów, których dość za plecami każdej góry.

Jest cechą natur bardzo pospolitych, że w przeciwnika politycznego, lub wręcz dyskutującego rzuca się każdym kamieniem... z własnej wątroby. Pan S.S. insynuuje, że nie jestem tym za kogo się podaję („oficer dyplomowany, jakim się nam przedstawia autor" — dosłownie), po czym delikatny donos do czytelników, gdy nie ma żadnej władzy do której można go posłać — „co do oceny jego myśli politycznej, (Generała — S.Z.) opinia w kraju wydaje sąd bardzo chwalebny. Również... b. premier Mikołajczyk i prof. Kot świadczą na korzyść wielkości Sikorskiego, jako męża stanu". W ten sposób zostałem wepchnięty w tego rodzaju towarzystwo. Słownik p. S.S. jest wyszukanie ordynarny. Nie będę się odpłacał mu pięknym za nadobne.

Teraz sprawa pokrewna, raczej epidemiczna. Wyznawano dawniej zdrową rzymską zasadę, *de mortuis nihil nisi bene*. Uważano, że ćwierćwiecze zapewnia wygaśnięcie animozji, wymarcie aktorów i otwarcie archiwów, by ważyć epokę minioną i dawać sąd bliski prawdzie. W okresie między wojnami wynaleziono niezawsze naukową metodę odbrązowiania. Bodajże Boy był u nas pierwszy. Uczłowieczał posągi i zbliżał czas miniony. Wyszukiwał dokumenty, grzebał w zapiskach i pamiętnikach, odczytywał zleżałe epistoły. Nie wszyscy szli tą drogą. Olgierd Górka np. skrytykował nierealne odległości przemarszów konnych w Trylogii. Gen. Kutrzeba przypomniał mu, że jako oficer winien cyrklem na mapie przemierzyć zarzuty i podziwiać Sienkiewicza, który — zdaje mi się — nie sługiwał wojskowo.

Ostatnio odbrązowianie przeprowadza się jeszcze inaczej. W ostatniej „Kulturze" wspomnienie pośmiertne o gen. Hallerze zawiera opinie prof. Jaworskiego o głupocie zmarłego. Pan Zbyszewski nie mógł siebie pozbawić przyjemności umieszczenia tej pikanterii. Ale już w Piśmie Św. ostrzegano — „kto powie bratu swemu głupi, winien będzie sądu". Rozumiem, że w stolicach świata taki cytat nie gra. Co najmniej myszką trąci. Ale i dla „wypada" lepiej byłoby nie publikować tego nie bardzo ważnego faktu, a przynajmniej nie zaraz, by słowa te nie raniły rodziny Józefa Hallera i jego bliskich.

Łączę wyrazu szacunku.

S. ŻOCHOWSKI, mjr. dypl. mgr.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant : **Mme Christiane Karasiewicz.**

Dépôt légal : 1er trimestre 1961

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th t., Parkhurst, Johannesburg	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », errano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking louse, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square ainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 315-20	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** . Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia** ietlinska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Franciszek** ocha-Paprocki, rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao 'aulo. Tel. : 34.18.59.		5 dol. am.	9 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Ugana), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Ile, Paris-4	3,50 NF	19 NF	37 NF
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 msterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., oronto 3, Ont. lub c/O **Polish Voice,** 1089 Queen St. V. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Avenue, I.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; **H.R. Raomski,** 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU -0829; **Andrzej Manteuffel,** 797 Jessie Ave, Winnipeg, lan.; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, nt., Tél. : LE 1-2491; **Olgierd Kiersnowski,** 36 Bermuda ve., Toronto 18., Ont.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, ep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, enève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV tockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U. S. A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, chenectady, N.Y. ; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 21 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., **L. Dudarew ssetynski,** 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; **S. ziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **I.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, lass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, hio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinood Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford errace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey t. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°,** 136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** 95 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 lemphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book mporting C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. .W. 2.0890; **R.J. Sas-Babczynski,** 1819 B.W. Commonealth Ave, Alhambra, Cal.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, attersea Church Road, London, S.W. 1	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, , int. 14, Roma. Tél. : 87-87-89.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Nowości

W końcu marca 1961 r. ukaże się kolejny tom
BIBLIOTEKI "KULTURY":

BOGDANA CZAYKOWSKIEGO
i BOLESŁAWA SULIKA

POLACY W W. BRYTANII

Książka ta jest pozycją pionierską. Autorzy w ciągu dwóch lat pracy odwiedzili dziesiątki skupisk polskich, rozmawiali z setkami osób, zebrali tysiące faktów.

Książka składa się z dwóch części: reportażowej oraz ogólnej, analitycznej. Część pierwsza zawiera obraz życia polskiego w Londynie, Edynburgu, Glasgowie, Manchesterze, Birmingham i wielu innych miastach i osiedlach, a także rozdziały o hostelach, szpitalach, rolnikach itd. Znaleźć w niej można momenty autentycznego patosu obok groteski.

Część druga zawiera rozdziały o życiu organizacyjnym i społecznym, szkic historii emigracji politycznej, rozdział o młodzieży i dane statystyczne. We wnioskach ogólnych poruszono zagadnienia dotyczące roli historycznej i spoistości społecznej emigracji, postępy asymilacji, stosunek do kraju i perspektywy na przyszłość.

Polacy w W. Brytanii znajdą w tej książce wizerunek ich życia a wielu z nich własne sylwetki!

Dla pisarzy, historyków i socjologów praca ta może stać się niezbędnym dokumentem.

Książka zawiera 560 stron druku plus indeks, obejmujący setki nazwisk.

Cena książki: NF 30; (43/6; dol. 6).

Ze względu na duży koszt wydawnictwa i ograniczony nakład prosimy o wcześniejsze zamawianie książki w Redakcji „Kultury": 91, Av. de Poissy, lub w przedstawicielstwach.

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 3,50 NF